

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

K U J A W Y I P O M O R Z E

Nr 2/2002 (34)

Rok IX

Miłosz

Szyborska

Kornhauser

Błoński

Marijańska

Szymańska

Balcerzan

Brakoniecki

Kierc

Musiak

Janko

Gizella

Grynberg

Myszkowski

Zettinger



Zespół:

JAN BŁOŃSKI, TOMASZ BUREK, STEFAN CHWIN,
ALEKSANDER FIUT, MICHAŁ GŁOWIŃSKI,
MAREK KĘDZIERSKI, JULIAN KORNHAUSER,
JANUSZ KRYSZAK, LESZEK SZARUGA

Redakcja:

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI – redaktor naczelny
GRZEGORZ MUSIAŁ – z-ca redaktora naczelnego
GRZEGORZ KALINOWSKI – sekretarz redakcji

Wydawca:

Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury w Bydgoszczy,
Wojewódzki Ośrodek Kultury w Bydgoszczy przy finansowej
pomocy Ministerstwa Kultury

Adres redakcji:

85-033 Bydgoszcz, plac Kościeleckich 6
tel. (0-52) 585 15 01, wew. 105; (0-52) 585 15 00
tel./fax (0-52) 585 15 06
e-mail: kwartalnik@cps.pl; www.wok.bydgoszcz.pl

Administracja, sprzedaż i prenumerata: Renata Triebwasser
Korekta: Katarzyna Laskowska

Projekt okładki: Ewa Bathelier

Przedstawiciele za granicą:

Barbara F.Lefcowitz
4989 Battery Lane, Bethesda, MD 20814, USA
e-mail: BLefcowitz@aol.com

Joanna Wiórkiewicz
Saarburgerstr.11D, 12247 Berlin, Niemcy
tel./fax: 0-049-30-7740217

*Redakcja „Kwartalnika Artystycznego” serdecznie dziękuje Urzędowi
Marszałkowskiemu Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu,
Urzędowi Miasta Bydgoszczy i Fundacji im. Stefana Batorego za pomoc
finansową w wydaniu nr. 2/2002.*

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

K U J A W Y I P O M O R Z E
Nr 2/2002 (34) Rok IX

Spis rzeczy

- CZESŁAW MIŁOSZ Nika / 5
- WISŁAWA SZYMBORSKA Ze wspomnień / 33
JULIAN KORHAUSER Zwyczajne niebo Wisławy Szymborskiej / 34
- JAN BŁOŃSKI Cesarz, Pan i Żyd,
czyli o „powieści habsburskiej” w Polsce / 38
- Jaki jest terażniejszy stan literatury polskiej?*
- LUDMILA MARJAŃSKA O polskiej literaturze współczesnej
bardzo osobiście / 43
ADRIANA SZYMAŃSKA Mój optymizm / 45
EDWARD BALCERZAN Impet zamętu / 49
KAZIMIERZ BRAKONIECKI Literatura polska dzisiaj / 53
BOGUSŁAW KIERC Teraźniejszy stan tego, co przyszłe / 54
- ADRIANA SZYMAŃSKA Po burzy / 59
Dziewczynka grająca Bacha / 60
Stara kapłanka przedwiecznego Boga myśli o ariergardzie / 61
Kiedy stara kapłanka została tym, kim jest / 62
- GRZEGORZ MUSIAŁ Siostra Śmierć mówi do człowieka / 63
Zła Śmierć mówi do człowieka / 64 Wilki w nocy / 66
Eros i Thanatos bawią się lustrami / 67
- KAZIMIERZ BRAKONIECKI Monady / 69
- ANNA JANKO Dzień spod nocy wstaje / 79
Zmagam się z tobą upragniona duszo / 80 Prawieczór / 81
Norwid / 82
- JERZY GIZELLA Ten co patrzy do bólu / 83
Z jakiej to sztuki, z jakiego teatru / 84 Chochole gderanie / 85
Znikanie po angielsku / 86
- HENRYK GRYNBERG Przekleństwo przekładu
albo jak się grzebie literaturę / 87
- Po co piszę?*
- KRZYSZTOF MYSZKOWSKI Pisanie / 103

- PIOTR ZETTINGER Skrzynia z różnościami / 105
- ANNA BŁASIAK *** (w moim mieszkaniu...) / 113
 *** (niech mam z tego...) / 114
- MARCIN CIELECKI List do Larsa von Triera / 115
 *** (Czwartek, godzina szósta rano...) / 116 Sytość / 116

Varia

- MICHAŁ GŁOWIŃSKI Charaktery (2) / 117
- ANTONI LIBERA Odwaga i pokora Tomasza Burka / 120
- TOMASZ BUREK Autoreklama / 126
- JAN RÓŻEWICZ Kilka słów o Tacie / 132
- LESZEK SZARUGA Lekturnik (5) / 134
- ZBIGNIEW ŻAKIEWICZ Ujrzane, w czasie zatrzymane (14) / 138

Recenzje

- PIOTR PIASZCZYŃSKI W poszukiwaniu trwałości / 143
- PIOTR MICHAŁOWSKI Od światowania ku światologii / 146
- JERZY JARNIEWICZ Zaułki wyobraźni / 149
- RAFAŁ MOCZKODAN Przemyslenie ikony / 150
- GRZEGORZ MUSIAŁ *Come back* Gombrowicza / 153
- MIROSLAW DZIEN W sprawie Poety, plotki i nie tylko / 156

Noty o książkach / 160

Komunikat / 175

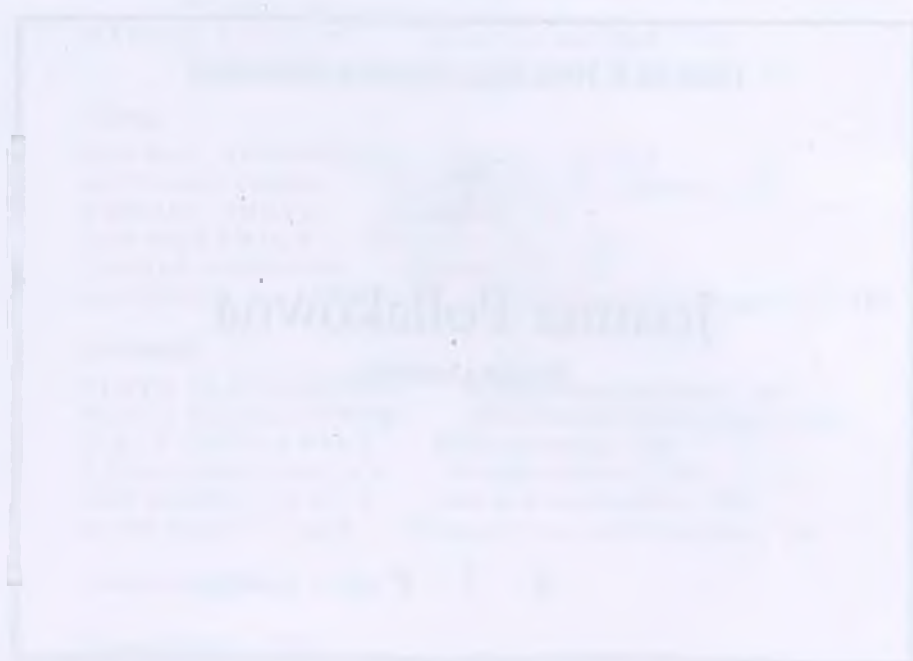
Dnia 28.6.2002 roku zmarła w Warszawie

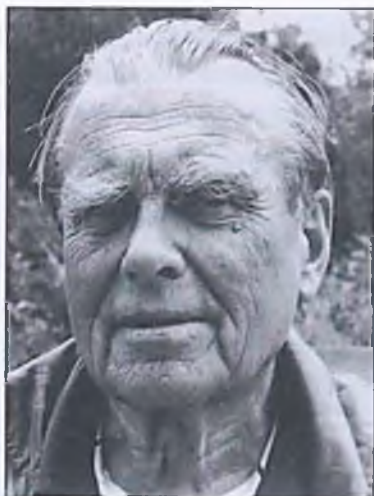
ś.†p.

Joanna Pollakówna

Poetka i eseistka

R. I. P.





Fot. Andrzej Miłosz

Czesław Miłosz

Nika

Nika miała niebieskie oczy, włosy blond rudawe i cerę skłoną do piegów. Pięknie zbudowana, szczupła, była trochę podobna, kiedy włosy strzygła krótko, do piegowatego chłopaka. Zawsze też wyglądała na znacznie młodszą, niż jej wiek, co czasem prowadziło do nieporozumień, bo brano ją za nastolatkę. Urodziła się w 1908 roku w Rydze, kiedy jej ojciec, Włodzimierz Kłosowski studiował na tamtejszej politechnice, czyli był kolegą mojego ojca. W ogóle mówimy o krainie wtedy należącej do carskiego imperium, której głównymi miastami były Wilno i właśnie Ryga. Matka Niki, Wanda z Grabowskich, urodziła się w Ihumeniu na Białorusi, tak więc Nika była produktem jak najbardziej rodzimym.

Był też mająteczek Zarzecze pod Nieświeżem, należący do krewnych rodziny Podhorskich-Okolów. Nika maturę zdała w żeńskim gimnazjum (nie było wtedy koedukacyjnych) w Nieświeżu. W latach szkolnych prawdopodobnie nosiła warcokze i musiała być posłuszna dyktatorskim zapędom matki, zresztą kobiety wykształconej. Rodzice Niki *notabene* żyli w separacji. Matka, dbając o dobro i finansowe bezpieczeństwo córki, wcześniej znalazła dla niej kandydata na męża, na stałej posadzie w szkolnictwie, pana Józefa Krukowskiego-Zdanowicza.

Pierwszą miłością Niki był spotkany podczas wakacji w Zarzeczu oficer wojska polskiego, piękny Gruzin, nazwiskiem Gucunajew. Nacisk rodziny zapobiegł jednak zerwaniu zaręczyn i Nika poślubiła pana Krukowskiego.



Nika (Wilno, lata trzydzieste).

Fot. Z archiwum rodzinnego prof. Tadeusza Bużyńskiego

Urodziła dwoje dzieci i mając dwadzieścia lat zbiesiła się. Rozpoczęła studia w naszej stolicy tj. Wilnie. Chciała wstąpić na prawo, ale okazało się, że istniał nieznaną jej absurdalny przepis. Żeby wstąpić na uniwersytet po dwóch latach od matury, trzeba było przedstawić świadectwo moralności. Nie wiadomo i świat się już nigdy nie dowie, kto miał takie świadectwo wystawić. Nika zapisała się do Szkoły Nauk Politycznych, tym wygodniejszej, że wykłady odbywały się wieczorem,

więc mogła to połączyć z opieką nad dziećmi. Tutaj zaczyna się cały osobny rozdział historii naszego miasta.

Powstał tam w roku 1931 Instytut Naukowo-Badawczy Europy Wschodniej. Inicjatywa mądra i celowa, którą należy zapisać w poczet zasług postępowej, tudzież masonskiej, części pilsudczyków. Instytut miał zajmować się historią i teraźniejszością sąsiadów z północy i ze wschodu, a więc państw bałtyckich i nawet na południu – Turcji, przede wszystkim jednak Związku Sowieckiego, wyprzedzając w ten sposób studia sowietologiczne rozwijające się w Ameryce po II wojnie światowej. Przy Instytucie powstała Szkoła Nauk Politycznych, w której wykładowcami byli przeważnie profesorowie Uniwersytetu Stefana Batorego, niekiedy dojeżdżający prelegenci z Warszawy. Działały lektoraty języków, a więc rosyjskiego, chyba też białoruskiego i ukraińskiego oraz języków bałtyckich. Kiedy Nika została studentką tej szkoły, jej profesorowie, o których mówi w swoich wspomnieniach, byli też moimi profesorami na prawie. Sekretarzem Instytutu był mój kolega i przyjaciel, żagarysta, poeta, Teodor czyli Dorek Bujnicki.

Ale Nikę poznałem, kiedy sam kończyłem już studia. Nika nie najlepiej wspomina profesora prawa karnego Bolesława Wróblewskiego: „Był postrachem studentów, zwłaszcza kobiet. Złośliwa plotka głosiła, że mścił się na nich za to, że go piękna żona rzuciła. Sam był mały, lekko kulawy i łysy, ale bardzo mądry, choć złośliwy. Na seminariach zadawał nam podstępne pytania, na które przeważnie nie dostawał zadowolających odpowiedzi. Rzucił mi kiedyś takie pytanie, na które jak umiałam, odpowiedziałam. Ku memu zdumieniu uklonił się i powiedział: *Byłem dotąd przeciwnikiem emancypacji kobiet, ale dzięki Pani zaczynam być jej zwolennikiem*. Na dwóch egzaminach u niego zdawanych dostałam piątkę z prawa karnego, ale tylko czwórkę z socjologii. Bo powiedział: *Widzę dopiero pączek, zobaczymy, jaki kwiat się z niego rozwinię*”.

Cytuję to jako dowód, że Nika była nie tylko ładna, ale i bystra. A ten Wróblewski to ojciec słynnego później malarza Andrzeja Wróblewskiego, choć o tym, że by go porzuciła piękna malarka, Krystyna Wróblewska, nie słyszałem. W moich dziejach, jako studenta prawa, Wróblewski należał do moich ulubionych profesorów i niemal go uwielbiałem, wskutek czego cały kodeks karny umiałem na pamięć. Innym profesorem Niki i moim był ksiądz Wilamowski, choć nie wiem, po co w szkole nauk politycznych prawo kanoniczne. Był to duży kot sybaryta, który wiodł żywot szczęśliwy i jak wypada kotu, niezbyt ascetyczny, na marginesie swoich szkolarskich zajęć. Najważniejszą jednak postacią był Wiktor Sukiennic-

ki, który na Uniwersytecie wykładał filozofię prawa (u niego błyszczałem), a u Niki historię doktryn rewolucyjnych i prawo międzynarodowe. Prowadził też dla wybranych seminarium sowietologiczne, a wśród sześciu godnych tego zaszczytu byli Nika i mój przyjaciel Litwin, Franek czyli Pranas Ancewicz oraz, niestety, Henryk Dembiński, wówczas już bardzo „czerwony” i oporny na prawdę o sowieckim ustroju.

Seminarium nie było żadnym przedsięwzięciem propagandowym, bo Sukiennicki wierzył w prawdę obiektywną i starał się jej osiągnąć. Instytut i Szkoła Nauk Politycznych nie miały jednak w mieście dobrej opinii. Atakowało Instytut konserwatywne wileńskie „Słowo” jako wylęgarnię komunistów. Zwłaszcza lewicowo-demokratyczne poglądy dojeżdżających z Warszawy wykładowców mogły niepokoić. Poza Janem Kucharzewskim, autorem *Od białego caratu do czerwonego* byli to: Czesław Bobrowski, Leon Wasilewski (ojciec Wandy Wasilewskiej), jak też marksista oraz pilsudczyk Stanisław Baczyński. Baczyński, wysoki mężczyzna, o jakby żołnierskiej postawie, był ojcem późniejszego poety, Krzysztofa Kamila Baczyńskiego. I wtedy, rozmawiając z ojcem w Wilnie, nie odgadłbym, że będę kiedyś, w Warszawie, za okupacji niemieckiej, bywał w domu jego syna.

Polskie Wilno było jednak miastem pravicowym, niekoniecznie endeckim, bo przeskadzał mu w tym jego kult Pilsudskiego. Na układ polityczny w ówczesnym Wilnie można patrzeć teraz trochę humorystycznie. Na przykład, na wprost katedry, w narożnej kamienicy przy ulicy Mickiewicza, miały swoją siedzibę: redakcja endeckiego „Dziennika Wileńskiego” oraz znany dom publiczny dla lepszej klienteli. Tuż obok była redakcja „Kurier Wileńskiego” pod kierownictwem znanego masona Kazimierza Okulicza, a zaraz za katedrą organ wielkich ziemian czyli „Żubrów” – „Słowo”, które redagował Cat-Mackiewicz. W takim Wilnie pozycja Wiktora Sukiennickiego była dość słaba. Szkodziła mu też reputacja jego żony, córki socjalistycznego działacza Zasztowta, słynącej z tego, że występowała jako adwokat w procesach broniąc komunistów.

Dwuletni udział w seminarium Sukiennickiego ukształtował Nikę i był początkiem wzruszającej przyjaźni, która miała trwać aż do jego śmierci w 1983 roku w Kalifornii.

Nika nazywała Sukiennickiego Mistrzem. Sukiennicki (urodzony w Kownie) był wybitnym umysłem i znawcą ustroju sowieckiego, także później w praktyce.

Opisuje gdzieś wjazd transportu więźniów z Wilna, przeważnie ortodoksyjnych Żydów, do łagru pod Krasnojarskiem. Do tego tłumu, dźwigającego przewiązanę sznurkiem walizki, zwrócił się stojący na podium komendant obozu: „A wy Danta czytali?”. Prawdopodobnie żydowscy kupcy z Wilna Dantego nie czytali, choć pewnie wiedzieli, że opisywał piekło. Z tego łagru Sukiennicki trafił na Kolykę i, po amnestii, do Ambasady Polskiej w Kujbyszewie. Jednak NKWD dalej szukało niebezpiecznego wroga komunizmu o tym nazwisku, nie wiedząc, że już u nich siedzi, w czym widać niedociągnięcia służb pozbawionych komputerów. Wiadomo o tym dlatego, że kiedy Nika siedziała na Łubiance, wypytywano ją o jej nauczyciela.

Nika przyjaźniła się też z niedźwiedziowatym Litwinem, seniorem seminarium, którego nazywała „studnią wszelkiej wiedzy”, Frankiem Ancewiczem. Poprawiała jego teksty referatów, bo przecie polski nie był jego macierzystym językiem i mściła się za to złośliwymi żarcikami, wobec których niedźwiedź był bezbronny i tylko mruczał: „Nu, już ty tylko nie zaczynaj, Nika”. Było to wkrótce po tym, jak mieszkaliśmy z Pranasem na tym samym korytarzu w akademiku przy Górze Bułłowej i przygotowywaliśmy się do egzaminów z IV roku prawa. Ta przyjaźń z Frankiem przesądziła w dużym stopniu o moich dalszych losach, ponieważ dzięki temu posiadałem obszerną wiedzę o sowieckim ustroju, co w połączeniu ze znajomością rosyjskiego miało mnie bardzo różnić od moich kolegów, warszawskich literatów, i przyczyniło się do napisania *Zniewolonego umysłu*.

Nika chciała zrobić pełny użytek ze swojej ery studenckiej, przepadała za tańcem i naszymi miejscowymi sportami, o których przesądzało położenie Wilna nad rzeką i wśród pagórków, czyli kajakarstwem i nartami. Na swoim, jak powiada, pierwszym prawdziwym balu, starała się zwrócić uwagę na siebie swego Profesora, u którego poprzednio zdała dobrze egzamin z prawa międzynarodowego, czyli późniejszego swojego Mistrza – Sukiennickiego i udało jej się to. O tych swoich studenckich czasach pisze: „W ciągu tych czterech krótkich lat, przede wszystkim dzięki Mistrzowi, otworzył się dla mnie świat w prowincjonalnym Wilnie. Uprzednio krążąca pomiędzy pieluszkami i kuchnią, najmłodszym pokoleniem i pokoleniem mojej matki i mego męża, który był dużo starszy ode mnie, tkwiłam w tej domowości, typowa *kura domestica*, czytając co wpadło w rękę i starając się myśleć jak najmniej. Nagle zaczęłam patrzeć naokoło i widzieć co się dzieje i co wzbiera w kraju i za granicą, miałam czego słuchać i o czym dyskutować, co czytać, czego się uczyć”.

Po zdaniu pięciu egzaminów pierwszego roku, mimo że uczyła się tylko nocami, Nika usłyszała od matki: „Pobawiłaś się i dosyć”. Na co odpowiedziała, że nie dosyć. W istocie w tej szkole nauk politycznych zyskała dużą wiedzę o przedmiocie mało w Polsce znanym, mianowicie o tym, co działo się w Związku Sowieckim. Wśród przyjaciół, towarzyszy zabaw i rozrywek Niki był Michał (Miś) Korycki, wileński Tatar: „Dobry jak razowy chleb. Był na moje usługi, latem czy zimą. Plywaliśmy kajakiem po Wilii latem, jeździli na nartach zimą, wiernie asystował na potańcówkach, w klinice dbał o Ewę” (córkę). Studiował medycynę.

Nasza grupa poetycka „Żagary” w 1935, kiedy Nika kończyła studia, już się rozpadła, jej polityczni członkowie, Henryk Dembiński i Stefan Jędrzychowski, poszli dalej na lewo i wydawali „Po prostu” potem „Kartę”. Nika przyjaźniła się z poetami i w swoich wspomnieniach poświęca im kilka zdań. Bujnicki wcześniej założył rodzinę i, zdaniem Niki, strach o jej los był przyczyną publikowania przez Dorka służalczych wierszy w „Prawdzie Wileńskiej”. Nika jednak tak ceniła przyjaźń z Dorkiem w Wilnie, że nigdy nie powiedziała o nim złego słowa. Tutaj wspomnę, że losy dwóch przyjaciół Niki, Bujnickiego i Pranaso Anewicza, jeszcze raz się spłoty na Litwie pod okupacją niemiecką. Bujnicki schronił się wtedy u rodziców swojej żony na Żmudzi, w Poniewieżu, a Pranas miał wówczas swoją kancelarię adwokacką w Szawlach. Spotykali się tam i kiedy zbliżała się armia sowiecka, Pranas proponował Dorkowi wspólną ucieczkę kutrem do Szwecji. Bujnicki, pewnie ze względu na dzieci, nie mógł się zdecydować. Wrócił później do Wilna i został tam, w 1944, zastrzelony z wyroku podziemia przez młodocianego akowca.

Nika przyznaje, że Zagórski napisał parę pięknych wierszy, ale źle wyraża się o jego charakterze. „Pozostał Miłosz i właściwie nigdy nie miałam od początku żadnych wątpliwości, kto z tej trójki jest poetą z Bożej Łaski. Że dostanie Nagrodę Nobla, nie myślałam, ani on zapewne wtedy też nie, bo uważał, że *śława przejdzie obok*, ale nie przeszła. Jako młody człowiek był bardzo piękny i równy w przyjaźni”. Prawdę mówiąc, to za pięknego się nie uważałam.

Żagaryści to nie byli jedyni młodzi ludzie w jej pobliżu. Otaczała się mężczyznami. Podejrzewam, że kobiety były zawistne i chętnie brały ją na języki. Gdybym miał opowiedzieć o osobowości Niki, nie byłoby to wcale łatwe zadanie. Jej przyjaźnie z mężczyznami miały pewien podtekst erotyczny, ale fascynacja intelektualna i erotyczna występowały w różnych dozach, z którymi trudno dojść do ładu. Najwyżej ceniła przyjaźń i koleżeństwo. Wystrzegałem się niedyskretnych pytań i wiedziałem, że jej ruchliwość jest częścią jej uroku. Nie zadałem jej nigdy,

na przykład, pytania, jakie właściwie stosunki łączyły ją z Mistrzem. Wydaje mi się, że był to wypadek urzeczenia umysłowym autorytetem. Miałbym trudności z opisaniem jej osoby, nie tylko z powodu braku wiedzy.

Lubiła bawić się, tańczyć, lubiła pracować. Była dobrze zorganizowana, a jednak istniało w niej coś, co było sprzeczne z zewnętrzną stroną jej zachowań. Rodzaj czarnowidztwa, stałego pesymizmu, mógłby być chyba wynikiem skłonności do depresji, może nawet chronicznej. Przypuszczam, że jej przyjaźnie udawały się lepiej, niż jej małżeństwa. Sądzę, że musiała być osobą trudną, nie tylko dla swego pierwszego męża, ale i jego następców.

Obecność Niki w mojej pamięci jest obecnością Wilna i to nie całego Wilna, ale Pałacu Wróblewskich, gdzie w nowoczesnej przybudówce mieścił się Instytut Naukowo-Badawczy Europy Wschodniej i Szkoła Nauk Politycznych. Było to na rogu Zygmuntowskiej, która tak samo dzisiaj się nazywa, i Arsenalskiej teraz przemianowanej w tym odcinku na ulicę Wróblewskiego. A naprzeciwko Instytutu było wejście do ogrodu zwanego „cielętnikiem”, gdzie na ławce siadywaliśmy z Niką. Bibliotekę Wróblewskich założył w 1912, upamiętniając swoich rodziców, Tadeusz Wróblewski. Sławna postać wileńska, ucieleśnienie tradycji łóz wolnomularskich z czasów Mickiewicza. Studiował w Petersburgu medycynę,



Fot. Z archiwum rodzinnego prof. Tadeusza Bujnickiego

Czwarta do prawej – Nika, piąty – profesor Wiktor Sukiennicki, ósmy – Pranas Ancenicz, dziewiąty – Teodor Bujnicki (Wilno, lata trzydzieste).

został zesłany na Syberię za działalność socjalistyczną, ukończył w Petersburgu prawo i jako asystent słynnego w Rosji adwokata, Spasowicza, występował w procesach politycznych. W 1906 założył w Wilnie Klub Szubrawców wyraźnie nawiązując do epoki romantyzmu, następnie lożę wolnomularską „Litwa”. Brał udział w 1918 w polsko-litewskich rokowaniach po stronie Litwy, gromadził zbiory muzealne insygniów masoniskich. Był natchnieniem wileńskiej ideologii „krajowców”. Biblioteka Wróblewskich należy teraz do Litewskiej Akademii Nauk. Od Instytutu do placu Katedralnego są tylko dwa kroki. A pośrodku przy Arsenalskiej 6 mieszkała rodzina moich dalekich krewnych Pawlikowskich.

O tej rodzinie można by było napisać całą powieść, poczynając od moich wtajemniczeń w filatelistykę, dzięki panu Pawlikowskiemu, emerytowanemu pułkownikowi carskiej armii. Jego syn, Danek, w 1920 był polskim lotnikiem, ale zaraz potem popełnił samobójstwo, drugi syn, Wacek, pracował jakiś czas w Turkiestanie, skąd przywiózł żonę Rosjankę i wykonywał awangardowy, jak na konserwatywne Wilno, zawód taksówkarza. Jego siostra, Marysia, była tą osobą, która w Szejniach mnie, ośmioletniemu, czytała *Trylogię*. Więc ta rodzina, a tuż obok Instytut, Dorek Bujnicki i Nika i zaraz naprzeciwko Katedry kawiarnia Rudnickiego.

Sukiennicki, po ukończeniu studiów przez Nikę, polecił ją jako kandydatkę na praktykę dyplomatyczną w Ambasadzie RP w Moskwie. Przewycięzając opór starszego pokolenia, czyli matki i męża, jednak pojechała, chociaż starsi wymogli krótszy okres praktyki. I dość malowniczy był to pobyt. Co skłania mnie do refleksji nad szczególnymi układami stwarzanymi przez obecność jednej pięknej kobiety wśród mężczyzn. Wcale nie wnikam w osobiste sprawy Niki, domyślam się tylko, że musieli ci dyplomaci mieć pewne kłopoty ze sobą wobec tak wielu zalet młodej i inteligentnej praktykantki. Co prawda, sama pisze, że w podróży z polskim kurierem z Kijowa w tym samym przedziale, spędziła „noc wojowniczą”. Jej funkcje w ambasadzie polegały głównie na zakupie książek dla biblioteki Instytutu w Wilnie, ponieważ w inny sposób nie można się było w sowieckie nowości zaopatrzyć. Ale zajmowała się wszystkim. Ponieważ jej strój budził zaciekawienie, za każdym razem kiedy na pytanie, gdzie kupiła sukienkę, odpowiadała, że w Warszawie, odszakiwano z przerażeniem, zmieniła sposób ubierania się i nosiła tenisowe pantofle, jak wszystkie komsomołki.

„W jaki sposób człowiek może za młodu tyle dokonać? Oprócz zajęć dyplomatycznych chodziłam na wykłady do wspomnianego Instytutu (Instytutu Socyjalistycznego Prawa – przypis C.M.), latałam po mieście za książkami do naszej biblioteki, wysiadywałam godzinami w bibliotece Lenina, gdzie napisałam brulion

pracy dyplomowej, chodziłam wieczorami do teatrów i miałam niezliczone spotkania z „kolegami” sowieckimi, które oczywiście kończyły się na niczym. Na ciągle pytania: *Kakoje wasze socjalnoje proizchożdzenie* przez długi czas odpowiadałam cierpliwie, że *pracujāca inteligencja, matka nauczycielka, ojca nie mam*, aż w końcu nie wytrzymałam i lupnęłam: *Takoj-e-ż kak i towariszczu Le-nina – potomstwiennaja dworianka* (dziedziczna szlachcianka). Na to mój kolega powiedział: *No, jak znajdziesz się pod sądem NKWD, to inaczej zaśpiwasz*. Miał rację”. Co przydarzyło się o wiele później, kiedy spełniła się ta przepowiednia, było tak charakterystyczne, że muszę znów Nikę zacytować: „(...) w więzieniu na Łubiance pokazano mi donos tegoż właśnie faceta, w którym stwierdzał, że obiecywałam mu wspaniałe prezenty, buty, koszule, marynarkę, byleby tylko uciekł ze mną do Polski. Sędzia śledczy, bardzo zresztą w porównaniu z innymi, którzy mnie badali, przyzwoity człowiek, spytał, co ja na to. Odpowiedziałam, z głupia frant, że nie rozumiem, jak mogłam mu nie ofiarować spodni. Sędzia trzasnął pięścią w stół, wykrzyknął, że przecież on się ze mną obchodzi dobrze, a ja sobie z niego kpię i że *gordosti uż oczeń mnogo* (za dużo dumy), po tym parsknął śmiechem i zmienił metody śledztwa. Odtąd czytaliśmy gazety, każde sobie. Na pytanie, co mam odpowiadać swoim lokatorom w celi na pytania, jak było na śledztwie, odpowiedział: *Prawdę. I tak żadna nie uwierzy*”.

Nika zakupione książki wysyłała kurierem dyplomatycznym do Warszawy, skąd przesyłano je do Wilna. Skróciła swój pobyt do trzech miesięcy z powodu nalegań rodziny, ku niezadowoleniu Mistrza. Zabrała ze sobą książki na podarunki, dla Bujnickiego *Dziela* Dostojewskiego, kupione w antykwariacie, bo był zakazany wtedy w Związku Sowieckim, i tom wierszy Pasternaka *Wtoroje roždienije* dla mnie. Dostojewskiego na granicy celnicy skonfiskowali i na próżno argumentowała, że przecież co może im szkodzić, jeżeli będzie demoralizował Polaków?

Więc oto rok 1935. Dostałam od Niki tom Pasternaka i niektóre wiersze-ballady mnie zachwyciły, zwłaszcza ta z refrenem „Kak tolko w ranniem dietewie spiat” („Jak tylko we wczesnym dzieciństwie śpią”). Zawsze byłam wrażliwy na dźwięk rosyjskiego wiersza, a równocześnie nieufny, bo wpływ jego jambicznego toku był, moim zdaniem, szkodliwy dla metryki wiersza polskiego, toteż rzadko zdarzało mi się wiersze z rosyjskiego tłumaczyć.

W wierszach Pasternaka nie było nic politycznego, opiewały szczegóły codziennego życia, sielskie krajobrazy, koncerty, spacer. Nie rozumiałem tytułu. Zda-

wało mi się, że oznacza on po prostu zwrócenie się poety ku pięknu powszedniości, ale naprawdę odpowiadał on temu, co w języku amerykańskich ewangelistów nazywa się „born again”, czyli nawrócenie. W tym wypadku Pasternak oznajmiał, że nawrócił się na komunizm, pod którego rządami ludzie bezpiecznie i szczęśliwie żyją. To samo, mniej więcej, głosiła nadawana przez uliczne głośniki piosenka, którą słyszeli wilnianie po zajęciu miasta przez wojska sowieckie: „Ja drugoj takiej strony nie znaju/gdzie tak wolno dyszet człowiek”. („Nie znam innego takiego kraju/gdzieby tak swobodnie oddychał człowiek”).

Pasternak w kraju inwigilacji, codziennych aresztowań i rozbudowanej sieci gułagów, przekonywał swoimi wierszami, że wszystko jest w najlepszym porządku, czyli był uwodzicielem, a być uwodzicielem to dla poety hańba, jak czytaliśmy wiele lat później w pamiętnikach Nadzieży Mandelsztam. Wtedy, w 1934/35, miałem stypendium na wyjazd do Paryża i w 1935 na wiosnę widziałem Pasternaka na zorganizowanym przez komunistów Kongresie Obrońców Kultury w sali Mutualite. Wypuścili go zapewne z powodu owego „drugiego narodzenia”. Mnie o uroku życia za wschodnią granicą nie przekonał, bo przecie moim przyjacielem był sowietolog Franek Anczewicz. Podobną taktykę, uwodzenia, obrał Gałczyński, który pisał o Wicie Stwoszu, Bachu, jarzębinach na Mazurach, czyli że niby wszystko było ładne i sprzyjające sztuce oraz poezji za stalinizmu. Nie jest to całkiem prosta sprawa, bo przecie może ludzie chcą być oszukiwani i wtedy trochę im lżej.

Po powrocie z Moskwy Nika znalazła się w miasteczku Słonim, gdzie jej mąż został dyrektorem gimnazjum, i była przesłuchiwana przez policję, której długo musiała i bez skutku tłumaczyć, że jeździła do Rosji, nie jako komunistka, ale pracowniczka polskiej ambasady. Słonim według Niki był plotkarskim bagnem i tak egzotyczny ptak nie mógł nie spowodować mnóstwa szeptanych komentarzy. Miasteczko nie bardzo wierzyło, że dzieci są jej, bo wyglądała na to za młodo. I wygadywało o niej niestworzone rzeczy, na przykład, że była w Moskwie fordanserką. Nika kończyła pisać pracę dyplomową o polityce mniejszościowej Związku Sowieckiego i przygotowywała się do ostatniego egzaminu. Ale nawet jej samotne wycieczki kajakowe budziły zgorszenie, bo rzekomo chodziła po zakupy w kąpielowym stroju i każdy oficer, z którym zatańczyła, natychmiast uchodził za jej kochanka. Musiała też utrzymywać rodzinę, bo mąż popadł w hazard karciany, całe noce spędzał w klubie „Myśliwskim” i wracał splukany do nitki. Nika więc dawała korepetycje z historii i polskiego. Egzamin w Wilnie zdała celująco, choć Mistrz nie był całkowicie zadowolony i wyrzucił jej, że za wcześnie wróciła z praktyki w ambasadzie.

W Słonimie spędziła dwa lata i żeby stamtąd uciec, co bynajmniej nie było łatwe, zaczęła szukać posady w Warszawie. Niezupełnie mogła liczyć na poparcie Mistrza, który, jak sam się później przyznawał, zdołał najwyżej, wspólnie ze Stanisławem Baczyńskim, znaleźć w Warszawie pracę Pranasowi Anciewiczowi, zagrożonemu w Wilnie przez antylitewską akcję nowego wojewody, Bociańskiego. Posadę w Warszawie Nika dostała nie zaraz.

Najpierw, dzięki dyrektorowi Instytutu, Wielhorskiemu, otrzymała zadanie sporządzenia studium o osadnictwie na Wileńszczyźnie, zamieszkała więc na trzy miesiące w miasteczku Wilejka, skąd jeździła w teren. Takie studium było potrzebne, bo osadnictwo okazało się niewypałem. Byli żołnierze, którzy zasłużyli się jako ochotnicy w wojnie 1920 roku, otrzymywali działki po rozparcelowanych majątkach, wielkości od 30 do 45 hektarów. Przy tak dużym obszarze żyli nędźnie, klepiąc biedę, bo po prostu nie mieli pojęcia o rolnictwie, a sąsiedzi, białoruscy chłopcy, nie odnosili się do nich dość życzliwie, żeby im doradzać. Ci nieszczęśni ludzie za kilka lat mieli być zesłani do sowieckich łagrów, bo właśnie osadnicy, służba leśna, władze gminne, były na pierwszych miejscach list proskrypcyjnych. W Wilejce Nika zaprzyjaźniła się z Witoldem Zahorskim, który był wtedy inspektorem Oświaty Pozaszkolnej i pomagał jej w badaniach. Odegrał też, jak pisze, znaczną rolę w jej życiu i życiu jej dzieci.

W Warszawie Nika została referentem prasowym Ministerstwa Obrony przy Funduszu Pracy i pisała raporty o Centralnym Okręgu Przemysłowym. Wiele jeździła po obszarze COP-u i po Śląsku. Poznała też szczególne warszawskie obyczaje i wyrażenia. Na przykład, kiedy w Warszawie zjawiał się Franek Anciewicz zaprosiła go do baru „Pod setką” i zamówiła dwa „międzynarodowe ekspresy”. Dla wiedzy potomnych należy odnotować, że, jak pisze Nika, zamawiało się wtedy albo „podmiejski” albo „dalekobieżny” albo „ekspres”.

W 1939 mąż Niki został zmobilizowany jako oficer rezerwy I Pułku Łączności i po kampanii wrześniowej trafił do oflagu. Nika dostała się do Słonima, o czym docierały do mnie jakieś dość mętne wieści, jako że starałem się dowiedzieć w Wilnie wtedy jeszcze litewskim, co się z nią dzieje. Jak zawsze były to lokalne złośliwe plotki o jej picciu z sowieckimi oficerami, jako że dobrze mówiła po rosyjsku. Aresztowano ją w Wigilię 1939. Na wigilię był Witold Zahorski, któremu poleciła opiekę nad dziećmi, zdołał wywiązać się z obietnicy, wywoząc je do Wilna i uchroniwszy w ten sposób od trafienia do sierocińca czyli „dietdoma”. Sam został aresztowany w Wilnie rok później. Nikę przewieziono na Łubiankę.

Wspomnienia Niki z Rosji, Bliskiego Wschodu i Italii noszą tytuł *Wojna i druga młodość*. Wśród wielu pamiętników z tego okresu wyróżniają się rzeczowością i zwięzłością. Mało mówi o swoich wewnętrznych przeżyciach, mało o tym, co wtedy myślała, pomija wszelkie rozmowy polityczne i prognozy. Gdybym nie znał jej skłonności do depresji, nie zdziwiłby mnie ten kronikarski ton, zresztą z dużą skłonnością do notowania malowniczych szczegółów i kostycznym humorem. Być może osoby o usposobieniu depresyjnym, kiedy znajdują się w bardzo trudnych warunkach, są bardziej odporne niż urodzeni optymiści. Poza tym ta kronika o wędrówkach od Kazachstanu po Morze Śródziemne obfituje w niewiarygodne zbiegi okoliczności i spotkania. Kiedyś krytykowano *Doktora Żywago* Pasternaka za rzekome nieprawdopodobieństwa cudownych spotkań w chaosie rewolucji. Kronika Niki to potwierdza. Bo na przykład, jak później ustaliła z Mistrzem czyli Sukiennickim, wracając z Kołomy, przejeżdżał on o parę godzin wcześniej przez tę samą stację, w Nowosybirsku, na której Nika czekała na swój pociąg. W Teheranie spotkała swoją kuzynkę i koleżankę z tej samej klasy gimnazjum w Nieświeżu. Kuzynka była nie w lagrze, ale na zesłaniu, co nie wychodziło na dobre, bo tam głód był jeszcze bardziej dotkliwy i dwie inne koleżanki z klasy zapadły tam na gruźlicę. Kiedy mieszkała w namiocie na pustyni w wojskowym obozie Shaiba pod Basrą i wysłała prośbę do sztabu korpusu, żeby przysłano im coś do czytania, zjawił się Witek Zahorski, wówczas oficer oświatowy, z całą biblioteczką. Przyjaźń pomiędzy nimi miała trwać długo po wojnie, aż do jego śmierci w Rzymie w 1989 roku.

Nie wiem, na ile lat lagru opiewał wyrok, który Nika dostała na Łubiance, jako że było to rutynowe oskarżenie o szpiegostwo – prawdopodobnie osiem lat. Nie dowiadujemy się, co czuła i myślała otrzymawszy ten wyrok. Trafiała do lagru dla kobiet w Kazachstanie pod Akmolińskiem. Ktoś mi opowiadał, że był to obóz szczególnie dla żon dostojników sowieckich, którzy siedzieli w innych lagrach. Po ataku Hitlera na swego sojusznika, czyli Stalina, i pakcie Sikorskiego, obywatele polscy zostali objęci amnestią i Nika wyszła z lagru dokładnie w dwa lata po jej aresztowaniu, czyli 25 grudnia 1941 roku.

Istnieje cała obszerna literatura pamiętnikarska opisująca podróż na południe uwolnionych wtedy polskich łagierników, których niekiedy przetrzymywano, nie informując o amnestii. Nielatwo było dostać się do pociągów, wielu też do armii Andersa dotarło za późno albo już znalazłszy się blisko celu umarło na tyfus. Ci, co przeżyli, zachowali różne obsesje np. jak mi opowiadał Zygmunt Hertz, któ-

remu też udało się do polskiej armii dotrzeć, przez długi czas, już w Iraku, suszyli chleb i w tajemnicy przed wszystkimi przechowywali worki ze swoim skarbem czyli sucharami.

Nika wyszła z obozu otrzymawszy sto dwadzieścia rubli rzekomo zarobionych i tłumoczek, w którym była zmiana bielizny i lakierki, nie wiadomo dlaczego przysłane do obozu przez mamę. Okazały się one wartościowym towarem zamiennym, ale tymczasem był siarczasty mróz, nogi miała Nika owinięte szmatami i chude paletko. Kupiła zaraz kilo białego chleba, którego nie widziała od dwóch lat, i zjadła popijając zimną wodą. Na stacji czekała wiele dni, żeby dostać bilet do Taszkientu, ale bezskutecznie. Przekonała się, że jej koleżanki z lagru miały rację nie chcąc wychodzić na „wolę”, bo w obozie nie groziło niebezpieczeństwo ze strony „urków” czyli kryminalistów. Wyglądała wtedy na wychudzoną nastolatkę i zaopiekował się nią wielki drab w kożuchu sięgającym do ziemi, który z dumą mówił o sobie, że jest porządnym obywatelem, bo siedział za spekulację, a nie „kontrik” czyli kontrrewolucjonista jak Nika. („Ja to jestem uczciwy spekulant, a nie żaden kontrik”). Kazał nazywać siebie diadzia Wasia i urządził jej spanie w poczekalni, zakrywając połą kożucha, a na krzyki milicjantów odpowiadał: „Widzicie przecież, z małym dzieckiem siedzę. Nie wolno dzieci na mróz wyganiać”. Jeden z milicjantów wreszcie zaciekawił się i zażądał pokazania tego dziecka. „Zrezygnowana wysadziłam głowę spod kożucha”. Milicjant powiedział: *Oho, twoja małolatka ma z piętnaście lat. Takie to już za mąż wychodzą.* Ale popatrzysz na mnie zadecydował. *No niech śpi, bardzo jakaś chuderlawa.*

Nika od NKWD na stacji dostała bilet nie do Taszkientu, ale do Dżambulu. Nie należało jednak przebiegać w pociągach. „Wujo” kazał jej włączyć do towarowego wagonu w tzw. pociągu „zbornym”, który zbierał tych, co nie mogli dostać się do osobowych pociągów. Korzystając z pomocy grupy młodych chuliganów, kazał ją wrzucić pierwszą do wagonu i wciągnął na górną półkę, odgradzając sobą od reszty jadących. Powiedział: „No, cztery dni jazdy murowane”. I rzeczywiście tyle dni jechali do Nowosybirsk. Na stacjach Nika ze swoich lagiernych rubli kupowała sobie mleko, co diadzia Wasia pochwalal.

Koło Nowosybirsk „wujo” miał krewnych, których zamierzał odwiedzić, a ponieważ siedział był w lagrze za spekulację, a nie politykę, krewni nie mogli się bać takiego gościa. W Nowosybirsku Nika znalazła pierwszą polską placówkę i tam właśnie dowiedziała się, że przed paroma godzinami przejeżdżał przez tę stację Mistrz Sukiennicki. Dzięki pomocy tej placówki dostała się do pociągu idącego bezpośrednio do Dżambulu. W Dżambule zebrano się trochę Polaków i doszły wieści, że punkt zborny wojska jest w miejscowości Ługowaja. Z dwoma spotka-

nymi tam kandydatami do wojska Nika kupiła bilet do Ługowej. Jeden z jej towarzyszy zlapał na sobie wesz niezwykłych rozmiarów i w czternaście dni później umarł na tyfus. Dowództwo Armii Polskiej miało siedzibę w Jangi Jul i tam doradzono Nice jechać. W Ługowej nie miała przydziału, ale uratowała ją umiejętność pisania na maszynie. Z początku musiała spać na podłodze, bo inne ochotniczki bały się, że jest zawszona, co nie było prawdą, bo pierwszą rzeczą, jaką zrobiła było pójście do miejscowej „bani” czyli łaźni. „*Witajcie, kochane rodaczki, oby was taki sam los kiedyś spotkał* – pomyślałam mściwie”. Dostała jakieś takie umundurowanie i męskie spodnie „(...) spodnie umiałam odpiąć, ale nie mogłam sobie dać rady z zapinaniem szelek na plecach. Młody, wtedy 22-letni Jaś Olechowski, zdolny poeta, który zmarł młodo po wojnie w USA, cierpliwie mnie zapinał, twierdząc, że jestem rzeczywiście wyjątkowo tępa”. Wkrótce przyszedł rozkaz wyjazdu do Krasnowodsk i przez Morze Kaspijskie do Persji.

Jak się później okazało, Nika siedziała na Łubiance w tym samym czasie, co general Anders, czyli jeszcze jeden zbieg okoliczności.

Jazda towarowymi wagonami do Krasnowodsk trwała dwa dni. Następnie był rejs na statku przepelnionym rodzinami wojskowych i sierotami. Kiedy morze było burzliwe, jak wspomina Nika: „(...) jeden z moich przyjaciół, Wacek Kielczewski, poległ później pod Monte Cassino, przywiązał nas oboje do komina, bo pod pokładem można się było udusić (...)”. W Persji, w Pahlawi, ogromne obozowisko uratowanych z niewoli było narażone na nowe niebezpieczeństwo: rzucenia się na jadlo, od czego wielu zmarło, zwłaszcza dzieci. W obozie na plaży Nika spędziła parę tygodni, po czym przewieziono ją z innymi żołnierzami do Teheranu, wspominaną we wszystkich pamiętnikach karkołomną drogą nad przepaściami. W Teheranie umieszczono ochotniczki w dużym hangarze. „Dostałam wreszcie mundur kobiecy tzw. tropikalny, to znaczy szorty, koszulkę (2), spódnicę itd. plus australijski b. twarzowy kapelusz (...)”. Ich obóz odwiedzał jeżdżący na wspaniałym bułanym koniu dwudziestoparoletni, piękny Szach Reza, który takie na Nice zrobił wrażenie, że nigdy później o nic do niego nie miała pretensji.

I tu jeszcze jedno niespodziewane spotkanie. Konsulem jeszcze uznawanego polskiego rządu był w Teheranie ten sam dyplomata, z którym Nika toczyła wojnę w wagonie sypialnym z Kijowa do Moskwy. Tym razem zachowywał się poprawnie i elegancko, zaprosił Nikę na obiad do wytwornej restauracji. („(...) musiałam sobie przypomnieć jak się używa i którego noża i widelca”). Odwiózł ją konsularnym samochodem do obozu i spytał, czy woli kwiaty czy słodycze. „(...) zaszliśmy do jakiegoś bogatego sklepu żywnościowego na eleganckiej ulicy Lalezar



Fot. Z archiwum rodzinnego córki Niki – Ewy Kociębińej

Nika, 1944 rok.

i tam wybrałam: pieczonego kurczaka, większą ilość kwaszonych ogórków i na koniec wielki słodki placek, tudzież pół kilo chałwy”. Tak zaopatrzona Nika obudziła dwie swoje koleżanki i rozpoczęły ucztę. Samochód konsulatu nieraz jeszcze zajeżdżał przed obóz, ale Nika interpretowała poprawność konsula wyglądem swojej „wychudzonej osoby w drelichach, która nie wzbudzała w nim więcej żadnych pokus”.

W następnej scenie widzimy Nikę wygrzewającą się na plaży w Tel Awiwie. Dostała przydział do Oddziału Operacyjnego Sztabu Brygady Karpackiej. Sam Tel Awiw, jak twierdzi, przypominał „kilkanaście Radomiów (...). Ludzie naokoło prawie wszyscy mówili po polsku”. Ale podziwiała różne gatunki kwiatów i parde-sy czyli gaje cytrusów. Twierdziła, że Palestyna jest pierwszym cywilizowanym krajem, w jakim znalazła się po dwóch i pół latach. Zakochała się w Morzu Śródziemnym i pływając albo objadając się pomarańczami dopiero teraz miała czas

pomyśleć o tym, co się dzieje z jej dziećmi i matką, od których po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej nie otrzymała żadnych wiadomości. Jak twierdzi, egzotykę i Biblię odkryła dopiero w Jerozolimie, ale też brzydziło ją targowisko świętościami chrześcijańskimi, a nie było nikogo, kto by wygnał przekupniów ze świątyni. „Miałam bardzo dobrych kolegów, przyjaźń z którymi przetrwała całą wojnę. Na Gwiazdkę sprawiono mi prywatnie skrojony i uszyty galowy mundur. Australijskie kapelusze zamieniono nam na tzw. pierogi-furażerki. Po raz pierwszy dostałyśmy przydział kolorowej bielizny”. Jadała w kasynie oficerskim.

Zmienia się sceneria: teraz widzimy Nikę jako mieszkankę miasta namiotów, które powstało na pustyni w Iraku o 30 kilometrów od Bagdadu w Qizil Ribat. Bagdad Nika określa jako „bardzo marne wówczas miścisko”, ze słynnym złotym meczetem, wtedy, niestety, niedostępnym. Rzekę Tygrys Nika nazywa „mętną i dość nędzną”. W miście namiotów na pustyni „ochotniczkom zbudowano przedmieście w pięknym i jedynym palmowym lasku, zaraz oczywiście przezwanym malpim gajem”. Mieszkały po cztery w dużych namiotach. „Cóż tu robić wieczorami na szczerym piasku, kiedy tylko niebo, gwiazdy i planety, wydające się niezwykle nisko i malpi gaj i szczekanie szakali przez całą noc?”. Oficerowie założyli więc „Klub Szakali”. Jak powiada Nika, „(...) każdy mógł do nas przyjść, byle nie wyżej rangi kapitana”. Zdobyli patefon, tańczyli i słuchali muzyki, a Nika pitrasila, jak powiada, jakieś egzotyczne dania na prymusie. Dramatem było, kiedy jeden z kolegów usiadł na płycie z piosenką „J'attendrai” śpiewaną przez Lucienne Boyer. Na próżno szukano wszędzie, również w Palestynie, tej płyty, żeby zniszczoną zastąpić.

„Żołnierze nie mieli odpowiednika „Klubu Szakali” toteż radzili sobie inaczej”. Na przykład czterech z nich złożyło się i kupili w Bagdadzie arabską dziewczynę, którą trzymali w swoim namiocie, ale znudziło się jej tam siedzieć, wyszła żeby się przejść i rzecz się wydała. Kilka dni jednak później zjawił się dostoyny szejk z pretensją, że odprawili córkę tak szybko, co oznaczało, że nie jest nic warta i kto ją teraz zechce.

Nika jeździła kilka razy stamtąd do Palestyny albo oddelegowana albo na urlopy, podziwiała kwitnienie pustyni na wiosnę, przypuszczając, że dywany wschodnie właśnie z tych barw czerpały swoje wzory. Widziała też raz miraż, prawdziwe miasto wschodnie odwrócone do góry nogami, ale jej nie znane, bo nie był to ani Kair, ani Damaszek, ani Bejrut. Ale opisuje też napady hamsinu, wiatru pustyni. Podróż przez pustynię trwała pięć dni, ponieważ uniemożliwiał ją w ciągu dnia upał. Przedostatni dzień spędzali w Habanyi, miejscowości ze sztucznym jeziorem, a więc ką-



Fot. Z archiwum rodzinnego córki Niki – Ewy Kocęckiej

Nika i Stanisław Stadnicki, 1944 rok.

piel i pływanie. Raz jednak Nika odwoziła dziesiątek ochotniczek w ciąży i wtedy był to wielki autobus, który jechał 24 godziny. Jeden z szoferów spał, kiedy drugi prowadził, tak dojechali do Hajfy, w samą porę, żeby jedna z ochotniczek urodziła zdrowe dziecko, płci męskiej, „ku naszej ogromnej radości”.

Później Nika dostała przydział do obozu pod Basrą i trafiła tam w okropny upał gorszy niż pod Bagdadem: „leżałyśmy nakryte prześcieradłami a przydzielony nam ordynans Hindus polewał nas z konewki”. Życie zaczynało się wieczorem i było to bardzo intensywne życie towarzyskie. Wśród oficerów było tylko dwóch Polaków: Stanisław Badeni i Stanisław Stadnicki. Nika lakonicznie notu-

je: „ten ostatni został moim drugim mężem”. I jak to ona, żadnych emocjonalnych wywnętrzań.

W tułaczce więziennej Niki i później w jej służbie ochotniczki musiało być wiele momentów trudnych decyzji i intensywnych doświadczeń. Raz jednak tylko przyznała się do wielkiej wewnętrznej rozterki. Było to z okazji balu garnizonowego w Basra. Miała tylko wojskowe, przydzielowe zielone pończochy, których by, jak powiada, „żadna szanująca się ochotniczka na taką okazję nie włożyła”. Ale przyzwoite pończochy okazały się bardzo drogie, a jej żołd był niski, mimo że awansowano ją na sierżanta. Musiała zdecydować: albo kupi pończochy, albo lawendę Yardleya. Zdecydowała się na to drugie. Sprawę pończoch rozwiązał ich lekarz malując jej nogi jodyną, tak, że nawet szew był zaznaczony. Po czym przez dwa tygodnie skóra złaziła jej z nóg. Basra, która później została całkowicie zniszczona podczas innej wojny, była wtedy, niby Wenecja, ślicznym miastem kanałów i zieleni. Dwa tygodnie po balu w Basra Nika zwróciła się do ich komendanta o półciężarówkę na następną niedzielę. „Co to, to nie” odpowiedział i po-



Nika i Stanisław Stadnicki, 1944 rok.

Fot. Z archiwum rodzinnego córki Niki – Ewy Kociętkiej

kazał *King's Regulations*, które pozwalały żołnierzom korzystać z najbliższego burdelu tylko raz na miesiąc. „Wprawdzie go przekonałam, że do burdelu się nie wybieramy, ale zniechęcił mnie na resztę naszego pobytu”. Okazało się, że za tym niechęcieniem kryła się oczywiście inna kobieta, podwładna Niki, której flirty Nika starała się poskramiać.

Przez pewien czas Nika tresowała pluton ochotniczek w obozie koło Gazy, która wtedy była sennym arabskim miasteczkiem. Po pracy jeżdżono stamtąd na plażę i Nikę zdumiał widok arabskich kobiet noszących kolyskę na głowie. Po latach podziwiała w Argentynie w górach kobiety, które karmiły piersią dzieci, galopując na koniu. Chcąc wyjechać na front, zgłosiła się do III Szpitala Wojennego, właśnie odpływającego do Italii. A więc Kair i Port Said, gdzie nastąpiło załadowanie na statek. Dość malownicze, bo wspinały się na kolosalną ścianę statku po drabinie, obładowane sprzętem i, jak powiada Nika, niewiele brakowało, żeby spadła. Podczas podróży spały na hamakach pod pokładem, ale podróż minęła spokojnie mimo niemieckich łodzi podwodnych, choć jeden ze statków w ich konwoju, został trafiony przez torpedę. Nie wolno było się na noc rozbierać. „Myślałam, że chyba łatwiej się utrzymać na wodzie w pyjamic, niż w pełnym umundurowaniu”. Był to pierwszy transport polskich ochotniczek do Italii.

Była połowa stycznia 1944 roku, kiedy Nika wylądowała w Taranto, gdzie spotkał ją dotkliwy mróz, wielki kontrast po długim pobycie na pustyni. Nika wchodziła w skład Kompanii Pomocniczej Służby Kobiet, obsługującej lokal dużej szkoły zamienionej na szpital w miasteczku Palagiano. Toczyły się wtedy długie walki nad rzeką Sangro, tuż przed Monte Cassino. Na razie nie było wielu rannych, ale „po ośmiodniowym szturmie na Monte Cassino w maju 1944 wszystkie wojskowe szpitale były przepełnione. (...) W czasie bitwy nikt nie spał. Łykaliśmy benzedrinę i jakoś to szło”. Nie wszyscy jednak uczestnicy tych bojów narażali się na kule wroga. Raz Nika przyjmowała do szpitala grupę żołnierzy i dziwiła się, że żadnej krwi ani bandaży. Odpowiedzieli „my muzykanci”, co znaczyło, jak Nice wyjaśnił pewien sierżant, „tryper albo syfilis”. Według Niki wieść, że to Polacy zdobyli Monte Cassino, „jest jednym z irytujących emigracyjnych mitów”. „Kogóż to tam nie było, Anglicy, Francuzi, Kanadyjczycy, nawet Gurkhowie”. „Korpus poniósł najcięższe straty, ale zwycięstwo należało do wszystkich aliantów, którzy w tej ostatniej bitwie pod Monte Cassino wzięli udział. Wśród poległych byli bliscy mi przyjaciele: Wacław Kielczewski, Jan Scazighino, Tadeusz Grabowski. Ten ostatni leżał w naszym szpitalu, miał ostry

wrzód żołądka. Podleczono go trochę i dostał wezwanie do Szkoły dla Oficerów Sztabowych w Haifie. Ale koniecznie chciał iść na front, żeby zdążyć na wielką okazję. Zdążył. Dostałam krótki list: *No i widzisz, włos mi z głowy nie spadł. Ale w tygodniu później zginął pod Loreto*".

Kiedy skończyła się kampania włoska, poprzedni komendant Niki w O. III. ściągnął ją do Ancony i nastąpił okres wyczekiwania pomiędzy końcem wojny i demobilizacją. Ponieważ brzegi koło Ancony są skaliste, Nika i jej koledzy wypływali małymi łódkami na morze, żeby tam się kąpać. „(...) wypływaliśmy daleko na spokojne, bładoniebieskie morze, zawijając w czasie powrotu do którejś z niezliczonych zatoczek, z wodą przejrzystą aż do głębokiego dna. Po kąpieli wracaliśmy do biura na 4. po południu. Po kolacji szliśmy tą samą grupą na tańce do restauracji *Savoia*". Tańczyli tam nieraz do świtu.

W ogóle życie byłoby piękne, gdyby nie stała obawa, że Anglicy zrobią z Armią Andersa to samo, co zrobili z dońskimi kozakami i innymi byłymi obywatelami Związku Sowieckiego, wydając ich w ręce NKWD. Wątpię, czy Nika dowiedziała się kiedyś, że w Londynie został wystawiony przez dręczonych poczuciem winy Anglików pomnik ku czci zdradzonych obywateli sowieckich. Na szczęście nie musiał on upamiętniać polskich żołnierzy Andersa. W Anconie Nika cieszyła się życiem, bo nie pozostawało nic innego niż *carpe diem*. Starła się, podobnie jak wielu jej kolegów, sprowadzić do Włoch dzieci z Polski, w której to akcji pomagało finansowo dowództwo Korpusu. Niestety jej się to nie udało.

Nawiasem tylko Nika wspomina o swoich odznaczeniach: „Zaawansowano mnie na *Public Relations Officer* (w wojskowym narzeczu na *prawie oficera*). Ponieważ uważałam, że dawno już powinnam dostać ten awans, nie chciałam zmieniać podoficerskich oznak i w końcu sam pułkownik przyniósł mi i założył nowe. Dostałam też Krzyż Monte Cassino, Medal Zasługi, Gwiazdę Italii i jeszcze jakieś odznaczenia, których nie pamiętam”.

Z O. III. przeniesiono ją z powrotem do PSK i z tą formacją skierowano do Anglii przez zniszczone Niemcy i port w Calais. W Londynie spotkała Mistrza i nastąpiła wymiana opowieści o ich losach. Anglia po Italii była dżdżysta, smutna, przygnębiająca.

Adres Niki po wojnie nie od razu znalazłem. Nazywała się wtedy Stadnicka i mieszkała w Buenos Aires. Jak się później okazało, po Londynie zamieszkali na



Fot. Z archiwum rodzinnego córki Niki – Ewy Kocińskiej

Nika, 1950 rok.

wyspie Wright, gdzie kupili sobie dom. Historia milczy o formalnej stronie tego małżeństwa. Prawdopodobnie Nika nie przywiązywała do tego większej wagi, podobnie jak to czynił mój znajomy malarz Kaziol, czyli tak podpisujący swoje obrazy Kazimierz Zielenkiewicz. Odwiedzałem go na wsi pod Paryżem, gdzie mieszkał ze swoją przyjaciółką, Szkotką, tak przysłowiowo skąpą, że narzucała domostwu reżim wegetariański, jako tańszy, czemu musiał podlegać nawet ich kot. Kaziol mawiał: „Nasz kot je legumy” czyli warzywa. Otóż Kaziol był poprzednio żonaty, ale rozróżniał rzeczy ważne od nieważnych i taki pojawia się w moim napisanym o nim wierszu:

Zarzucono mu, że ożenił się z jedną kobietą a żyje z inną.
 Gdzie czas – odpowiadał – na głupstwa, rozwód i tak dalej.
 Ledwo człowiek wstanie, machnie parę razy pędzlem a już wieczór.



Fot. Z archiwum rodzinnego córki Niki – Ewy Kociękiej

Nika, Argentyna, 1960 rok.

Jednak wbrew dość powszechnemu rozluźnieniu norm obyczajowych Nika zadbała o formalny rozwód. Jej pierwszy mąż wrócił z oflagu do Polski i z jej powództwa małżeństwo zostało rozwiązane aktem Sądu Okręgowego w Łodzi w 1947 roku. Nie przeszkodziło to jednak byłym małżonkom wciąż korespondować ze sobą.

Skąd Stadniccy mieli pieniądze na zakup domu, nie dotarło do mojej wiadomości. Być może on przezornie uprawiał to, co wielu polskich oficerów podczas wojny, jak to nazywano, handel „kasztanami”, czyli walutą. Tyle wiadomo, że cierpiał na obsesję III wojny światowej, co było dość pospolite wśród byłych żołnierzy Andersa i psychologicznie rozumiałe. Ich zamiar emigracji do Argentyny mógł mieć coś z tym wspólnego. Innym motywem natomiast była jego nadzieja posiadania w tamtym kraju ziemi, jak przystało człowiekowi szlacheckiego pochodzenia. Te marzenia jednak się nie spełniły. W Buenos Aires, jak słyszałem, ale nie od niej, Nika pracowała na oboje, a potem się rozwiedli. Następnym jej mężem był Henryk Wohlman, z zawodu inżynier elektryk, dużo młodszy od niej, nieumiejący ani słowa po polsku, ani w jidysz, choć był potomkiem Żydów z Tarnopo-

la. Z naszej korespondencji dowiedziałem się, że z powodu słabych perspektyw gospodarczych w Argentynie Nika i Wohlman zdecydowali się wyemigrować do Australii. Nasza wymiana listów, kiedy Nika mieszkała w Melbourne, dotyczyła przeważnie naszych przyjaciół z Wilna, bo taki przyjaciel Niki i mój kolega z



Nika, Argentyna, 1970 rok.

Fot. Z archiwum rodzinnego córki Niki – Ewy Kocięckiej

prawa, Zygmunt Kruszewski, mieszkał w Melbourne. I Nika roztaczała nad nim opiekę, próbując go wyrwać z alkoholizmu, który to nałóg wilnianina w Australii, mnie nie dziwił, jako że sam piłem dużo, wygnaniec w Kalifornii. Wohlmanom w Australii wiodło się dobrze. Henryk miał dobrą pozycję w swoim fachu, a Nika, korzystając ze znajomości wielu języków – bo pomyślmy: rosyjski, angielski, włoski, hiszpański, pracowała jako urzędowy tłumacz przy Urzędzie Imigracyjnym, co zakładało też czynną pomoc i porady udzielane wielu ludziom. Dobra sytuacja materialna pozwalała na podróże turystyczne, łącznie z Eu-

ropą. Nika dwa razy była też w Polsce, a córka z wnuczką Anną odwiedzała ją w Melbourne.

Na innym kontynencie, w Kanadzie, mieszkał przyjaciel Niki z sowietologicznego seminarium, Franek Ancewicz. Jego ucieczka z rodziną kutrem do Szwecji nie udała się. Zawrócił ich niemiecki statek, więc uciekali w litewskim taborze, ciągnącym przez Prusy Wschodnie w ogniu. Po czym mieszkali jako dipisi w Niemczech, czekając na wizę. Franek, mimo że miał doktorat z prawa i jego żona, również z wyższym wykształceniem, poszli pracować do fabryki, żeby zapewnić dzieciom dobre wykształcenie. Franek stał się działaczem związku zawodowego i kandydował do kanadyjskiego parlamentu z partii socjalistycznej, ale nieskutecznie. W domu miał całą sowietologiczną bibliotekę, więc śledził wszystko, co w świecie się działo, ale z naszego mieszkania razem w akademiku znalazłem jego okresy czarnej melancholii i nie zdziwiła mnie wiadomość o jego samobójstwie. Wiele lat później, po jakimś moim odczycie w San Francisco, podeszła do mnie ładna dziewczyna, nie mająca w sobie już nic europejskiego, i powiedziała, że jest wnuczką mego przyjaciela.

Co do Mistrza, to ostatni raz Nika spotkała go na Wyspie Wright w 1948, dokąd przyjechał z żoną i synem, którym udało się wyjechać z Polski. Na emigracji Sukiennicki nie znalazł ujścia dla swoich talentów. Jak sam powiadał, całe życie był dla różnych zatrudnień albo za młody albo za stary. Przez pewien czas pracował w Wolnej Europie, po czym wyjechał do syna, do Palo Alto w Kalifornii, gdzie korzystał z ogromnej kolekcji dokumentów Fundacji Hoovera i pracował nad swoim dziełem pisanym w języku angielskim, poświęconym dziejom Europy środkowowschodniej podczas I wojny światowej. Spotykałem się z nim tam i, jak gdzieś już wspomniałem, Sukiennicki pamiętał mój wyjątkowo błyskotliwy egzamin i nawet nazwiska filozofów, o których mówiłem. Odpowiedziałem mu, że żadnego z tych nazwisk nie pamiętam. Na zapytanie polskiej dziennikarki, gdzie właściwie Profesor mieszka na stałe, czy w Londynie czy w Palo Alto, odpowiedział: „Na stałe, proszę Pani, to ja mieszkam w Wilnie”.

Profesor bez ustanku wracał do dawnych spraw wileńskich i do pewnych swoich ówczesnych obolałości. Uważał, że skrzywdzili go „demiński” nieuzasadnionymi podejrzeniami.

Świadek i uczestnik wydarzeń na uniwersytecie w latach 1931-1935, mam dzisiaj nieco inny pogląd, niż wtedy na główne działające w tym czasie osoby, poczynając od lidera tamtejszego lewicowego ruchu Henryka Dembińskiego.

Był on postacią dostatecznie enigmatyczną, żeby budzić dotychczas kontrowersje. Pochodził z rodziny dość typowej dla zdeklasowanej szlachty. Jego ojciec należał do arystokracji robotniczej, bo pracował jako maszynista kolejowy na Syberii. Ale dom rodzinny był katolicki i pobożny. Toteż Henryk przez parę lat uniwersytetu był działaczem katolickiego „Odrodzenia” i nawet kiedy przesuwał się na lewo, aż do zostania komunistą, pozostały mu różne katolickie skrupuły. Nie mówię o nim jako o moim dawnym przyjacielu, bo nim nigdy nie był, jako że zawsze podejrzewałem go o upajanie się własnym krasomówstwem. Dzisiaj dla mnie jest on trochę podobny do Emanuela Mouniera we Francji, kiedyś głośnego w Polsce katolickiego „personalisty”, w istocie myśliciela dość mętnego, skażonego podczas wojny flirtem z kolaboracjonistami w Vichy, a po wojnie ulegającego fali prokomunizmu. Tak zwana „grupa Dembińskiego”, która wyłoniła się z grupy literackiej „Zagary”, potwierdza moją refleksję o XX wieku jako wieku naznaczonym przez jedno głębokie piętno, które wyjaśnia wiele potworności historycznych tej ery. Był tym piętnem zasadniczy redukcjonizm, czyli zastąpienie pojęcia prawdy obiektywnej pojęciem prawdy zdeterminowanej przez walkę o władzę sprzecznych sił. A więc prawdy jedynie doraźnej, co przekreślało też wszelką działalność ludzką opartą na bezinteresownym poszukiwaniu prawdy obiektywnej. Prawda klasowa albo rasowa przyczyniała się też do rodzaju paranoi węższącej wszędzie wrogów. I można rzecz bez przesady, że dowodem tej paranoi były obozy koncentracyjne i gulgugi. Grupa Dembińskiego uwierzyła w prawdę klasową, skąd już niedaleko było do nazywania przeciwników „slugami burżuazji”, albo wręcz podejrzewania ich o współpracę z aparatem „burżuazyjnego państwa”.

Instytut Badawczo-Naukowy Europy Wschodniej stosował w doborze wykładowców politykę liberalną, przez co narażał się na ataki konserwatystów, ale też równocześnie na posądzenia lewicy, że jest ekspozyturą „dwójki”, czyli polskiego rządowego wywiadu. W Palo Alto Sukiennickiego te dawne kąśliwości nadal obchodziły, a zwłaszcza to, co spotkało go ze strony Dembińskiego, członka jego seminarium. Pomiędzy nim i Niką utrzymywała się korespondencja i nawet w latach 60. zwrócił się do niej, żeby opisała, co się wydarzyło pomiędzy nią i Dembińskim. I oto co pisze Nika w swoim obszernym memoriale bodaj z 1964 roku: „Zasadą obowiązującą przy naszych studiach miał być jak najdalej posunięty obiektywizm, jak to nam na początku oświadczył Profesor. Tymczasem dla ogółu społeczeństwa polskiego ZSRR, niczym współczesny Janus, miał dwa wyraźnie odmienne oblicza: *Bolszewii*, czyli dalszego ciągu *białego caratu*, tylko na wywrót – jak to

dowodził Jan Kucharzewski w swoich fascynujących zresztą książkach – kraju terro-
 roru i bezprzykładnej nędzy oraz *Dyktatury nad proletariatem* albo też *Ojczyzny
 proletariatu*, kraju tworzącego się socjalizmu i sprawiedliwości społecznej oraz
 jedynej nadziei młodzieży. Dziś, z odległej perspektywy wydaje mi się, że można
 było uważać, iż usiłując zająć jakąś trzecią nadrzędną pozycję przeciwstawialiśmy
 się w pewnym stopniu tym, którzy widzieli – i chcieli wówczas widzieć – tylko to
 drugie Janusowe oblicze. Brak nam jednak było wszelkiego prozelityzmu. Byliśmy
 grupką małą, nową i w pewnym sensie elitarną. Wymagany od nas obiektywizm nie
 był wcale łatwy. Każda młodość szuka bezwzględnych wartości: wszystko dla niej
 musi być albo białe, albo czarne, i kto nie z nami ten przeciwko nam. A któż z nas
 nie miał wówczas ciągot ku lewicy, chyba tylko endeck z *czarnym podniebieniem*,
 których zresztą pomiędzy nami nie było”.

Członkowie seminarium dla żartu zwracali się do siebie per „towarzyszu” i „to-
 warzyszko”, co wprowadził Ancewicz, po jakimś ataku konserwatywnego „Sło-
 wa”. Dorek Bujnicki nawet napisał humorystyczny wierszyk o Franku jadącym kon-
 no na cytacie z Marksa.

A oto opis pewnego wydarzenia:

„Od czasu do czasu, gdy miałam do przepisania na maszynie prace swoje lub ko-
 legów przychodziłam do Seminarium wcześniej rano i pracowałam sama. Niekie-
 dy tylko ktoś wpadał na chwilę. Tak właśnie zdarzyło się pewnego ranka na wio-
 snę 1935. Zjawił się Dembiński, który zresztą był ostatnią osobą, jakiej bym się
 o takiej porze spodziewała, interesowały go tylko zebrania, a nie poszczególni człon-
 kowie Seminarium. Przyszedł jednak i usiadłszy naprzeciwko zagał rozmowę:

*No i cóż, towarzyszko, wciąż jeszcze, jak widzę, pozostajecie na usługach tych pachol-
 ków kapitalizmu!*

Dowcip, już i wówczas raczej oklepany, jakoś nie wydał mi się zabawny, zaś ty-
 tułowanie mnie towarzyszką również zadźwięczało dziwnie. Wprawdzie, jak
 wspomniałam, my sami, ku irytacji Profesora, tytułowaliśmy się tak pomiędzy so-
 bą, ale w ustach Dembińskiego zabrzmiało to jakoś inaczej. Toteż odpowiedź mo-
 ja wypadła sucho i raczej nieuprzejmie:

Wciąż jeszcze, jak p a n widzi.

Z dalszej jednak rozmowy najniespodziewaniej dla mnie wynikło, że towarzysz
 Dembiński specjalnie przyszedł, by mnie, naiwną gęś, przestrzec, żebym, póki czas,
 wycofała się z tej kontrrewolucyjnej grupy szpiegów, na czele której stoi *znany*
agent II oddziału wasz „Profesor”.

Wciąż jeszcze nie wierząc własnym uszom, powiedziałam, że jego dowcipy nie są na poziomie i poprosiłam, by dał mi spokój i nie przeszkadzał w pracy.

– *Ależ ja mówię zupełnie serio, upewniam Was, mnie Was szkoda na taką robotę.*

Nieraz w ciągu ubiegłych przeszło trzydziestu lat i w świetle tego, co ostatecznie Dembińskiego w jego tragicznie zakończonym życiu spotkało, starałam się spojrzeć na ten incydent oczami dojrzałego człowieka, a nie naiwnej i sentymentalnej dziewczynki, i wciąż jeszcze wydaje mi się, że nie mogłam postąpić wówczas inaczej, niż postąpiłam. Wtedy, dosłownie czując, że mnie zatyka i błędę ze złości, wycedziłam przez zęby:

– *Jeśli są to istotnie pańskie opinie, oświadczam, że zrobię z nich oficjalny użytek. A teraz niech się Pan stąd wynosi i mam nadzieję, że odtąd noga Pana w Seminarium nie postanie”.*

Skończyło się na sądzie honorowym, który nie wypadł dla Dembińskiego pomyślnie.

Sukiennicki w Pało Alto pisał suchą szkolarską angielszczyzną swoje dzieło pod tytułem: *East Central Europe During World I: From Foreign Domination to National Independance (Europa Środkowo-Wschodnia podczas I wojny światowej. Od obcego panowania do narodowej niepodległości)*. Nie zdołał go ukończyć i uzupełnił je na podstawie notatek autora dr Maciej Sikiński, wydając je w 1984. O chorobie Profesora dowiedziałem się w 1983. A oto co Nika, mieszkająca wtedy w Melbourne, pisze w swoich wspomnieniach:

„W ubiegłym roku pewnego dnia dostałam telegram od Miłosza. *Sukiennicki jest umierający, spróbuj zadzwonić.* Połączenie dostałam natychmiast. Mistrz brzmiał jak zwykle: trochę ironicznie, mówiąc o raku trzustki, o tym że pod wpływem narkotyków chwilami wydawało mu się, że jest znowu w lagrze i że jednak niestety nie zdołał ukończyć swej książki. *Dziękuję za przyjaźń całego życia,* powiedział przed odłożeniem słuchawki”.

Pięć dni później zatelefonowałam do Niki z wiadomością o śmierci Sukiennickiego.

Córka Niki lata matki w Melbourne, 1964 – 1983, określa jako czas, oprócz wileńskiego, najszczęśliwszy. Potem przyszły choroby, jej i jej męża. Nawet jednak w tym dobrym okresie listy Niki miały ton depresyjny, a po śmierci jej męża, w 1991 roku, kiedy została sama, mimo częstych odwiedzin rodziny z Polski, my-

ślała dużo o samobójstwie, szczerze o tym pisząc w swoich do mnie listach. Nie popełniła jednak samobójstwa. Umarła, „pojednawszy się z Bogiem”, 16 grudnia 2001 w wieku 93 lat w Melbourne.

Nika nazywała Sukiennickiego Mistrzem, ale sama była mistrzynią przyjaźni. Miała do swojej osoby duży dystans, i nazywała siebie *złopamiatnaja*, czyli pamiętająca urazy, ale też była wspaniałomyślna i zdolna wybaczać. Miała rzadki dar, jak się to mówi, szczęście do ludzi, więc niktiedy tylko spotykały ją zawody. Opowiedziałem o niej, ponieważ nadal myślę o jej niezwyklej osobowości, ale także żeby na jej przykładzie pokazać niektóre z losów mojego pokolenia.

Pisząc ten tekst posługiwałem się następującymi materiałami:

Wiktor Sukiennicki, *Legenda i rzeczywistość, Wspomnienia i uwagi o dwudziestu latach Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie*. Seria Dokumenty. Instytut Literacki, Paryż 1967.

Nika Kłosowska, *Mistrz* (w:) „Kultura”, Paryż 6/1984.

Nika Kłosowska, *Fragmenty wspomnień* (w:) „Zeszyty Historyczne”, numer sto trzeci, Instytut Literacki, Paryż 1993.

Nika Kłosowska-Wohlman, *Wojna i druga młodość* (w:) „Zeszyty Historyczne”, zeszyt sto siedem, Instytut Literacki, Paryż 1994.

Korzystałem również z listów córki Niki Kłosowskiej, Pani Ewy Kocięckiej.

Czesław Miłosz



Fot. Elżbieta Lempp

Wisława Szymborska

Ze wspomnień

Gawędziliśmy sobie,
zamilkliśmy nagle.
Na taras weszła dziewczyna,
ach, piękna,
zanadto piękna
jak na nasz spokojny tutaj pobyt.

Basia zerknęła w popłochu na męża.
Krystyna odruchowo położyła dłoń
na dłoni Zbyszka.
Ja pomyślałam: zadzwonię do ciebie,
jeszcze na razie – powiem – nie przyjeżdżaj,
zapowiadają właśnie kilkudniowe deszcze.

Tylko Agnieszka, wdowa,
powitała piękną uśmiechem.

Wisława Szymborska



Fot. Woody Ochotko

Julian Kornhauser

Zwyczajne niebo Wisławy Szymborskiej

Niebo jest wszechobecne. Co to znaczy? Niebo dla Szymborskiej oznacza bezkres, nieskończoność. Dlatego mówi się w *Początku i końcu* o bezsensowności podziału świata – egzystencji na niebo i ziemię (piekła tu nie ma). Wcale góry nie są bliższe nieba niż doliny. Bo niebo to także sens trwania. Nie mówmy: pod niebem, bo tak naprawdę powinniśmy powiedzieć: żyjemy w niebie. Nie wątpię, że chodzi też o desakralizację tego pojęcia, o zdecydowaną ucieczkę od religijnego nakazu. Niebo sypie się nam do rąk jak okruchy chleba, jemy niebo jak najsmakowitsze danie. Ziemia tylko uziemia, przygważdża ludzkie istnienie. Ale właściwie człowiek według Szymborskiej jest „pułapką w pułapce”, wszystkim i nikim, bytem samym w sobie, ograniczonym przez zachwyty i rozpacz. Żyć w niebie i być niebem jednocześnie to paradoks dany tylko nam, „zamieszkiwanym mieszkańcom”.

Czyż nie jest to pochwała wolności istnienia? Bez ograniczeń i narzuconych schematów? Hymn na cześć tworzenia nieba na ziemi. A więc zachwyty nad życiem, radość z życia. Ale i mocne stwierdzenie, że nie wolno poddawać się żadnym kodyfikatorom. „Jeślibym była szukana”, podaję mylne tropy. Bo nie chce być odszukana. Poetka ceni sobie anonimowość, obojętnie jak ją rozumieć: czy

w kontekście historycznym (zawirowania powojenne), czy prywatnym (ucieczka przed społecznymi rolami). Jednakże anonimowość to także życie bliskie natury, zatopienie w zwykłości. A zwykłością jest *zdarzenie blahe*. Bardzo duże znaczenie przywiązuję do tej deklaracji. Każde blahe zdarzenie, mówi poetka, ma swą bogatą przeszłość: ta chwila powstała z innej chwili. Czas poprzedni – przedtem, nie od dziś, nie od przedwczoraj, wcześniej, nasze korzenie – określa nieważną rzeczywistość. Określa to znaczy nadaje jej znaczenie, uhistorycznia.

Historia wielka, czyli tajne spiski, wędrówki ludów, koronacje, powstania, wcale nie unieważnia małą historię, tj. mrówkę w trawie i motyla, samą trawę i cień motyla. Ona także jest zawila i szczególna, gęsta i jedyna w swoim rodzaju. W tym kontekście pojawi się pojęcie *okoliczności*. „Choć w pobliżu nie wielkiego się nie dzieje”, nieważność zdobywa przewagę nad ważnością. Powstała taka okoliczność, że „jestem i patrzę”. Tak się złożyło, do tego doszło, „a jednak siedzę nad rzeką”. Okoliczność zrodzona nie wiadomo z czego i dlaczego. Na pewno ze świętego przypadku, z nieuzasadnionej przyczyny. A skoro tak, to trzeba cieszyć się każdą ciszą i deseniem fali. Nieważnym szczegółem, bo przecież sam człowiek jest nieważności skutkiem.

Ważna też jest niewiedza. Nie wiedzieć – czyż to nieoczywiste? Skoro sednem istnienia jest być i patrzeć, jak zdążać do pewności, do wiedzy? Szymborska przede wszystkim nie wie, czym jest poezja. I kto ją czyta. I co znaczy lubić wiersze. Poezja rodzi się bowiem niespodziewanie, bez wyraźnej przyczyny, a poeta niczego nie przesądza, nie konstruuje i nie poucza. Wyraża w sposób niepewny paradoks istnienia. Nie wie, co to poezja i „trzyma się tego jak zbawiennej poręczy”. Wiem, że nie nie wiem. To takie proste, ale Szymborska nadaje tej sokratejskiej prawdzie nowy wymiar. Wymiar tajemnicy.

W wierszu *Koniec i początek* został przypomniany sens odwiecznego porządku. Najpierw są zgliszcza, potem budowanie. Ktoś burzy, a następnie ktoś inny sprząta. Ale to jeszcze nic. Budowanie i sprzątanie nie są wcale fotogenicznymi czynnościami. Kamery rejestrują wojny, a nie stawianie nowych domów. Zło uparcie przyciąga ciekawskich, zaś dobro, czynienie dobra zwyczajnie nudzi. A czas biegnie szybko i już dosłownie za chwilę mało kto pamięta, co było przedtem i dlaczego. Trawa porasta przyczyny i skutki. Szymborskiej imponuje beztroski mieszkaniec globu, zapatrzonego w chwilowe chmury, a nie w historyczne wydarzenia. Bo jest nieskalany i unieważniony. Ten ciągle powtarzający się ruch: koniec czegoś i początek nowego nie mieści w sobie znaczeń.

Sądzę, że filozofia Szymborskiej oddała znaczenia, a więc wiedzę, tj. pewność, jednoznaczność na rzecz – nawet nie przypadku – lecz nieoczywistości i paradok-

su. „Ci co wiedzą tyle co nic”, a więc odrzucający przeszłość, mkną ku nieznanemu. Nic też dziwnego, że w naszym świecie rządzi nienawiść. Ani współczucie, ani braterstwo, nie mówiąc o zwątpieniu nie są w stanie przebić się przez ciasny tłum złych nawyków. „Mistrzynią kontrastu” jest właśnie nienawiść. To ona tworzy piękno, ona – zdolna, pojętna i wcale nie ślepa, jak tyłu sądzi, bo „ma oczy snajpera”. Mierzy dokładnie i stanowczo, wybierając właściwy cel. W tej paradoksalnej opowieści o nienawiści, sprawnej i zawsze gotowej do skoku, Szymborska zawarła wielką mądrość o pięknie zła. Człowiek żyje, stale ulegając podszepotom ciemności. Tak jakby szukał ryzyka kłęski, jakby nie wystarczał mu bieg ku przyszłości.

Ale nasz straszny świat, nie jest wolny od piękna codzienności. Tragedie powiązane są z całkiem wesołymi zdarzeniami. Wszystko płynie. Chaos przywraca porządek, nieszczęście rodzi szczęście. „Życie toczy się dalej” – jedna z najważniejszych to w poezji Szymborskiej konkluzji. Ukazuje poetkę, która stoicko przyjmuje ciosy Historii. Zawsze życie zwycięży. Dawne wielkie pobożowiska już dawno zarosła trawa. Na ich miejscu wyrosły budki z lodami. Nieważne zatem jest to, co boczy się na kartach podręczników, lecz to, co zwykle. Tamto znika, zaciera swoje pochodzenie. Zostają tylko suche fakty, daty i liczby. To ahistoryczne, pętające się gdzieś na marginesach, jest trwale, bo poddane życiu. Dlatego jawa, jak mówi Szymborska, ma przewagę nad snami. Bieg wydarzeń nad pamięcią. Rzeczywistość, a nie szaleństwo wyobraźni.

To samo jest ze śmiercią. Ci, co znaleźli się po drugiej stronie, rozplywają się w nieskończoności. Ich dalszy los jest niepewny. Są jeszcze, czy już ich nie ma? I jak ich wszystkich policzyć? Rachunek elegijny nie podaje liczb. Ich wymiarem jest nieobecność. Można z nimi rozmawiać i nawet czekać na odpowiedź. Czy można jednak mieć pretensje do widoków, że ciągle pięknieją i to w chwili bezbrzeżnego smutku? Jak pogodzić te dwa stany? Zachwyt nad jasnym porankiem i kwitnącymi bzami ze zgodą na śmierć najbliższych. Poetka odpowiada tak: śmierci właściwie nie ma. Najpierw być, potem zniknąć – to przecież niemożliwe, to jakiś koszmarny błąd istnienia. Więc na pewno liczy się tylko to, co będzie. Ciągle tylko jest to, co b e d z i e . Bo nic się nie zmienia, wszystko trwa i trudno uwierzyć, żeby nagle miał nastąpić koniec. Co roku wszystko się powtarza. Nawet „mój smutek” nie powstrzyma zieleni, pojawiającej się nagle, choć spodziewanie. Jedynie, co można zrobić w obliczu śmierci ukochanej osoby, to nie odwiedzać dawnych, wspólnie poznanych i dobrze oswojonych miejsc. Oddać je przyrodzie, to znaczy innym. Szymborska mówi o przywileju nieobecności.

Tu blisko do przypadku, o którym czytamy w wierszu *Seans*. Przypadek rządzi nami i przestrzenią, „zagląda głęboko w oczy”. Przypadek wynika z niepewności. Bawi się z każdym z osobna, nawet zakochani od pierwszego wejrzenia nie mogą być pewni, że wcześniej się nie zetknęli całkiem przypadkowo. „Każdy przecież początek/to tylko ciąg dalszy”. Ta prawda wiernie towarzyszy poetce od dawna. Ciąg dalszy innego zdarzenia, które też miało swój początek. Ważniejsze od terażniejszości jest to, co będzie, ale przecież także, co było. Tylko że niejedna dawna chwila nie zamieni się w znaczenie. Przeszłość nie zawsze nam coś rozsądnego mówi. Jakaś sekunda naszego życia sprzed wielu lat, choć ważna, na pewno umknęła naszej i czyjejś uwadze.

Nie dziwią zatem pytania o sens naszego istnienia. „Może to wszystko dzieje się w laboratorium”? Ktoś nas obserwuje, przelicza, przesypuje? Nas, pokolenia próbne, doświadczalne. W końcu nie wiadomo dokładnie, czym jest świat i jak na nas wpływa. Nie mamy przecież skali porównawczej – do innych światów i innych czasów. Jeśli spojrzeć na nas z zewnątrz, z jakiejś „anielskiej perspektywy”, okaże się, że ważne są nie ludzkie dramaty, ale raczej „ta rozhuśtana na grozie wesołość”. Jakaś planetarna tragifarsa. Same zaskoczenia i paradoksy. Nawet życie jest tak urzędzone, mówi Szymborska, że trzeba sobą zapłacić za nie. Jesteśmy wiecznymi dłużnikami, bo mowy nie da się wypowiedzieć. Na liście splat nie ma tylko duszy, tego „protestu przeciwko rachunkowi”. Ale najtragiczniejsze jest to, że nie człowiek pozwolił sobie otworzyć ów rachunek. Skoro kierowany jest biologią, „bezwolnym dziedziczeniem cech”, a nie boską opatrnością, jak może wybierać? Ziemia to zbiorowisko ludzkich śmieszności i lekkomyślnych decyzji. Niczego nie wiemy na pewno. I dobrze. Wielkim bowiem szczęściem jest żyć w niewiedzy!

Julian Kornhauser



Fot. Czesław Czaplinski

Jan Błoński

Cesarz, Pan i Żyd,
czyli o „powieści habsburskiej” w Polsce

Franciszek Józef zjawił się w polskiej literaturze późno, bo dopiero w 1936 roku. „Nagle dwaj starcy w generalskich mundurach, z przewieszonymi w poprzek piersi szarfami koloru jajecznicy, wprowadzili trzeciego starca w jasnoniebieskiej bluzie...” Za chwilę, ponaglany przez przodków na portretach (a zwłaszcza przez „pełną wigoru” Marię Teresę), podpisze manifest *Do moich ludów...* i rozpocznie tym samym historię cierpliwego picchura, Piotra Niewiadomskiego spod Kołomyi, ni to Rusina ni Polaka, ni chłopca ni robotnika kolejowego, ni katolika ni prawosławnego (bo unity), ani bohatera wreszcie ani dekownika. Historię cesarskiego poddanego, bo Piotr wie, że trzeba służyć – cesarzowi i Bogu, choć kapłanom i oficerom niekoniecznie. Godząc się na wypowiedzenie wojny, właśnie jego – nieznanego żołnierza i wiernego poddanego – skazuje cesarz na śmierć.

Józef Wittlin umiał w przeciętności Piotra zobaczyć niepowtarzalną ludzką indywidualność i *Sól ziemi* to na pewno jedna z najlepszych i najmądrzejszych powieści o pierwszej wojnie, choć nie pada w niej ani jeden strzał. Jak łatwo dostrzec, cesarz jest w niej jeszcze przedstawicielem państwa, nie zaś symbolem epoki czy

społeczeństwa. Tym stanie się później. W *Soli ziemi* reprezentuje siłę, która społeczność burzy, nie zaś – spaja i podtrzymuje.

W tymże roku 1936 Bruno Schulz, który dziś uchodzi za jednego z najoryginalniejszych polskich pisarzy XX wieku – ogłosił opowiadanie, gdzie znaleźć można taki oto portret cesarza: „Wiele przemawia za tym, że Franciszek Józef I był w gruncie rzeczy potężnym i smutnym demiurgiem (...) On to wymyślił w pewnego rodzaju przewidującej dobrotliwości c.k. loterię dla ludu, senniki egipskie, kalendarze ilustrowane oraz c.k. tabak-trafiki. Ujednostajnił on też służbę niebieską, odział ją w symboliczne niebieskie uniformy i wypuścił na świat, podzielony na dykasterie i rangi, personel zastępów anielskich w postaci listonoszy, konduktorów i poborców podatkowych”. W na pół onirycznym, na pół mitycznym świecie Schulza Franciszek Józef rodzi się w dziecięcym markowniku, schodzi ze znaczków pocztowych, aby stać się jedną z figur masochistyczno-estetycznej gry, którą prowadzi wyobraźnia pisarza. Było to może trochę wiedeńskie... ale przecie nie habsburskie i może lepiej dać Schulzowi spokój? Ale to jedno warto podkreślić: cesarz, całkiem już prywatny i „wewnętrzny”, stał się znakiem świata uporządkowanego, osobistej ojczyzny, tajemnego zakorzenienia... do których nie tylko Schulz będzie tęsknić: starość i dzieciństwo nawiązują pakt równie nostalgiczny co przewrotny.

Posłuchajmy teraz, jak w opowieści Stanisława Vincenza *Na wysokiej poloninie*, także z 1936 roku! – peroruje wójt Żabiego, dużej wsi we wschodnich Karpatach: „Przecie są tacy co mówią, że ruski car najlepszy, bo prawosławny, to znaczy twardy i strasznie mocny, a inni, że Francuz, bo choć miękki, sama delikacja, głowa nie żadna kapusta. A ja mówię, ja, wójt Żabiego: nasz cesarz najlepszy, ani twardy, ani miękki, bo nam dowierza, daje nam borgi wielkie, daje konstytucję, to znaczy daje nam spokój. I mówi tak, wielkim pismem pisze czarno na białym, złotym na srebrze: «Ludzie, bądźcie sobie jak sami chcecie! czy wy wiary Bożej czy ludzkiej, ludzkiej czy pańskiej, chrzczonej czy żydowskiej (...) nie martwcie się waszą wiarą, ani niczyją, wiara to skóra, nikt nie winien za swoją skórę. Mnie cesarzowi wasza skóra się bardzo podoba.»” Apostolski monarcha został więc – ironicznym obrotem czasu – patronem tolerancji...

Tak i w polskiej literaturze zjawia się najznamienniejszy chyba wątek habsburskiego mitu: życzliwość – więcej, ciekawość odmienności religijnej, narodowej, językowej. Zjawia się gdzie? Nie w Krakowie, nie w zachodniej czysto polskiej Galicji, ale we wschodniej – w kraju, którego religijno-narodowa mozaika mogła śmiało konkurować z najbardziej pstrokatymi zakątkami Bałkanów. Stamtąd też pochodzą pisarze, o których tu mowa.

W tych trzech cesarskich portretach nikt by się przed kilkudziesięciu laty niczego niezwykłego nie dopatrył. Bo też nie mógł się domyślać, że zapowiadają literacki wątek (a może szkołę?), który miał rozwinąć się po następnym kataklizmie, dopiero w latach sześćdziesiątych! Wtedy więc, kiedy w pamięci i wyobraźni pisarzy obie wojny zlewać się zaczęły w jeden c.k. świat, trwający jeszcze w zwyczajach, wnętrzach, architekturze... aż zniknie ostatecznie i do końca.

To utożsamienie czuć dobrze w *Austerii* Juliana Strykowskiego, gdzie najazd Kozaków jesienią 1914 roku (wraz z nieuchronnym i natychmiastowym pogromem) przybiera od razu wygląd końca świata, zapowiadając niejako ofensywę pancernych hord Hitlera.

Także w *Drodze do Koryntu* Andrzeja Kuśniewicza, erotycznym fantazmacie, czy raczej *folie en deux*... rodzi się w pałacu pod Lwowem, gdzieś koło 1912 roku to szaleństwo, które przez Wiedeń, i ulubione miasto Kuśniewicza, Graz, dociera do Paryża, aby tam, już na pewno po 1945 roku, zgasnąć w żalonych ceremoniach ku czci księżnej Geroldstein czy panny Olli, co tak lubiła kąpać się w szampanie.

Jak widać, rządzą tą literaturą Pan i Żyd, obaj na równi – choć całkiem inaczej – zafascynowani różnicą. Dla Żyda poznanie i przyswojenie sobie inności (inaczej mówiąc, różnokierunkowy proces asymilacji) to zarazem kwestionowanie i przyjmowanie samego siebie, proces budowania indywidualności. Czy muszę mówić, że wynik jest zawsze odmienny od oczekiwanego? W *Głosach w ciemności* Strykowskiego, reb Tojwie, chcąc ożywić zaskorupiały w formalizmie judaizm, popycha niechęć dzieci w stronę polskości. Ale w *Czarnej róży*, to ta polskość, ledwie przyswojona, już ustępuje ideałowi światowego komunizmu! Czytane jako jedna całość, powieści Strykowskiego składają się jakby w syntetyczną biografię żydowskiego inteligenta z Galicji... czy może ze środkowej Europy? Wspomnienia „habsburskiego” sztetla, złączone z przeczuciem (czy pamięcią?) holocaustu, każą w końcu bohaterom Strykowskiego powrócić sercem do wiary ojców: tak właśnie we wstrząsającym *Śnie Azrila*. Przeszło osiemdziesięcioletni Strykowski pisze opowieści o królu Dawidzie, o Judzie Makabim. Drukuje je zaś w dominikańskim wydawnictwie... Strykowski doszedł tam, gdzie zaciera się wszystko co chwilowe, co nieistotne.

A polski pan? Pan nie po to się narodził, aby szukać sobie miejsca w różnokolorowym i różnoetnicznym świecie. Raczej po to, aby tej odmienności, tego bogactwa zakosztować! Andrzej Kuśniewicz debiutował bardzo późno, koło pięćdziesiątki, i to wierszami!... aby potem machnąć szybko tuzin powieści. Całkiem tak, jakby chciał przeżyć wyobraźnią drugie życie, choć to pierwsze było na pew-

no i niebezpieczne, i ekscytujące. Kuśniewiczowi nieobce były i dyplomacje, i wywiad, i administracja – całkiem różnych reżimów. Zapewne dlatego tak zartata jest w tych powieściach granica między urojeniem a wspomnieniem i zmyśleniem (narratora) i prawdą (postaci). Nic nie jest pewne, bo opowiada się tu nie tyle wydarzenia, ile wewnątrz opowiadającego: czasem całkiem jawnie, jak w *Stanie nieważkości*, gdzie szpitalne majaczenie układa się w trzy – częściowo jednak prawdziwe? – historie rodzinne, realizujące, w różnych czasach i miejscach, „idealną autobiografię” narratora. Ale ten narrator dobrze wie, że zmyśla, i nawet tego przed czytelnikiem nie ukrywa... Nie muszę też chyba dodawać, że ta autobiografia, choć „idealna”, nie jest bynajmniej budująca.

Kuśniewicz lubi XVIII wiek, libertynizm w myśli i obyczaju, zręczność i cynizm w polityce. Nade wszystko zaś – otwarte granice i społeczną różnorodność, współlistnienie odmienności, które stale stymuluje pożądanie i pozwala wcielać się w coraz to nowe role. Ale te role nie są już całkiem prawdziwe, całkiem przekonujące. Bo też zostały nie tyle zobaczone, ile przeczytane w dzieciństwie czy wczesnej młodości, kiedy to – podobno... – istnieli jeszcze kąpiący złotem dostojnicy, upajające diwy, długowłosi geniusze i zabójczo elegancyjcy oficerowie. Ten wymarzony sezam nie może się więc, czy nie chce otworzyć. W świecie, który zaczął się po 1918 roku. Kuśniewicz naprawdę zna tylko dwie odmiany bohaterów. Jedni usiłują spełnić swe marzenia w faszyzmie (*Eroika*) albo terroryzmie (*Trzecie królestwo*). Drudzy zaś rezygnują, chcą się przystosować i podporządkować (*Strefy*). Jednych czeka kara śmiechowości i konformizmu; drugich – moralne potępienie i gorzyc przegranej.

Pozostaje jednak ulubiony bohater Kuśniewicza, młody człowiek, który tych czasów nie doczekał. Emil R., porucznik dwunastego pułku ułanów z „Fehertemplom, inaczej Bela Crkva, lub Ungarisch Weisskirchen” – wyskakuje z pociągu, który wiezie go na front. Porucznik von Kickeritz dogorywa miesiącami na gruzlicę, pełniąc błahę funkcję wojennego komendanta stacyjki w Karpatach: jego zwłoki wrócą do Grazu ostatnim pociągiem, 16 listopada 1918. Figura skazanego młodzieńca jest, rzecz jasna, wysoce symboliczna: zaś jego śmierć więcej ma wspólnego z wewnętrznym splątaniem i duchową niemocą, aniżeli z wojenną porażką. Obu poruczników poznajemy w chwili, kiedy niesie ich złudzenie siły, ciekawość zmysłów, fascynacja wyrafinowanymi możliwościami, które w sobie czują... Ale te możliwości, osobliwie związane z seksualną regresją, która prześwituje w estetycznym wyrafinowaniu. W obu wypadkach doprowadzi to do zabójstwa przedmiotu miłości, cygańskiej dziewczyny czy karpackiego chłopca... Te zatem możliwości prowadzą nieuchronnie w śmierć. Śmierć obyczaju, stylu życia, hierarchii warto-

ści... w tym samym stopniu co śmierć jednostek. Na Emila R. patrzy jeszcze Kuśniewicz z zewnątrz, opowiada o nim nie bez dystansu i humoru. Historia von Kickeritza, bardziej przygnębiająca i trochę bluźniercza, pełniej uwewnętrznia proces dekadencji, na pół tandetnej, na pół tragicznej.

Związki Kuśniewicza (a także jego przyjaciela, dobrze znanego mistrza aforyzmu Stanisława Jerzego Leca) z Wiedniem nie mogą budzić wątpliwości. Ale polski czytelnik może powieści Kuśniewicza, Strykowskiego, Vincenza i tuzina innych umieszczać także w innej, bardziej swojskiej całości. Pamięta on bowiem o tradycji Kresów, tych ogromnych połaci między Bugiem, Dźwiną, Dnieprem i Karpatami, gdzie przez wieki Polacy grali pierwsze role, polityczne niegdyś, potem już tylko kulturalne. Ta tradycja, silniej naznaczona romantyzmem, odżyła także w obliczu końca, czy raczej po końcu Kresów, czyli po 1945 roku. I choć wyraźnie odmienna od habsburskiej, ma z nią niejeden rys wspólny, pochodny od stanowego obyczaju i etniczno-religijnej mozaiki. Tak, że znalazł się nawet pisarz – Piotr Wojciechowski, który swoje opowieści umieszcza w fikcyjnym państwie, sięgającym od Adriatyku po Taszkient! Przypomniawszy ten – zaiste osobliwy i oryginalny *casus* – kończę, przypominając, że nawet w literaturze habsburska potęga ma swoje granice.

Jan Błoński

JAKI JEST TERAŹNIEJSZY STAN LITERATURY POLSKIEJ?

Kontynuując ankietę, po odpowiedziach: Czesława Miłosza („Kwartalnik Artystyczny” nr 3/2001 (31)), Henryka Grynberga, Stanisława Lema, Leszka Szarugi, Janusza Szubera (nr 4/2001 (32)), Julii Hartwig, Jerzego Gizelli, Mieczysława Orskiego, ks. Jana Twardowskiego i Piotra Wojciechowskiego (nr 1/2002 (33)) zamieszczamy kolejne glosy. Ciąg dalszy w następnym numerze.

Ludmiła Marjańska

O polskiej literaturze współczesnej bardzo osobiście

Nie mam zacięcia krytycznego i chyba nigdy dotąd nie odważałam się pisać ani o literaturze współczesnej czy o poszczególnych pisarzach, ani tym bardziej na tak zasadniczy temat, jak stan współczesnej literatury. Zwłaszcza że moja jej znajomość ogranicza się właściwie do poezji, którą czytam, o prozie głównie wysłuchując głośów krytyków czy komentatorów. Pomaga mi w tym wydatnie Program II Polskiego Radia, a zwłaszcza „Tygodnik Literacki” prowadzony przez Iwonę Smolkę.

Uważałam się zawsze (w pewnym sensie) za outsidera, może nawet za laika, którego przypadek? zamilowanie? skłonności rodzinne? zmusiły do wypowiedzania się w formie poetyckiej, niegdyś najchętniej rymowanej. Nie nadążałam za prądami literackimi, do Związku Literatów weszłam późno i dość przypadkowo. Nie należałam też do żadnej grupy poetyckiej, która mogłaby mieć na mnie wyraźny wpływ. Moje życie płynęło chyba poza literaturą, którą chłonęłam mimo woli, nie ośmielając się zabierać głosu. I choć niektórzy uważają to pewnie za rodzaj kokieterii czy nawet minoderii, mimo upływu lat nie uważałam się nigdy za osobę kompetentną, aby mówić serio o literaturze. Czy podświadomie uważam ją za rodzaj sztuki, o której nie mam prawa się wypowiadać, czy może mam skłonność do przyjmowania spraw nawet poważnych z lekkim przymrużeniem oka?

Widocznie jednak osiągnęłam już wiek, że wypada zapraszać mnie do udziału w ankietach literackich, a ja odważam się wypowiadać na temat, który był dla mnie

raczej pewnego rodzaju pożywką dla umysłu, czymś zbyt poważnym, aby analizować, krytykować, omawiać.

Stwierdziłam ostatnio, że ta „pożywka” stała się dla mnie jednak chlebem codziennym, może dlatego, że to, co zawsze było dla mnie „prawdziwym życiem”, samą jego esencją – zniknęło, odeszło, a najważniejsze stało się dla mnie pisanie. Pisanie wierszy jako wypowiedź własnych stanów wewnętrznych, przemyśleń, może też wieloletnich doświadczeń. Późno dojrzewam do tego odkrycia, które ujawnia mi również, jak głęboko interesuje mnie nie tylko własna twórczość, ale i twórczość innych poetów.

Otóż cieszy mnie niezwykła różnorodność talentów i osobowości poetyckich. Przeszłam długą drogę od częstochowskich (z racji mego urodzenia) rymów do swobodnej formy wiersza, gdzie niepotrzebne są nawet znaki przestankowe. Składając hołd Kochanowskiemu, podziwiając Mickiewicza, odnajduję mądrość w Norwidzie i piękno w Słowackim. Wracam do źródeł? A współcześni? Herbert, Różewicz, Szymborska – moi rówieśnicy – o tyle dojrzałsi, o tyle przerastający swoją poezją niezliczone rzesze piszących. Nie sposób im dorównać. Każdy z nich inny, własny, niepowtarzalny. A franciszkańskie wiersze księdza Jana Twardowskiego? Wymieniam tylko te cztery nazwiska. A przecież czasami w skromnym zbiorze wierszy znajduję nagle błysk poezji, w nużącym tematycznie, przegadanym tomiku – mały klejnocik. Co za niebywała różnorodność, ile osobowości. A także ile ambicji, ile pychy, pragnień, dramatów, że nie dorastamy...

Każdy wieczór autorski, każde spotkanie przynosi niespodzianki.

Wczoraj – czyta swoje wiersze znakomity krytyk, świetny, przyjazny poetom człowiek. Jesteśmy pod wrażeniem głębi filozoficznych przemyśleń i przeskoków do kolokwialnych opisów. Dzisiaj – poranek w Salonie Pisarzy Biblioteki Narodowej, która otworzyła twórcom gościnne progi. Skromny poeta, nieśmiały i nieabsorbujący sobą, zmienia się na naszych oczach, czytając nieoczekiwanie pewnym głosem wiersze z kolejno wydawanych tomików. Spotkanie wywołuje zaskakujący oddźwięk. Znany krytyk, od lat śledzący poezję, wybuchu gniewem: razi go niespotykana dotychczas u tego autora zmiana dykcji, aluzje do polskich noblistów, krzyk z jakim poeta wypowiada swoje wewnętrzne rozdarcie. Rozdarcie? Poszukiwania? Własny dramat, który nie pozwala mu panować nad formą? Urazy wobec uznawanych wielkości poetyckich?

Czy wolno pocić obnażać swoje wnętrze? Czy w naszym współczesnym, okrutnym świecie musi podporządkować się formie? Czy krzycząc z rozpacz może epatować wulgaryzmami? Czy poezja ma wypowiadać świat, który nas otacza, atakuje, zabija – czy ma wypowiadać wnętrze jednostki? Czy ma być filozofią, czy

słowolejstwem? Czy możemy być sobą, czy mamy podporządkować się rygorom? Pytania bez odpowiedzi.

Po burzliwym spotkaniu zatrzymuje mnie nieznany starszy pan i ni stąd ni zowąd wręcza mi swój tomik wierszy, ładnie, zapewne własnym sumptem wydany: „Pomyślałem, że jeśli będzie ktoś, komu chciałbym go dać...”.

Czuję się wyróżniona zaufaniem i przerażona odpowiedzialnością. Jakże lekomyślnie zabrałam głos po stronie umiaru! A teraz mam przeczytać kolejną garść wierszy poety-amatora, poety nieznanego, który chciał kogoś obdarzyć swoim zaufaniem. Chyba nie będę więcej ryzykowała, wypowiadając swoje zdanie na następnych spotkaniach. Będę słuchać głosów poetów, czytać ich wiersze i cieszyć się znajduwanymi perełkami.

Zdaje się, że – jak mi się to zdarzało w przedwojennym gimnazjum – napisałam znowu wypracowanie nie na temat. Bo jaki jest naprawdę stan naszej literatury? Wielu piszących, tysiące wierszy, a odkąd można wydawać własnym sumptem (zresztą podobnie było w międzywojniu), niezliczona ilość poetyckich tomików. Czy to dobrze, czy źle?

Na szczęście dla literatury oprócz wierszy mamy też znakomitą prozę i ta jeszcze znajduje wydawców, bo przecież autorów nie byłoby stać na wydanie jej za własne pieniądze. Ratując resztki optymizmu, o problemach finansowo-wydawniczych nie chcę tutaj pisać. Swoją drogą, czy skromny poeta, autor kilku wydanych zbiorów wierszy nie ma prawa zaskakiwać nas swoją ujawnioną nieoczekiwanie przemianą wewnętrzną?

Ludmiła Marjańska

Adriana Szymańska

Mój optymizm

Piszę o literaturze od ponad 30. lat i jakoś nie zabrakło mi nigdy tematów i nowych inspiracji. To wyznanie mogłoby stanowić dowód nie wprost o nie słabnącej wciąż dobrej kondycji naszego pisarstwa. Muszę jednak dodać, że piszę, owszem, głównie o literaturze rodzimej, przede wszystkim jednak o poezji, aktualności prozy umykają więc często mojej uwadze. Kiedyś, jeszcze w czasach PRL-u, kiedy literatura była areną, na której dokonywały się akty urealniania naszego pozbawio-

nego moralnego kośćca świata, kiedy sięganie po tematy kresowe stawało się niekiedy jedyną szansą uprawdopodobnienia historii, lubiłam wylapywać co ciekawsze nowości prozy, pisywałam m.in. o Strykowski, Odojewskim, Kuśniewiczu, Paźniewskim, pisałam o debiucie prozatorskim Piotra Szewca, pisałam nie bez entuzjazmu i krytycznej satysfakcji. W ostatnich latach prozą zajmuję się z rzadka, choć z radością recenzowałam na przykład dla „Kwartalnika Artystycznego” drugą „zamojską” książkę Piotra Szewca *Zmierzchy i poranki*.

Dziś, kiedy literatura jest tym, czym zawsze była w swej podstawowej roli w czasach względnego spokoju i demokratycznego ładu, a więc sejsmografem ludzkich uczuć, myśli i wyobrażeń o świecie, rozszerzył się i u nas zakres tematów i objawili pisarze z przeróżnymi obsesjami, choć co ciekawe – wciąż istnieje w naszej prozie coś w rodzaju „kresowości”, w każdym razie są to koloryty lokalne związane z miejscem pochodzenia czy pobytu pisarza. Jak gdyby tęsknota za przeszłością, pamięć historii i dawnych relacji między ludźmi silniejsze były od presji czy atrakcyjności współczesnej rzeczywistości. O ile wiem, mało kto dziś pisze o tym, co w tej chwili dzieje się w naszym kraju, a jeśli już, są to próby dotyczące marginaliów czy wręcz patologii społecznych w naszym świecie. Bo też najtrudniej chyba napisać epopeję czy choćby nowelę o wydarzeniach bieżących – z dziś czy z wczoraj. Literatura przecież zawsze karmiła się historią, tradycją, zjawiskami z pogranicza teraźniejszości i dawności, i z tych obrazów przeszłego świata budowało się często wizję tego, co jest i co będzie. Swoje „przeszłościowe” tematy i niezmiennie obszary moralnych, psychologicznych i obyczajowych penetracji mają więc m.in. Olga Tokarczuk, Andrzej Stasiuk, Paweł Huelle, Stefan Chwin, Krzysztof Myszkowski, Włodzimierz Kowalewski czy Anna Bolecka i pewnie pozostaną oni przy własnych wyborach.

Uważam też, że obecność w naszej literaturze pisarstwa Tadeusza Różewicza, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Jarosława Marka Rymkiewicza, Wiesława Myślińskiego, Ryszarda Kapuścińskiego, Marka Nowakowskiego czy Kazimierza Orlosia – żeby wymienić pisarzy najchętniej przeze mnie czytanych – zapewnia nie tylko mnie znakomitą lekturę, ale i miejsce niepoślednie polskiej prozie na światowej mapie kulturowej. A przecież raz po raz zdarzają się jeszcze pozytywne niespodzianki, gdy ktoś znany z zupełnie innej strony – jak na przykład Michał Głowiński – napisze nagle prozę tak wstrząsającą jak *Czarne sezony*. Zdarzają się też, oczywiście, niespodzianki negatywne, bo szum medialny wokół Jerzego Pilcha i literacka Nagroda Nike dla jego prozy *Pod mocnym aniołem* wydają mi się znacznie przesadzone wobec faktycznych wartości tej felietonowej twórczości. Cóż, czasy mamy takie, że większa część naszej czytającej jeszcze społeczności woli raczej opowieści proste, łatwe i pożyteczne niż te wymagające głębszego inte-

lektualnego czy duchowego wysiłku. Po przeczytaniu książki Pilcha niektórzy czytelnicy zwierzali się przecież bez moralnych oporów w mediach z własnych kłopotów z alkoholizmem i miłosnych odtrutek na tę wstydliwą bądź co bądź dolegliwość. Są jednak na szczęście i tacy, których bufonada, brak pokory i poczucia powagi w pisaniu o sprawach drastycznych, a nawet bolesnych, wyklucza z listy wielbicieli Jerzego Pilcha.

W pisaniu o poezji zawsze czułam się pewniej, tym bardziej, że to właśnie nasza współczesna poezja jest nie do przecenienia w światowych rankingach literackich. Dwukrotna Nagroda Nobla dla Miłosza i Szymborskiej spektakularnie ten stan dokumentuje. Powiedziałam kiedyś, że wiersz jest dla mnie najdoskonalszym aktem poznawczym. Głęboko osobiste doświadczenie, z którego wynika na ogół zapis poetycki, jest najbardziej autentyczną formą jednostkowego komunikatu i zarazem twórczym udziałem poszczególnego poety w uniwersalnym micie zbiorowym tworzonym od pokoleń. Dlatego pisanie o poezji traktuję nie jak powinność krytyczno-literacką, nie jak akademicki przymus, lecz jak czynność niemalże miłosną. To Zbigniew Bieńkowski powtarzał, że kocha literaturę miłością anachroniczną. Być może po nim odziedziczyłam tę pasję do poezji. Od kiedy zabrakło Zbigniewa Herberta, który od lat każdą nową książką zapewniał mi egzystencjalny i estetyczny komfort, wciąż mogę czytać nowe wiersze Miłosza – zbiór *To odebrałam* jako wybitne wydarzenie nie tylko literackie, także etyczne i psychologiczne, w tym duchu też pisałam dwukrotnie o tej książce (w „Arkuszu” i „Przeglądzie Powszechnym”). Nie mniejszą poznawczą radość sprawiają mi kolejne zbiory wierszy Julii Hartwig, Urszuli Koziol, Krystyny Miłobędzkiej, Joanny Pollakównej, Teresy Ferenc, Zbigniewa Jankowskiego, Krzysztofa Karaska. Za każdym razem lektura któregośkolwiek z tych poetów ma dla mnie znaczenie czulego klucza do współczesnej rzeczywistości i jest ważnym źródłem wiedzy o sprawach transcendentnych.

Wśród poetów średniego i młodszego pokolenia też mam swoich ulubieńców. Pisząc wielokrotnie o książkach poetyckich Krzysztofa Lisowskiego, Kazimierza Nowosielskiego, Jerzego Jarniewicza, Jarosława Mikołajewskiego, Kazimierza Brakonieckiego, Karola Maliszewskiego, Anny Piwkowskiej, Zbigniewa Chojnowskiego, Andrzeja Niewiadomskiego za każdym razem obcuje z tajemnicą ich osobowości, a przez nią z tajemnicą jeszcze większego formatu – tajemnicą tajemnic: ludzką wrażliwością otwierającą się na niepojętość świata i próbującą światłem własnego serca i umysłu oświetlić mroki niepoznawalnego. Za każdym razem, gdy czytam ich wiersze, najwyższa mobilizacja potencjału kreacji, zmaganie się ułomnych mocy poznawczych poety z ogromem niedostępnych mu przestrzeni wieczności budzi mój podziw i szacunek. Mam więc we współczesnej poezji swoje własne ścież-

ki i konsekwentnie omijam punkty najbardziej nagłośnione, takie jak Śwetlicki, Podsiadlo czy Wencel. Przeraża mnie i degustuje agresja poznawcza „brulionowców”. W poezji cenię sobie bowiem przede wszystkim indywidualne próby głosu, a nie to, co pachnie manierą, stylizacją i koniunkturą. Na szczęście także wśród młodych w różnych miejscach Polski pojawili się poeci z własną osobną ekspresją, tacy jak Jacek Napiórkowski z Rzeszowa, Mariusz Grzebalski spod Poznania czy Dariusz Łukaszewski spod Ostrołęki, a to wróży naszej literaturze jak najlepiej.

Myślę, że dopóki pisać będą poeci dojrzały i publikować będą młodzi nieważne, czy nazywani neoklasykami, nowofalowcami, przedstawicielami nowej prywatności czy postmodernistami – dopóki każdy z nich próbował będzie własną wizją zmagać się z obszarami poznawczej ciemności, nie grozi nam duchowa śmierć. W naszych zmaterializowanych, zainfekowanych przez mass-media pozorami działalności artystycznej czasach, obok wierności szerszej tradycji kulturowej i religijnej, twórcza obecność poetów gwarantuje nam minimum sakralizacji porządku istnienia i niezbędną ciągłość w duchowym dziedzictwie wszechświata.

Należy może dodać jeszcze, że o kondycji literatury świadczy też zawsze bieżący ruch wydawniczy i piśmiennictwo krytyczno-literackie. I z tym nie jest u nas tak źle, mimo biadań malkontentów. Wciąż działają w dużych centrach kultury takie oficyny wydawnicze jak S.W. Czytelnik, Wydawnictwo Literackie, Wydawnictwo Dolnośląskie i sporo pomniejszych, a prawie w każdym większym ośrodku miejskim – zwłaszcza akademickim – istnieją pisma literackie i lokalne wydawnictwa. To są niby sprawy oczywiste, ale dzięki tej właśnie „oczywistości” wciąż mamy co czytać i o czym pisać. Oprócz więc warszawskich „Nowych Książek” i „Twórczości”, nadal promują literaturę wrocławska „Odra”, poznański „Arkusze”, krakowska „Dekada Literacka”, lubelskie „Kresy”, bydgoski „Kwartalnik Artystyczny”, olsztyńska „Borussia”, sopocki „Topos”, łódzki „Tygiel Kultury”, ostrołęcka „Pracownia”, a to tylko niektóre z periodyków wychodzących poza Warszawę i korzystnie decentralizujących nasze życie literackie. Jakimś cudem pisma te i działające często przy nich wydawnictwa uzyskują dotacje na swoją chwalebą działalność i życzyć tylko trzeba ich szefom, żeby nie było gorzej. Bo choć może polemiki na łamach tych pism są mniej zażarte niż za czasów PRL-u (kiedy to kłócono się niekiedy o racje pozorne) i mniej jest oszalamiających opinii o aktualnościach, kto chce, zawsze gdzieś znajdzie miarodajny głos o swoim ulubionym pisarzu.

Może mój optymizm jest jednak nadmierny i nie dostrzegam faktycznych zagrożeń. Bo to, że ukazują się ciągle jakieś książki i działają jakieś instytucje kultury, nie zmienia faktu, że sytuacja nas, pisarzy, jest dziś bardzo trudna. Duże wydawnictwa literaturę nie komercyjną wydają coraz mniej chętnie, dotacje są coraz mniej-

sze, Ministerstwo Kultury coraz biedniejsze, a nowych fundatorów ciągle nie ma. Prawdziwy problem zaczyna się wówczas, kiedy zaczynamy myśleć o najmłodszych. Im z pewnością niezbyt łatwo przebić się przez redakcyjne sита znanych pism literackich, a o wydaniu książki długo muszą marzyć. Myślę, że najaktywniejszą troską powinniśmy objąć właśnie tych, którzy dopiero zaczynają lub zacząć pisać, jeśli nie chcemy, żeby młode, nie kontrolowane przez fachowców życie literackie usadowiło się wyłącznie w internecie. Politycy zajęci naszym udziałem we wspólnocie europejskiej i lokujący wielkie pieniądze w programach integracyjnych nie mogą zapominać, że to nasza dzisiejsza młodzież będzie prędzej czy później do tej reklamowanej Europy wchodzić. I jeśli wśród tych młodych zabraknie twórczych humanistów, jeśli nie miałoby być wśród nich pisarzy, przyszłość tej „naszej” Europy byłaby przerażająco jałowa. A przecież coraz częściej pojawiają się głosy o katastrofalnej sytuacji finansowej polskich księgarni i bibliotek, a także innych ośrodków kultury związanych z książką... Nie chciałabym dożyć czasów, kiedy literatura zostanie wyrugowana z życia publicznego, dlatego tak uparcie trzymam się swojej wizji jej względnie dobrego samopoczucia.

Adriana Szymańska

Edward Balcerzan

Impet zamętu

Czy istnieje jeden stan literatury polskiej?

Mieczysław Orski w „Arkuszu” od kilku lat omawia nowości sztuki narracyjnej w cyklu pod tytułem *Stany prozy*. Liczba mnoga wydaje się tu nieodzowna, zwłaszcza w tej oto ankiecie, gdy chodzi nie tylko o prozę, ale i o pozostałe rodzaje, a nie da się literatury współczesnej ograniczyć do klasycznej triady – lekceważąc inwazję form niejasnych, „z nieprawego łoża”. W rozstajnych przestrzeniach piśmiennictwa o ambi- cjach artystycznych stany poszczególnych inicjatyw okazują się niejednakowe i bynajmniej nie zjednoczone wspólną konstytucją. Przed 1989 rokiem opozycja demokratyczna głosiła dumne hasło, iż „polska literatura jest jedna i niepodzielna”, a oznaczało to solidarną niezgodę na rozdzielone przez politykę obiegi (kontrolowane przez cenzurę, omijający cenzuralne sidła oraz emigracyjny). Dziś? Wolny rynek wymienił solidarność na konkurencyjność, i choć obieg wydaje się jeden, literatura okazuje się coraz bardziej „niejedna”, skłębiona w trudnej do rozpoznania wielorakości.

Któż nie narzeka? Podaż masy tekstowej przekracza możliwości konsumpcyjne najofiarniejszego czytelnika. Dawno temu paru entuzjastów o benedyktyńskiej sile woli miało opinię czytających wszystkie „jak leci” nowości (Andrzej Krzysztof Waśkiewicz i Wojciech Kawiński). Odnosiło się to jednak tylko do poezji. A jeszcze dawniej, w końcu lat pięćdziesiątych albo na początku sześćdziesiątych, ich starszy kolega, równie pracowity, Ryszard Matuszewski, udręczony nadprodukcją wierszy, które czytał i omawiał systematycznie, wołał o Malthusa dla poetów!

Janusz Szuber przypuszcza, że historykowi literatury jest łatwiej nad tym wieloletkstem zapanować („Kwartalnik Artystyczny” 2001, nr 4). Nie jest łatwiej. Praca nad dziejami sztuki słowa zmusza do pokory, są to bowiem – w dużej mierze – dzieje dzieł przedwcześnie wywyższonych i zawstydzająco „w swoim czasie” przecoczonych.

Zamęt w obrazie literatury współczesnej nie różni się od zamętów wcześniejszych, choć wydaje się (czy słusznie?) potężniejszy. Wynika z lektur niekompletnych, spowodowanych nadprodukcją tudzież fatalną dystrybucją książki i upadkiem etyki księgarskiej; w krytyce oraz w pożał się Boże syntezach bywa efektem wyborów pośpiesznych, źródłem ocen przypadkowych, a na dobitkę coraz częściej los czytelniczy utworu określa promocyjna zręczność firmy, majętność grupy nacisku, lub o popularności tekstu decydują dyżurne autorytety, budzące respekt ogółu bardziej z przyzwyczajenia i wygody, niż z powodu trafnych diagnoz.

Współczesne losy tekstu w przestrzeni społecznej dają się sprowadzić do trzech wersji: próżniowej, sezonowej i konwersacyjnej. Pierwsza jest bytowaniem w próżni recenzenckiej, która nie musi oznaczać próżni czytelniczej (i odwrotnie); przytrafia się to nawet arcydziełom. Druga polega na tym, że tekst wywołuje rezonans medialny, nie ma on jednak trwalszych ech czy ciągów dalszych. Choć i to może się gwałtownie zmienić. Sukcesem upragnionym wydaje się trzeci, k o n w e r s a c y j n y byt książki, zwany jej „zaistnieniem”. W tym porządku o autorze „się mówi”, jego imię jest powtarzane non stop w rankingowych wyliczankach. Rzecz nagłościoną znać wypada z powodów towarzyskich.

Presja konwersacyjnej poprawności (odmiana „poprawności politycznej”) bywa tym silniejsza, im potężniej panoszy się zamęt. Ulegają jej nawet zawodowi nonkonformiści. (Stanisław Lem, by odpowiedzieć na pytania tej ankiety, sięgnął po tytuły z wyliczanek, zob. „Kwartalnik Artystyczny”, *ibid.*)

W świecie zlaknionym poradników, bedekców, kursów szybkiego przyswajania wiedzy i umiejętności – osobnym gatunkiem, specjalizacją pożądaną i pokupną stał się k a n o n. Pojawia się nie tylko w ankietach (jak ta), ale i w przewodnikach, leksykonach, antologiach (komponowanych także przez tłumaczy literatury

polskiej, na przykład Karla Dedeciusa czy Natalię Astafjewą i Władimira Britaniszskiego). Zamiast jednej pewnej księgi porad lekturowych rynek musi godzić się na współistnienie wielu różnych, doraźnych, wymiennych kanonów literatury współczesnej (lub jej wybranych segmentów – młodzieżowych, niewieścich etc.).

Dlaczego odpowiadając na pytanie o stan literatury, charakteryzując stan recepcji? Bo nie ma zasadniczych różnic między tym, jak postrzega literaturę krytyka, a tym, jak literatura postrzega samą siebie. Zwłaszcza iż recenzentami są najczęściej sami literaci. Tak więc i twórca i krytyk pracują w ruchomych piaskach, usiłują znaleźć własne miejsce wśród mgławicowych hierarchii – z reguły nie mając dokładnego rozeznania w całości doświadczeń pisarskich. Niebezpieczeństwem takiej sytuacji są fałszywe radości autorskie z odkryć i wynalazków pozornych.

Lecz z drugiej strony właśnie zamęt inspiruje i napędza koniunktury twórcze. Gdyby jeden-jedyny kanon został ustalony i zgodnie przyjęty, ustalby ruch ambicji i nadziei, osłabłyby – aż do zaniku – energie gry i walki.

Gry i walki – o jakie wartości?

Równie jak literatura wielorakie, heterogeniczne, wewnętrznie skłócone, zmuszające czytelnika albo do odejścia w stronę innych „sposobów na życie”, albo do błędzenia pośród stylów i poetyk. Im nie warto stawiać z góry określonych zadań. Prócz jednego, które tak by można wypowiedzieć: literaturo, odsłoń we mnie prawdę, której sam w sobie z trudem się domyślam (albo wcale) i daj mi ją niespodzianie, iżby stała się (wesolym, bo kunsztownym) wyzwoleniem z chorego świata upokorzeń, nienawiści, chamstwa – choć na moment.

Jest gdzie szukać, gdzie błędzić, o co się potykać.

Nie słabnie polska szkoła reportażu (może trafniej byłoby ją nazwać beletrystyką dokumentalną lub literaturą *non fiction*). Wyzwalają pomysłowość pisarską coraz to inaczej układane „pakty autobiograficzne”. Ich przedłużenia i rozgałęzienia znajdujemy w prozie rodowodowej. W tym kręgu niepoślednią rolę odgrywają pisarskie studia nad zagasłymi czasoprzestrzeniami ojczyzny (małej, większej, odzyskanej, utraconej, rozrzuconej). Tu jest miejsce także na refleksje ogólniejsze, odnoszące się do okrutnych kaprysów historii. Wciąż nowe możliwości znajduje dla siebie esej. Nie umilkła metafizyka zwyczajności („mistyka dnia codziennego” wedle określenia Anny Sobolewskiej) w poezji oraz w prozie podszytej poezją. Intrygują nagłośnione przez feminizm i genderyzm epifanie inicjacyjne, romansowe, porodowe; świta literatura wyznań homoerotycznych. Ma swoje kluby i nisze baśniopisarstwo dla dorosłych. Rodzą się w dużych ilościach felietonowe poezje i w ilościach odpowiednio mniejszych – poetyckie felietony. Ocalała („prowadzona na rzeź”) literatura trudna; wielu autorów kusi poetyka komplikacji; na prze-

kór marszom pogrzebowym awangarda żyje – odzywa się także w twórczości najmłodszych – przeciwstawiając się poetyce ułatwień, która dominuje ilościowo, płynie szerokim korytem: od niezliczonych „form bardziej pojemnych” do jednorazówek rozrywkowych. Równolegle rozlewają się potoki polszczyzny zmiążdżonej (specjalistycznej, ezoterycznej, intymnej). Cierpienie słowa – bywa pouczające. Kwitnie kryptoliteratura prac literaturoznawczych, ulegających descjentyzacji. (To silna i niebezpieczna pokusa.) Nie zużywa się naiwna skandalistyka spadkobierców św. Rafała Wojaczka. („Czym by się dziecię nie zabawiało, byle by nie płakało” – zwykła mawiać moja mama.) Coraz szersze kręgi zatacza samolecznictwo literackie osób z problemami psychiatrycznymi (twórczość pourazowa – wielki problem dla badaczy). Zdobywa rozgłos proza naturalistyczna, adresowana do coraz to młodszych. (Diabli wiedzą dobrze to, czy źle.) Wołania o zabawy literackie znajdują odzew w tekstach „laboratoryjnych” – nierzadko są to chwytły znane wcześniejszym ludycznym orientacjom literackim, od baroku do pozarozumowego futuryzmu czy skamandryckiego nonsensizmu, tyle że ostentacyjnie wzmocnione, ukazane w desperackiej hiperboli. I jakby tego było mało – tworzy się moda na zbiorowe pisaniny w internecie – „z wiewiórkami w tle”.

(W razie potrzeby służę przykładami.)

(To oczywiście tylko fragment sytuacji.)

Dodać do tego należały edycje krytyczne, po latach ujawniane inedita, pierwodruki spóźnione, glosy czasów zaprzeczonych, a nieraz jakże donośne i świeże (Zofia Nalkowska w opracowaniu Hanny Kirchner, dwa nowe tomy pism Tadeusza Peipera pod redakcją Stanisława Jaworskiego; na pełne wznowienie czeka drobek Witolda Wirpszy).

A działalność tłumaczy – są wśród nich mistrze nad mistrze – nie jestże twórczym udziałem w literackich ewolucjach współczesnej polszczyzny?

A utwory zwrócone ku mediom wielokodowym, pisane dla sceny, albo i na scenie, najuporczywiej obstające przy prawie sztuki do osądu świata polityki wielkiej i małej?

Jeżeli dla wskazanych tu dążeń pisarskich trzeba by było znaleźć nazwę wspólną, określającą dominantę zjawisk literackich w dniu dzisiejszym, tą nazwą mógłby być *i m p e t*. Wyścig, ruch, energia, wigor! W polskiej literaturze współczesnej nie dostrzegam oznak wyczerpania.

Żadnej stagnacji, recesji, uwiądnienia.

(W tym sensie nie dotarliśmy, na szczęście, do postmodernizmu.)

Edward Balcerzan

Kazimierz Brakoniecki

Literatura polska dzisiaj

Nie powinienem zabierać głosu w dyskusji o stanie literatury polskiej, ponieważ tak naprawdę niewiele wiem o bieżącej produkcji literackiej. I zupełnie tym się nie martwię. Początkowo wydawało mi się, kiedy dostałem zaproszenie od Redaktora, że mam całkiem pełny i wybitnie krytyczny stosunek do życia literackiego i do poszczególnych zjawisk literackich. No bo na przykład proszę bardzo Nagroda Nike: żadna z nagrodzonych książek – poza oczywiście powieścią *Widnokrąg* Myśliwskiego – ani nie była arcydziełem, ani nawet nie była najlepsza w dorobku poszczególnego autora (*Pieśń przydrożny* Miłosza był jego – poza debiutem – najgorszą książką; to samo można powiedzieć o wyróżnionym tomiku Barańczaka czy czytanej na ślepych kolanach książce Różewicza)... Od razu jednak muszę dorzucić, iż i Miłosza, i Barańczaka za ich najlepsze utwory po prostu wielbię. A więc konstatacja banalna – nie nagrody tworzą arcydzieła. Wydawało mi się, że udowodnię (ale po co?), że Zagajewski nudzi, że Świetlicki robi poezję w konia, że nie ma prawdziwej prozy realistycznej, rozrachunkowej (poza np.?) itd. itp. Stare narzekania, którym zawsze można przeciwstawić poszczególne udane książki pojedynczych autorów. Wydawało mi się, że pelen resentymentów i słusznego buntu wymierzę ostrze przeciwko kultowi towaru, konsumpcji, listom bestsellerów, fałszywej rywalizacji, wysokiemu, znudzonemu towarzystwu i innym zadowolonym dinozaurom i troglodytom, którzy z trybun homoerotyczno-poprawnopolitycznych lub redakcyjno-wydawniczo-telewizyjno-reakcyjnych wymierzają nieśmiertelne wyroki wszystkimwiedzącym tonem, a szczególnie przeciwko skorumpowanej, środowiskowej, błazeńskiej, powierzchownej, słuszenie ideolokatolickolewicowofelietonowej krytyce literackiej, kiedy uświadomiłem sobie, że zawsze tak było i będzie, a ja sam należę do tego błyskotliwego światka na europejskiej prowincji, którym cwany i ciemny jednocześnie naród w ogóle się nie interesuje. Mamy taką literaturę, na jaką zasługujemy, a mamy małą i rozgadaną literaturę, bo jesteśmy małym, klótlwym, narcystycznym, sentymentalnym i leniwym narodem, który rzeczywiście (a było to dawno) trochę cierpiał i który niespokojnie czeka na kolejną (romantyczną) klęskę. I w tym miejscu rodzi się we mnie potrzeba arcydzieła. Dopóki żyjemy.

Kazimierz Brakoniecki

Bogusław Kierc

Teraźniejszy stan tego, co przyszłe

„Teraźniejszy stan” sugeruje wyraźne kryterium czasowe, a więc także to, co teraz, czyli „dzisiaj”, stanowi o uznaniu fenomenów, tendencji czy konkretnych dzieł literackich za godne uwagi. Z jednej strony byłoby to coś, co odrzuca „bękartów czasu” (bo według Szekspira „ten bękartem jest swemu czasowi, kto się nie przejmie jego obyczajem”) – z drugiej strony byłby to (powinien być?) ewangeliczny wyróżnik „świadcstwa prawdy” (lekceważony nie tylko przez miłośników gier postmodernistycznych). Wreszcie obok tych kryteriów nie najmniej ważne jest moje „chcę”. To „chcę”, poddane mechanizmowi statystyki, urasta do „powinienem” – i wówczas, przeczytawszy to, co „powinienem” przeczytać, bo „przejmujące się obyczajem czasu” (mojego, naszego) „daje świadectwo prawdzie” – przeczytawszy to, mogę odpowiadać na pytanie, jaki jest teraźniejszy stan literatury polskiej.

Te asekuracyjne zdania napisałem także po to, by powiedzieć, że nie przyjmuję za „widok ogólny” tego, co o stanie literatury polskiej orzekają tak zwani opinotwórczy autorzy syntez. I nie wypowiadam herezji, błuźnierstwa ani złośliwości. Syntetyczny widok aktualnych tendencji i realizacji literackich bywa przeważnie widokiem „narzuconym”, choć wiele jego elementów istnieje niezależnie od intencjonalnego ujęcia przez tego czy innego operatora.

Taki obraz może przedstawiać stan myślenia o literaturze – bardziej niż stan samej literatury.

Ze stanem literatury kojarzę jej moce (przepraszam za staroświeckie określenie) twórcze. To najpierw, a dopiero potem – jej zdolność utrzymania własnej obecności.

Mówiąc o mocach twórczych mam na myśli nie tylko to, co mieści się w kategoriach właściwych estetyce, ale – w najszerszym ujęciu – wszelki ruch ku sensowi. Zapewne niewielu zdecydowałoby się orzekać o stanie literatury dwudziestolecia międzywojennego na podstawie poezji Bolesława Leśmiana. Ani za jego życia, ani dzisiaj. Nie jestem pewien, czy po przyznaniu Wisławie Szymborskiej Nagrody Nobla, wypowiedzianego przez nią zdania o wielkim polskim poecie, który tej nagrody nie dostał, nie uznano po prostu za uprzejmą skromność. Leśmian jako laureat Nagrody Nobla to przecież skrajne nieprawdopodobieństwo! Za tak „błogosławiony trud” Nobla się nie dostaje, ale bez „niepoprawnych istnieniowców” niemożliwy jest ów ruch ku sensowi, niemożliwe jest odczytanie w oczywistości jej nieoczywistych znaków i znaczeń.

Od razu więc powiem, że moje *itinerarium* czytelnicze wytyczają „niepoprawni istnieniowcy”, ponieważ pobudzają to „chcę”, o którym powiedziałem parę zdań wcześniej, i „dając świadectwo prawdzie” ukazują żywioł i sens terażniejszego obyczaju.

Trudno zgodzić się z supozycją, że pisarski wigor Miłosza jest tylko godnym szacunku umacnianiem niepodważalnej pozycji klasyka „swego czasu”. W różny sposób wypowiediany dotąd i raz jeszcze powtórzony w *Czeladniku* postulat „prywatnego obowiązku”, lapidarnie określa niekostyczne powinności pisarza:

Zachowując tonację i styl mojej epoki,
Działać wbrew niej w poezji mego języka

Działanie wbrew epoce daje możliwość tym dotkliwszego odczucia jej pędów i prądów, im bardziej uparcie pod prąd się pływa.

Twórczość Miłosza jest okazałym świadectwem takiego odczuwania – i nie tylko w tym, co on sam porządkuje w kompozycji tomów czy poematów, ale właśnie w przebłyskach, prześwitach, w składni zdań orzekających o losie ludzi i rzeczy, o sezonach, epokach i chwilach, w zmysłowo-świadomościowej transfokacji wewnątrz zdania czy nawet jednego słowa. Myślę o takim wierszu jak *W Krakowie*, albo o zdaniu z *Notatnika*: „Zdejmuje majtki Polixena”.

Pewnie zawsze chodzi o to, żeby pisać w języku zrozumiałym dla ciała, którym doświadczamy zarówno wzniosłości jak i podłości” tego, co pomiędzy a także – doznań „pogranicznych”, osmozy inności.

Ciało – zarówno duchowe jak bezduszne, bolesne i chwalebne – ustala „sobie” zakres tego „chcę” dynamizującego ruch ku sensowi, ku warunkującej go prawdzie. Względy ciała decydują o „tonacji i stylu” epoki.

W opisach najbardziej wysublimowanych doświadczeń mistycznych dosyć istotne pozostaje to, co dzieje się z ciałem. I nie tylko w przeżyciach inżyniera Motowiłowa, kiedy w Sarowie spotkał się ze świętym Serafinem, ale – by tak powiedzieć – u samego źródła, w ewangelicznej perykopie o Przemienieniu Pańskim czytamy o tym, jak „podczas modlitwy zmienił się wygląd Jego twarzy, a Jego odzienie stało się lśniące białe”. Mateusz dokładniej mówi, że „twarz Jego zajaśniała jak słońce”. Jeden z trzech świadków Przemienienia, apostoł Piotr ujrzawszy świetlistego Jezusa rozmawiającego z Mojżeszem i Eliaaszem, pragnie postawić trzy namioty – dla każdego z nich.

To, co się dzieje z ciałem, daje wgląd w przygodę ducha nie oddzielając jednego od drugiego. Na ekstatycznych wysokościach i w podręcznej (praktycznej) konkretności.

To jest wzorzec, do którego przymierzam czytelnicze nadzieje i oczekiwania. Bywają spełnione i zaspokojone przez dzieła tak nieraz od siebie odległe, że trudno w pierwszej chwili stawiać je razem. Bo jak się ma *Ledwie mrok* Andrzeja Falkiewicza do *Leśmiana*. *Encyklopedii* Jarosława Marka Rymkiewicza, albo *Słoje zadrzewne* Tymoteusza Karpowicza do *Drugiej przestrzeni* Czesława Miłosza? A jak się te i jeszcze inne, które powinienem wymienić, utwory mają do ewangelii Przemienienia?

Odzwierciedlają uwydatniony tam układ hierarchiczny, relacje tego, co w górze do tego, co na dole; tego, co wysokie do tego, co niskie; tego, co pionowe do tego, co poziome; tego, co niepochwytne do tego, co praktyczne; tego, co wzniosłe do tego, co podle...

Może się wydać bluźnierstwem, kiedy powiem, że powołaniem literatury jest – jak to kiedyś określił Falkiewicz (w *Takim ściegiem*) opowiadanie „swej ontologii istnień”, czyli „tej podszytej seksem tęczującej wody, która niekiedy jest doświadczeniem Całości”. Pojęciu seksu odpowiada tu wola (czy niewola) życia wytwarzająca zachowania i instytucje społeczne, generująca (w konsekwencji) dekryty polityczne i traktaty metafizyczne. Uwarunkowana swoistością, uszczegółowieniem, szczególnością, jedynością – sprawi, że możliwe jest coś takiego jak „teraźniejszy stan literatury polskiej” – gdzie „teraźniejszość” i „polskość” stanowią o *qualité* zjawiska. (Oczywiście „polskość” nie jako wyróżnik nacjonalistyczny czy patriotyczny, raczej – etnologiczny.)

Książką, która te relacje i zależności ukazuje i brawurowo wykorzystuje do opisanego rozległej „ontologii istnień” jest właśnie *Ledwie mrok*. Uważam – nie ja jeden na szczęście – że to zdumiewające dzieło znacznie przesuwając zakres możliwości literatury dosięgając niewyraźnego, ale i niewyrażonego (dotąd). Falkiewiczowi udaje się pochwycić to „ledwie”, rozciągle mgnienie, w którym ciało (pokiereszowane po ciężkim wypadku ciało aktorki) nie tracąc ciężaru (dojmującej) konkretności staje się ciałem mistycznym...

Można się dziwić, że książka nie wzbudziła większego zainteresowania, nie zapaliła do polemik, nie wywołała dyskusji. Choć powinna.

Chyba rozumiem, na czym to „przeoczenie” polega. O Falkiewiczu „nie opłaca się” pisać. Szanse na pozyskanie cierpliwego czytelnika dla 528 stron nieliniarnej fabuły są poniżej minimalnych. Także w gronie czytelników „zawodowych”. Nie mówią o tym, że pisanie o *Ledwie mroku* wymaga odwagi podwójnej. Zmierzenia się z pisarzem, który jest zarazem wirtuozem i „tnącym jak diament” myślicielem, jednym z najprzenikliwszych filozofów kultury. Po wtóre – pisząc o książce Falkiewicza niepodobna ustrzec się konfrontacji z inną aksjologią niż powszechnie stosowana i uznawana. On sam twierdzi, że „ludzkie wartościowanie, obecny w nas «zmysł wartości», jest przejawem i przedłużeniem dążenia bytu w ludziach”.

Wartości są dla Falkiewicza „preferencjami obszerniejszych istnień przyjętymi za własne przez istnienia mniej obszerne (...), «żyjąc według wartości», to jest zmieniając punkt patrzenia i poszerzając moje granice zapewniam sobie jakieś niefizyczne – z mojego dotychczasowego punktu patrzenia niefizyczne, pozaosobnicze – trwanie”. *Ledwie mrok* daje możliwość wejrzenia w to drobiazgowo przejawiające się „dążenie bytu”, bo i w tej książce – jak w całej filozofii Falkiewicza – chodzi „o rzeczywisty kontakt z tymi, co pozostanie żywe po mojej śmierci”.

W dedykowanym Andrzejowi Falkiewiczowi na siedemdziesięciolecie urodzin (1999) tomie „Poznańskich studiów z filozofii humanistyki” 5(18) Jubilat kończy swoje odpowiedzi po wystąpieniach filozofów na konferencji poświęconej jego *Istnieniu i metaforze* (1996) takimi zdaniami: „To bardzo prawdopodobne, znamy dziesiątki zagrożeń, ale w odległej perspektywie czasowej nawet mimo nich koniec naszego gatunku wydaje się nieuchronny. Lecz póki co – filozofujmy, myślimy, korzystajmy z tego wglądu, jaki każdemu z nas został dany w imprezę zwaną istnieniem. Dzięki czemu nasz nieuchronny koniec nie będzie zupełny. Po nas potop? Nie. Poznawajmy to, co po nas będzie nadal żyło”.

Meta-cielesne i meta-duchowe czy cielesno-duchowe przeżycia bohaterki Falkiewicza mają swój powszedni czas i swoje miejsce w dokładnie określonej Polsce. Nie są fabułami „pretekstowymi” do olśniewania wirtuozerią gier i chwytów literackich, choć w takim ujęciu dałyby się porównać z *Kunst der Fuge* Bacha.

Muzyczne porównanie przywodzi na myśl inne dzieło, trochę mniej „przeoczone” dzięki nagrodzie miesięcznika „Odra”(1999) i – w konsekwencji – przyjazdowi Autora, który od 1973 roku mieszka w Stanach Zjednoczonych, gdzie jest profesorem Uniwersytetu Illinois w Chicago. Bez jego obecności, bez przedstawienia *Słojów zadrzewnych* do Nagrody Nike, zainteresowanie tym tomem tekstów wybranych pozostałoby nikłe. To, które się przebudziło, nie dotrzymało nawet do osiemdziesiątej rocznicy urodzin poety, niemal całkowicie niezauważonej. Jubileuszowa wystawa w Książnicy Pomorskiej w Szczecinie jest chlubnym wyjątkiem.

Czy ta symfoniczna Księga Karpowicza naprawdę nie jest w stanie zaczepić rozleniwionej wyobraźni pochlebców ustalonego (zastalego) paradygmatu, który chciałoby się nazwać marketingowym?

Niezwykłe i jedyne w polszczyźnie dzieło, które ukazuje w akcie poetyckim jedność świadomości z jej przedmiotem zarówno wtedy, kiedy jest nim moment indywidualnego losu jak i historia społeczeństw, przygody życiorodnego białka i przygody Boga – to rewelatorskie dzieło pozostaje nadal na marginesie dysput i rozważań literaturoznawczych.

A jednak myślę, że nie jest nadużyciem stwierdzenie, że muszą istnieć w żywiole polskiej literatury aktualnie czynne moce doprowadzające do narodzin takich obrazów Bytu jak *Słoje zadrzewne*, *Ledwie mrok* czy *Druga przestrzeń*.

Druga przestrzeń, która jest świadectwem cudu i cudów *przemagan*ia czasu i jego sensu w nieprzerwanym (i pokornym! tak – pokornym!) doskonaleniu mistrzostwa. Postawiona obok dzieł sytuowanych zwykle na obcych Miłoszowi terytoriach służby językowi, książka ta objawia przekroczenia dostępne tylko bezkompromisowym „istnieniowcom”.

Trudno suponować Miłoszowi jakiegokolwiek Leśmianowskie proweniencje czy powinowactwa – gdzie tam! A przecież to, co jest w jego intuicjach i inspiracjach blisko Oskara Miłozza, stawia go w podobnie odsłoniętej relacji wobec istnienia i istnień.

Na tej przelęczy między widzeniem Bytu a *wz*ieraniem w Byt mamy książkę wyraźnie od Leśmiana zależną i Leśmianowi poświęconą, a zarazem stanowiącą całkowicie samoswój fenomen pisarski: *Leśmian. Encyklopedia* Jarosława Marka Rymkiewicza. Gdyby jej bohater był tylko fikcją literacką (proszę mi wybaczyć takie pomyłone pomyslenia), to i tak byłaby to książka wielorako fascynująca, w której ontologia istnień – od kapelusza do butów – opisana jest równie podniecająco jak w poezji Leśmiana „nicości złota rozsypucha” czy „ostępy dzikiego błędowia”. Rymkiewicz wnika w byt i w bycie przedmiotów i osób z równą Leśmianowskiej – zachłannością i odpowiedzialnością za ich przejawienia pochwycone w słowa.

Zdaję sobie sprawę z nadużywania w tej mojej wypowiedzi „tendencji ontologicznej”. To może być (jest!) drażniące. Chcę więc dodać, że nie jest wyrazem lekceważenia czy mniej uważnego traktowania *mimesis*.

Przytaczając tytuły książek, które uważam za dzieła o szczególnie dynamicznej energetyce, nie suponuję, że jedynie one świadczą o żywotności dzisiejszej literatury polskiej. Wymienianie nazwisk i tytułów zasługujących na uwagę, zajęłoby znacznie większą część tego tekstu niż przewidywałem planując powściągliwą rekapitulację. Zresztą i nazwiska i tytuły pojawiły się już i pojawiają w niniejszej ankiecie. Moją intencją było wskazanie ważnego a pomijanego pola widzenia, na którym terażniejszość literatury polskiej wybija się poza „świat pozoru doskonałego” ku temu, „co po nas będzie nadal żyło”.

Bogusław Kierec



Fot. Tadeusz Witkowski

Adriana Szymańska

Po burzy

Niebo jeszcze w modrych haftach błyskawic, drzewa
otrząsają krople z liści jak zielonogrzywe konie,
ptaki umilkły – zaczarowane deszczem. Natura
– jak kapłan po ofiarowaniu – ufna w swoją świętość.
Tylko ja znów się waham, czy wybiec na drogę,
czy zostać tu, w fotelu, z widokiem na brzozę,
dwa świerki i królującą w bieli kwitnienia akację.
Kim jestem, pytam więc zwrócona ku oknu,
uczepiona sercem przezrzystych skrzydeł anioła
zmierzchu, kim jestem z tym życiem w czubkach palców
coraz bardziej bolesnym, a przecież wciąż na huśtawce
dziecięcego lęku. Kim jestem, wstrzymana
– na zawsze? – między kalużą a stadkiem gołębi
zataczających nad dachami triumfalne spirale,
między wiem i nie całkiem wiem,
między wierzę i wątpię, między wątpię i rozpaczam.

Kim jestem, pytam jak dawniej,
kiedy niebo rozwidniało ciemność innymi burzami,
kiedy sen nie rozbrzmiewał jeszcze głosem
umarłych, a uśmiech Boga świecił rano
w najbliższej jabłonce.
Majowy wieczór po burzy wybucha niskim słońcem,
umarli milczą oddaleni o bezkres, a ja
znów wiem i nie wiem równocześnie,
czemu mój zachwyt ma na dnie cierpko-gorzki ciężar.
I tylko poeta wychylony z ciemnej gwiazdy
wiersza, powtarza z uporem: bądź wierna, idź,
choćbyś nieść miała do końca tę samą niepewność.

Dziewczynka grająca Bacha

Ciemnowłosa, z długimi warkoczami
i purpurową różą przy skroni,
w granatowym mundurku z białym kołnierzykiem,
siedzi pochylona nad pulpitem z nutami,
a jej palce wprawnie dotykają klawiszy.
Wcale o tym nie wie, że muzyka, która wydobywa się
ze starego Stainwaya, jest jak wymyślna pieszczota
i zwabia do mrocznego pokoju duchy zmarłych.
Dziadek i babka oraz całe szeregi ciotek, wujów
i innych zapomnianych krewnych popatrują z czułością
na tę małą: ach, jaki talent, szepczą wzruszeni
wyciągając z rękawa koronkową chusteczkę
albo zamglone *lorgnon* na długiej rączce.
Przedwczoraj wpadł tu nawet na chwilę sam mistrz
Jan Sebastian.
Ona, usadowiona na czarnym taborecie,
zapatrzona w drobne robaczki nut,

z półotwartymi ustami po prostu gra
dwugłosowe preludia nie zważając na resztę świata.
A przecież, kiedy zasiada przy klawiaturze
i pierwsze dźwięki uwalniają się z rezonansowego pudła,
przestrzeń wokół niej zamienia się w aksamitną kotarę
płynącą poprzez wieczność.
Ciemnozielona, ze złotymi błyskami,
unosi się coraz wyżej, dosięga nieba, a wtedy
aniołowie przyłączają się śpiewem do jej grania.
Nikt nie wie, kim zostanie mała pianistka:
wirtuozem, wariatką, siostrą miłosierdzia, zalotnicą,
żoną, matką, wielbicielką poezji, feministką?
Gdyby czas się zatrzymał, nie musiałaby robić nic więcej.
Bo, kiedy gra, jest tak idealnie sprzęgnięta
z całym wszechświatem, że nawet jej stopa
na złotym pedale porusza się w rytm wchodzącego słońca
i rozkwitających za oknem różowych malw.
Niechaj więc gra i niech nikt nie przerywa
rozpoczętej *legato* pory objawień.

Stara kapłanka przedwiecznego Boga myśli o ariergardzie

Mało kto o nich pamięta, a przecież są kuchnią i śmietnikiem historii. Bez nich wodzowie, giermkowie, damy do towarzystwa, kawalerzyści, piechota, a nawet konie i psy należące do paradnego orszaku wyginęliby przed pierwszą wielką wojną. Bo przecież ktoś musi nakarmić tych w pierwszych szeregach, tych przybocznych i tych przy okazji ogrzewających zastygły z głodu nurt krwi. I ktoś musi posprzątać po uczcie.

Nigdy nie miała ambicji kroczyć na czele wydarzeń, zadowalała się rolą pomocniczej kapłanki. I dopiero kiedy nieskończony Bóg poszybował tak wyso-

ko, że jej przyziemna modlitwa nie może Go osiągnąć, tkwiąc wciąż w opłotkach dziękczynienia za powszednie cuda, odkryła, że wlecze się w ariergardzie stworzenia. Wśród kuchcików, żebraków i śmieciarzy. I odetchnęła równocześnie: „Jakaż to ulga, znaczyć tyle, co pchła na ogonie obozowego kundla. Nikomu nie muszę już oświetlać drogi, a słońce w kościelnym witrażu i tak świeci każdemu tak samo”.

Kiedy stara kapłanka została tym, kim jest

To się stało zupełnie niepostrzeżenie. Świat wciąż do niej mówił szumem wiatru, świergotem jaskółek, drobniutkim migotaniem fal na rzece. Słońce, wschodząc, dotykało jej źrenic zachęcając: patrz, kochaj niebo i ziemię, kochaj białe karawany obłoków i mrówkę dźwigającą po leśnej ścieżce suchy ościęń trawy. Drzewa, psy i ludzie wylaniający się ze światła zawsze nieśli w sobie cząstkę tego ogromu, który objawiał się jej w rozgwieżdżonym niebie. Nie wiedziała, ile jeszcze kroków dane jest jej zrobić ku najdalszej plamce jasności, któregoś więc dnia po prostu przystanąła. Nad sobą miała wiosenne niebo w przenikliwych okrzykach rybitw, pod sobą świeżą piramidę ziemi usypaną przez kreta. Ktoś szedł nadbrzeżnym wałem z rudym psem przy nodze i wtedy pomyślała: cały świat jest ołtarzem, na którym każdy składa siebie w ofierze Niepojętemu.

Wpatrzona w ciemną zieleń wyniosłego świerka, nie postanowiła nawet, wypowiedziała to każdym nerwem dotykającym przestrzeni jak strun wielkiej harfy: jestem kapłanką, bo Ty jesteś Słowem, które było na początku i mieszka w każdej rzeczy, w każdej sekundzie lśnienia pomiędzy nami.

Adriana Szymańska



Fot. Elżbieta Lempp

Grzegorz Musiał

Siostra Śmierć mówi do człowieka

Linii
którą tu nakreśliłam
sam nie przekraczaj.

To ja strzegę jej
mnie powierzono
tajemnicę.

Choć nie ja spełniam
twój los
od tego było życie.
Ja, w określonym dniu
o ściśle określonej sekundzie
każę ci zostawić po tej stronie

palto
obrączkę
i medalik.

Staniesz prosto
a ja dotknę twych ran i bolesnych miejsc
i pchnę
gdy się będziesz wahał.

Nie oglądaj się na tych
którzy cię wołają. Ty
wiesz, oni jeszcze nie
że kończy się przebywanie wewnątrz czasu.

Odbiorę ci czas
i powiem: unieś się
lekkko, na koniuszkach stóp
i leć.

Tylko
z zapisanym na czole
swym imieniem.

Zła Śmierć mówi do człowieka

Tu nie ma żadnej linii
twoje życie
jest chaosem
twój śmiech

zrasta się z pogardą
ślepego bólu
nie oddzielisz od wrzasku

szkło, krew i ktoś, jacyś
których przeżywałeś przyjaciółmi.

Próbujesz to wszystko rozdzielić
ale znów miesza się po swojemu.
masz rację: to On
postawił przed tobą ten perfidny rebus.

Życie? Nie ma przy tej drodze
innych drogowskazów niż te
do których strzelałeś z rozpędzonego samochodu.

I seks – Dionizos, pełen rozpaczy
schodzi do Hadesu. Zabij to!
Umarli
kołyszą się nad tobą
jak dzwony

Zabij to!
Ktoś patrzy na ciebie z góry
i jeszcze szyderczo się uśmiecha.

Tu nie ma żadnej linii
ja jestem wszędzie
dlaczego
nie miałbyś tego zrobić teraz?

Wilki w nocy

Czekają
na ciemność
wtedy błyszczą im oczy
charkot z ich gardzieli
udaje przymilny pomruk.

Łapy
ze schowanymi pazurami
są jak zamszowe rękawiczki
kły rozciągają w uśmiechu
częstują drogimi winami.

Czekają
aż zaśniesz

wtedy rzucą się
na twą duszę

wyszarpiają
krwawy ochłap z ciała

z wściekłością
będą nim chlastać o ściany.

Eros i Thanatos bawią się lustrami

Od rana
ramię w ramię
przeglądamy się
w czworobocznych lustrach

puszczamy je w ruch
na kryształowych rączkach
aż setki twarzy
nurząją się w setkach odbić

ale to jeszcze nie!
w dalszych salach
bawią się następni:
Wiara i Pycha
Rozkosz i Nuda
Mądrość i Zwątpienie
jak biedny człowiek
może się w tym polapać?

Tyle nas
ile jego męki
w komnatach tylko
nasz śmiech
i tupot drobniutkich stóp

nim lustra
nie rozbijają się o podłogę

nim On
nie rozedrzcze zasłony

Grzegorz Musiał



W roku 2002 WL rozpoczyna edycję *Pism zebranych* Witolda Gombrowicza pod patronatem honorowym **Rity Gombrowicz** i **Jerzego Giedroycia** oraz Ministra Kultury, w opracowaniu krytycznym **Włodzimierza Boleckiego**, **Jerzego Jarzębskiego** i **Zdzisława Łapińskiego**. Pierwszy tom *Pism*, ***Bakakaj i inne opowiadania***, ukazuje się w opracowaniu **Zdzisława Łapińskiego**.

Na edycję niniejszą złożą się nie tylko teksty literackie, artykuły, wspomnienia i wywiady Witolda Gombrowicza, ale także pisma wydawane dotąd poza kanonem (zwłaszcza zaś jego listy do rodziny, przyjaciół, krytyków, wydawców i ludzi teatru).

Witold Gombrowicz
Bakakaj i inne opowiadania
Pisma zebrane
oprawa twarda
cena det. 49,00 zł



Lech Majewski
Metafizyka. Powieść
oprawa broszurowa
cena det. 30,00 zł



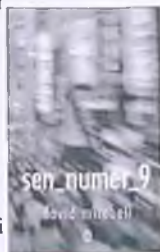
Janusz Anderman
Fotografie
oprawa broszurowa
cena det. 29,90 zł



Bronisław Malinowski
*Dziennik w ścisłym
znaczeniu tego wyrazu*
oprawa brosz. i twarda
cena det. 70,00 i 90,00 zł



Stanisław Lem, Stanisław Beres
Tako rzecze Lem
oprawa broszurowa
cena det. 39,00 zł



David Mitchell
Sen numer 9
przekład: J. Margański
oprawa broszurowa
cena det. 29,90 zł

Wszystkie książki Wydawnictwa Literackiego oraz bezpłatny katalog można zamówić:
Internet: www.wl.net.pl
infolinia: 0 800 42 10 40
poczta: Wydawnictwo Literackie, ul. Długa 1, 31-147 Kraków



Fot. Wacław Kapusto

Kazimierz Brakoniecki

Monady

I

GŁOSY ŻYWYCH

Barbara

Mam pięćdziesiąt lat. Mam raka piersi. Wiem, że umrę i chcę umrzeć. Nie mam dla kogo i po co żyć. Gdybym miała, znalazłabym w sobie dosyć siły, aby walczyć. Ale nie chcę. Może gdyby on mnie kochał? Ale on nie potrafi kochać, tak został nauczony. To nie jego wina, ale na pewno tym bardziej nie moja. Wychowała go matka z babką. Sierota. Ojciec zginął w więzieniu w 1950 roku. Ojciec – wielki Polak i bohater. W jego cieniu żył, w jego kulcie wzrastał. Matka z babką wszystko robiły, aby syn godny był swojego ojca, którego zabili komuniści. Dom – ostoja polskości i katolicyzmu. Jedyna uczciwa droga w tym kraju, to zostać księdzem. Najlepiej biskupem. Nie nauczyły go kochać. Zawsze brał. Zawsze dostawał, zawsze był lepszy, wybrany do wyższych celów. Babcia przyprowadzała go i odprowadzała do szkoły. Do końca podstawówki. Był wyjątkowo zdolnym uczniem. Nie utrzymywał bliskich kontaktów z rówieśnikami. Szkoła, dom, kościół. Na spacerzy za miasto we trójkę, na wakacje – latem nad morze, zimą w góry, zawsze w te same, sprawdzo-

ne miejsca – we trójkę. W całkowitej samotności. Z dalszą rodziną żadnych kontaktów, bo się spospolitowała, jak podkreślała to matka. Mąż babki był zawodowym oficerem, zginął w Katyniu. Kolejna święta ofiara na ołtarzu Polski. I on w takim domu-twierdzy żył. Bardzo szybko zauważył, że te dwa światy – ten domowy i ten zewnętrzny – zupełnie do siebie nie pasują, że są wręcz aż wrogie. Ale przecież większość ludzi do takiego stanu rzeczy całkiem dobrze i szybko się przystosowała. Po takiej potwornej wojnie, nic dziwnego. Postanowił być dobrym synem, ministrantem i w przyszłości kapłanem, jak i prymusem w szkole, respektującym zastane reguły gry. Bo to była prosta gra – należało wyrecytować pewne formułki, pomaszerować na pochód pierwszomajowy ze szkołą, który ze zgrozą z chodnika oglądały matka z babką, pójść do spowiedzi, uklęknąć, głośno odmówić modlitwę. I po chwili, krótszej czy dłuższej, można było wrócić do książek historycznych, latających modeli i gry w szachy. Sprawy seksu, płci – to było najwyższe tabu. Pilnie strzeżone. Głęboko, w tajemnicy przed zaborczymi kobietami rozwijały się jednak w nim erotyczne fascynacje. To nie dziewczynki zaczęły go interesować, ale chłopcy. Dwa lata w seminarium duchownym, tym łatwiej teraz zaakceptowanym, to dwa lata inicjacji seksualnych, to samobójstwo kochanka – kleryka i wyrzucenie (matka z babką rozgłaszały oficjalną wersję o zbyt słabym zdrowiu) z seminarium. Raj się skończył. Kobiety ze zgrozą obserwowały swoje jedyne dziecko, które przez cały rok szwendało się po mieście, nic nie robiąc, głośno słuchając muzyki, paląc, pijąc i zadając się z pospółstwem. Wojsko go ominęło, wiadomo – niedoszły ksiądz i homoseksualista. O kościele zupełnie zapomniał. Z tej zgryzoty zmarła babka, zostawiając wnukowi trochę francuskich książek rodowych, jedną, niepełną zastawę rodzinną i cierpliwie haftowane drzewo genealogiczne.

Nadszedł długo oczekiwany moment zwrotny. Wyjazd do miasta uniwersyteckiego na studia historyczne, które trwały dłużej niż normalnie, ale w końcu zostały uwieńczone dyplomem. Powrót do rodzinnego miasta i podjęcie pracy w dawnym liceum. Kolo się zamknęło. Wyjechał jako bardzo nieszczęśliwy i arogancki młody człowiek, przyjechał jako elegancki, wykształcony i kulturalnie się zachowujący młody pan. O studiach nie rozmawiał, żył tam na stacji, trzymał się z boku swoich nieco młodszych kolegów i koleżanek, dwukrotnie brał urlop dziekański, aby wyjechać do rodziny we Francji. Nikt o nim nic nie wiedział, sam nie zwierzał się, lecz – było to już pod koniec studiów – w stołecznej prasie ukazało się jego tłumaczenie sztuk Geneta i Becketta, a następnie kilka kunsztownych wierszy. Tajemnica jego odosobnienia i wytwornych, jakby staroświeckich, manier, wyjaśniła się. Toż to nasz poeta, nigdy nam nie mówił, że pisze, no patrzcie, mamy literata na roku i to takiego, co drukuje w Warszawie... Poeta,

a właściwie dramatopisarz, bo szybko porzucił pisanie wierszy na rzecz teatru, przyjęty został z należnym szacunkiem przez miejscowe grono nauczycielskie. Tym bardziej, że nowy profesor historii manieri miał nienaganne, unikał polityki, chodził do kościoła, czyli nadawał się na ewentualnego męża jakiejś mieszczańsko-pomorskiej córki. Matka triumfowała.

Rafał

Mam pięćdziesiąt pięć lat. Za rok o tej porze nie będę żył. Powieszę się po śmierci mej drugiej żony, której nigdy nie kochałem, której nie pomogłem w chorobie. W niczym. Żyliśmy obok siebie. Taka była umowa. Tak też i było. Krzysio, tak on miał na imię. Moja pierwsza miłość. Powiesił się, bo albo Bóg, albo ja. Albo dusza, albo ciało. Albo – albo. Jak u Kierkegaarda. Przecież można mieć i być, ale czy można rzeczywiście użyć tego słowa *mieć*? Mieć Boga i Człowieka? *Bóg jest, Boga nie ma*. Ciekawa mądrość języka. *Jeżeli miłości bym nie miał*. A że człowiekiem był mężczyzna, to co z tego. I lepiej. Rodzaj zakonu. Tworzylibyśmy zakon w zakonie. Jezus i Jan. Wszystkie monoteystyczne sekty i religie powstały dzięki braterskiej miłości dojrzałych mężczyzn do tęskniących do duchowego spełnienia młodzików. Bóg Ojciec i Syn. Religia Bogini Matki to religia płodności i ziemi, obojętnego cyklu śmierci i narodzin bez indywidualnego zmartwychwstania duszy. Religia Ojca i Syna to religia pojedynczego sumienia, duszy i prawa. Bracia! Nikogo tak mocno nie kochałem jak Krzysia. Był czysty i niewinny jak biblijne źródło. Jego skóra na udach, na ramionach, cudownie biała twarz. Lubiał całować swoje ręce, kolana, patrzył na nie z taką miłością, że aż mu zazdrościłem, że ma cały czas te swoje kochane ręce, włosy, oczy, zęby, a ja zaledwie od czasu do czasu, kiedy pozwalał mi je pieścić językiem, dotykać palcami, kiedy leżeliśmy sami na nadmorskiej plaży i mogłem wargami zdejmować z niego słoneczny piasek. Gdzie jesteś Krzysiu, jedyna moja miłości, mój ty kochanku, uczniu, wyznawco, mój ty Janie, który nauczyłeś mnie kochać życie. Gdzie jesteś, pragnę cię, jesteś mi potrzebny!

Dlaczego to zrobiłeś? Dwie dusze w jednym ciele. Dwa ciała w jednej duszy. Jakie to proste. Jakie czyste, wzniosłe i szlachetne. Moglibyśmy razem tworzyć nasz najpiękniejszy zakon, nigdy bym cię nie dotknął, chyba żebyś mi pozwolił, sam tego pragnął. Byśmy pisali do siebie listy, wiersze, wyjeżdżali na wspólne wakacje, nikt by nie odkrył, co nas wiąże. Dwóch przystojnych kapłanów. Moglibyśmy razem wyjechać, rzucić seminarium, ukryć się gdzieś we Francji. We Francji wszystko byłoby inaczej. Dlaczego mnie nie ostrzegłeś, dlaczego mnie zdradziłeś?

Ty w tej trumnie. Sam. Wypełniony i wypełniający. Zamknięty przede mną. Urągający. Najukochańszy. Nie chcieli mnie dopuścić do ciebie. Nie chcieli, żebym cię zobaczył. Nienawidzili mnie. Zostawiłeś list. Nie do mnie. A ja tak cię kochałem. Twoje biodra, zniewalający uśmiech, twoje zielone oczy, czule genitalia, twoje, ach, wiesz, twoje wszystko. Żeby nie była to prawda, żeby można było wszystko odwrócić, żebyś był tu ze mną. Na zawsze.

Barbara

Nigdy nie wiedziałam do końca, jakie on nosi w sobie tajemnice. Pozornie był jak z jednego kamienia. Żadnego dostępu. Lubił porządek, przestrzegał wyznaczonych godzin na pracę, na wypoczynek. Podziwiał Kanta. Kiedy sztuki zaczęły cieszyć się powodzeniem, rzucił pracę w szkole, zaczął dużo podróżować. Lubiał samotność, chociaż potrafił – jak chciał – zabłysnąć w towarzystwie, zauroczyć, zachwyć. Przepadały za nim młode, inteligentne kobiety. Nie opuścił rodzinnego miasta. Lubiał powtarzać, że jak Kant spaceruje po mieście zawsze o tej samej porze. Ale wyjeżdżał i nie był ascetycznym intelektualistą w odróżnieniu od tamtego. Czy był sławny? Był, jeśli o to chodzi, lecz nie przywiązywał się do tego ani nie obnosił. Był w tym szczerzy. Zresztą sam powiadał często, że szybko o nim zapomną, gdy umrze. *C'est la vie*, powtarzał.

Czy go kocham, czy go kochałam? Nie wiem, czy to była miłość. Miłość? Co to jest miłość? Jest to dozgonne uczucie, które łączy mężczyznę i kobietę w jednym związku emocjonalnym itd. Przecież myśmy nie skonsumowali naszego małżeństwa, nigdy nawet nie spaliśmy razem pod jedną pościelą. Jestem jałowa, nie urodziłam mu dziecka. Zresztą jak miałam to zrobić? *Nigdy więcej*. Oto jego słowa. Zgodziłam się, zaaprobowalam jego umowę z nadzieją, że z czasem zmieni swoją decyzję, że – jak to w życiu – słowa swoje a życie swoje. Ale nie, nie udało się. Gdyby nie pierwsza żona, może by się udało. Ale gdyby nie jej śmierć, nigdy byśmy się nie zeszli. Zeszli? To ja robiłam wszystko, żeby z nim być. Imponował mi, przyciągał sławą i nieszczęściem. Gdy mi powiedział prawdę o sobie, że jest pedałem, tak powiedział, jestem nieuleczalnym pedałem, to pomyślałam sobie, że z tym da się żyć, nie mam dwudziestu lat, czas biegnie, nie muszę być matką, a potem zobaczymy. Cokolwiek powiedział interpretowałam to po swojemu, miłość jest chorobą, byłam na niego chora. Najgorsze przyszło potem. Monotonna samotność, odizolowanie, niekiedy dopuszczenie do tajemnic „myśli i twórczości znanego pisarza”, który stopniowo tracił w moich oczach swój nimb, swoją wielkość. Dlaczego mnie wziął? Żeby spróbować jeszcze raz żyć

normalnie? Nie, a więc po co? Potrzebował po śmierci żony i matki opieki? Kogoś, kto by za drzwiami krzątał się i na niego wyrozumiale baczył? Okruchy życia zbierane ze stołu pamięci. Nie powiem, nie podnosił głosu, zabierał mnie do kina, rozmawialiśmy o jego planach, pomagałam mu przepisywać utwory, czego chcesz więcej? Ale tak było przez pierwszych kilka lat. Żadnej serdeczności, pocałunku, dotyku. Nie mówiąc już o fizycznej miłości. Mógłby przynajmniej raz postarać się mnie rozpałić, spróbować inaczej, ale nigdy, *nigdy więcej*.

Czy go zdradziłam? Tak, kilka dobrych lat po ślubie. Czy on o tym wiedział? Wiedział albo domyślał się, lecz nigdy o tym nie rozmawiał ze mną. Z kim? Z jego admiratorami. Wybierałam tylko takich najbardziej nieśmiałych – albo tak mi się jedynie wydawało. Mogłam mieć dziecko z jednym z nich, który się we mnie zakochał. Mogło to być nasze dziecko. Nie dopuściłam do tego. To przekreślało naszą umowę. A on? On zapraszał do swojego gabinetu tych, których sam chciał zaprosić i tak jakoś razem dogadzaliśmy sobie, ale nie było to ani piękne, ani niewinne. Coraz więcej alkoholu, coraz więcej przypadkowych gości. Wtedy on wiał, wyjeżdżał na dłużej albo przepadał w tej swojej Francji. Zostawałam sama z psem i kotem, książkami i telefonami, pocztą i telewizorem.

Rafał

Naprawdę chciałem dobrze, chciałem się zmienić Marto. Uwierzyłem, że ty mi w tym pomożesz. Taka byłaś piękna i mądra. Niezależna i mocna. Ciebie wybrałem, żeby się zmienić. Byłaś taka poważna i wspaniała. Wysłuchiłaś mnie w skupieniu. Przyjęłaś moje oświadczenia. Zgodziłaś się. Dlaczego Bóg nam nie sprzyjał, dlaczego nie wysłuchiwał moich modlitw? *Który gładzisz grzechy świata*. Marto. Staralem się kochać cię tak, jak na to zasługiwałaś. Zaskakiwałaś mnie swoją wrażliwością, czułością i umiejętnością postępowania z takim typem jak ja. No i spaliśmy ze sobą, wyjechaliśmy nad Bałtyk i to miodowe lato było tym, o czym marzyłem, kiedy patrzyłem na ciebie, dotykałem, całowałem. Nie wiedziałem, że kobieta może dać mi tyle szczęścia. Zapominałem o sobie, ty byłaś najważniejsza, byłem taki nieporadny, ty taka czuła i udało nam się, udało, byłem mężczyzną, a ty kobietą, byliśmy małżeństwem, wybraliśmy swój los na wieki. Ile ty mi dałaś sił, przy tobie odpoczywałem, łatwiej mi się pisało, życie samo jawiło się jako spełnienie niewyobrażalnie pięknego snu.

Gdybym wtedy nie pojechał do Francji, może nic by się nie stało. Wiesz, jak to jest, przyjęcie z okazji premiery sztuki, alkohol, piękni panowie i panie, chwila nieuwagi, szaleństwa, i znalazłem się w łóżku z przypadkowym chłopcem.

Szok. Telefon. Nie, nie mam czasu. Następnie jeszcze jeden i drugi, ciekawość, czemu nie, tylko jeszcze raz, wyjaśnię to nieporozumienie i zerwę znajomość, jestem przecież dojrzałym, żonatym mężczyzną zakochanym w swojej żonie. Ale w głębi ciemnej duszy przekonanie, że będzie inaczej, że zaczyna się przygoda, hazard, gwałtowne uczucie...

Marto, gdybym wówczas nie wyjechał, byłibyśmy szczęśliwi. Chociaż czy sam wierzę w to, co mówię? Raczej nie. Pięć lat koszmaru. Udawania miłości, unikania ciebie, unikania sytuacji intymnych i ta moja matka, która robiła ci sceny, dlaczego nie rodzisz jej wnuków. Że tak to się skończyło. Nędznie, nisko, tragicznie. I ty w tym wszystkim coraz bardziej niespokojna, znerwicowana, osamotniona. *Moja wina, moja bardzo wielka wina*. I ten cios, telegram: *Przyjeżdżaj. Marta nie żyje. Matka*. Zrobiłaś to w moim pokoju, w gabinecie. Rozrzuciłaś wszystkie moje rzeczy, wszystkie moje książki, papiery, archiwum, przewróciłaś biurko, położyłaś się na tapczaniku i zasnęłaś. Zasnęłaś na wieki. *Moja wina, moja bardzo wielka wina*.

II

GŁOSY UMARŁYCH

Rafał

Teraz, kiedy umarłem, mogę powiedzieć, że jestem wreszcie szczęśliwy. Niczego nie czuję, niczego nie pragnę. Coraz mniej pamiętam z tamtego życia, a niedługo wszystko zapomnę. A tak bałem się tej śmierci. Najgorsza jest niepewność. Kiedy już postanowiłem, że stanie się to w tym dniu, w dniu, w którym Krzysł umarł, moje życie nabrało sensu. Ostatnie listy, spalenie dzienników i notatek, załatwienie spraw formalnych, które okazują się wbrew pozorom być ważne i może najważniejsze (sam trup stwarza tyle problemów dla żywych), no i wreszcie można zabrać się do ostatecznego dzieła. Dzień jak co dzień. Toaleta, gimnastyka, śniadanie, spacer na cmentarz, powrót, kąpiel, garnitur, trochę whisky, muzyka Mahlera i sznur. Święty węzeł. Dzień jak co dzień.

Teraz, kiedy umarłem, mogę powiedzieć, że dobrze zrobiłem. Wtedy tego nie wiedziałem, wtedy bałem się umierania, może nie samej śmierci, o której często myślałem jako o wyzwoleniu. Prześladowało mnie fatum. Śmierć Krzysia i Marty. To wystarczy, żeby stracić smak życia, właśnie – nie sens, ale smak. Sensu nigdy nie dostrzegałem. Albo heroizm, albo...kultura maski... Ratunkiem jest śmierć. Niedługo nie będę pamiętał. Rozpłynę się w nieskończonym milczeniu kosmosu, w wiecznej magmie życia, które jest widzialne i niewidzialne, obojęt-

ne na pojedynczy ludzki los, na los całych ludzkich generacji, narodów i epok. I to jest ocalenie. Niepamięć jest ocaleniem. Już poza mną moja wina i niewina, opadło ze mnie ciało, które sprawiło mi tyle kłopotów i niespodzianek, już mnie nie ma tylko ten głos odbija się o cienie wszechświata, aby opaść w czarne słońce chaosu. Taki jestem szczęśliwy.

Barbara

Kiedy umierałam, pojawił się tunel, na którego końcu błyskało światelko. Zupełnie jak w tych książkach, które dawał mi do czytania. *Czy ty sam w to wierzysz*, zapytałam go pewnego dnia. *A czy ja wiem*, odpowiedział, *przeczytać nie zaszko- dzi, tyle jest niewyjaśnionych spraw na ziemi i w niebie*. Zafrapowały mnie opowieści ludzi, którzy przeżyli kliniczną śmierć. Przeżyli, więc nie do końca im wierzyłam. Prawdziwa śmierć kończy się całkowitym obumarciem funkcji mózgu. Kiedy mózg pracuje, kiedy tworzy obrazy, żyje. Więc myślałam, że dopóki mój mózg żyje, będzie mi towarzyszył w umieraniu, aż wszystko zgaśnie. Jak w komputerze. Tylko że komputer można włączyć, a mózg wyłączony to śmierć człowieka. Coś się wyłączyło na zawsze. Nie ma odwrotu, a tu nagle widzę, że umarłam, a mózg mój działa dalej, jak komputer, ale nie był to już mój mózg. Opuściłam ciało, spojrziałam na nie z góry, uwolniłam się z powłoki, która tam leżała w szpitalu, obok łóżka stał zdruzgotany on i patrzył na moje konanie, gdy ja ulatywałam, zataczając koła coraz wyżej i wyżej. Byłam szczęśliwa, że to koniec mojego ziemskiego życia i wtedy pojawił się tunel. Trochę się przestraszyłam, a wówczas jakoś pojawili się moi rodzice, wzięli mnie za ręce i polecieliśmy dalej i wyżej razem. Przestałam się bać. Raptem rodzice zniknęli, oblalo mnie światło, byłam u ujścia tunelu, światło to było przenikliwie jasne i zarazem dobre, wniknęło we mnie i przemieniło, tak że sama stałam się tym światłem, ale czułam, że światło to pochodzi z zewnątrz, z boskiego źródła, które mnie koi, przeobraża, przeistacza. Byłam już kimś innym, pozostając sobą, byłam w czymś, co było większe niż wszechświat, straciłam swoją ziemskość i ciężar. Ono, to światło we mnie i na zewnątrz mnie, mówiło: *Pokój tobie, pokój umęczona duszo*. I w tym momencie wszystko co czułam, co myślałam, czego się bałam, co widziałam nie widząc rozbłysło, jakby świetliście pękło i przestałam być taka jak kiedyś byłam, ziemską, okaleczoną, smutną i przestraszona. Wolna, lekka, świetlista ujrzałam swoje oddalające się życie bez jakiegokolwiek żalu, ujrzałam Ziemię jako kruszynę w ciemnościach kosmosu, który też nagle niki i pozostało jedynie to światło, które świeciło nie świecąc, emanowało nie emanując, bo ja żyłam światłem, sama nim będąc w centrum serca Boga na drodze jego nieskończonego życia, które jest wiecznym pokojem.

Matka

Tylko on mi został po moim mężu, którego tak kochałam i podziwiałam. Dwa lata w Auschwitz, cudem uratowany, sama skóra i kości, ale szczęśliwy: *Widzisz Bogumiło, a jednak żyjemy! To Bóg nam pomógł i wasze modlitwy za mnie.* Po roku znów do więzienia, ale naszego, polskiego, chwilowo na krótko. Amnestia dla wrogów komunizmu. Wyjechaliśmy na Ziemię Odzyskaną, zaczął pracę w administracji państwowej, każda para rąk była potrzebna, nie trwało to długo, w 1949 aresztowany i skazany po roku na śmierć. Zdrajca narodu polskiego. Jakie to okrutne musiało być dla niego, który swoją ojczyznę kochał bezgranicznie, którego przodkowie tyle wylali za nią krwi. Nie ugiął się. Urodziłam mu syna, mściciela. Tak mnie zawiódł. Listy ojca z więzienia do syna. Czytałam mu je na dobranoc. *Jedyny mój i najukochańszy Synu! Kochaj swoją Matkę i Babkę, nie zapominaj o Ojcu, który Cię kocha i poleca Panu Bogu. Bądź polskim patriotą i mądrym człowiekiem. Jak wrócę, to wszystko ci opowiem.* Nie wrócił. Tak mnie zawiódł. Nie mógł zostać oficerem w komunistycznym kraju, mógł zostać księdzem, przysłużyć się polskiej religii i tradycji. Tak mnie zawiódł. To jego paskudne zboczenie, którego nie przebaczyłby mu ojciec. Dobrze, że nie widział. Rzucił seminarium. Stoczył się. A tak dbałam o niego, tak troszczyłam się, chuchałam. Wszystko dla niego i przez niego. Oczko w głowie mamusi i babci. Lekcje fortepianu, francuski, wakacje, muzea, książki, religia. I na co to? Na zmarnowanie. Gdyby jeszcze Marta urodziła chłopca, byśmy się nim zajęły, nie pozwoliłabym go zmarnować, ale nic z tego. Nic z tego. Całe moje życie zmarnowane. Kto to widział? Oddawać się rozpucie z chłopcami, być homoseksualistą. Coś okropnego! Że to mój syn. A tak dbałam o niego, tak pieściłam, tak marzyłam, kim będzie, jak dorośnie. Nie będzie oficerem, bo nie można służyć w komunistycznej armii, więc będzie kapłanem, biskupem w tym strasznym czasie, jak jeden z pradziadków w XIX wieku, ocali religię i prawdziwą Polskę, to nic że nie będzie miał dzieci, nie można mieć dzieci w takim kraju i czasie, ale dlaczego się zmarnował, gdyby miał syna, to nie pozwoliłabym go zmarnować, zepsuć, ale tak było pisane, kara od Boga, ale za co, same nieszczęścia na moją biedną głowę!

Krzyś

Kocham cię ty bydlaku jeden, a powinienem nienawidzić! Nie żałuję, żeśmy się spotkali, chociaż powinienem. Zostałbym księdzem profesorem w seminarium, może nawet w dużym mieście, może zrobiłbym doktorat z teologii negatywnej, którą nauczyłeś mnie cenić, może zostałbym proboszczem w bogatej wsi, gdzie spo-

tykalibyśmy się w ogrodzie, na werandzie, przy stole i... Stało się inaczej. Odkryłem mnie dla samego siebie. Nie wiedziałem, kim jestem, potrzebowałem ciebie, aby w pełni siebie odkryć. Stałem się pełnym człowiekiem, ciałem i duszą. Miałeś rację – wszystko już stworzyli przed nami starożytni Grecy. Pamiętasz, jak sprzeczailiśmy się o niewolnictwo? Tylko to nas różniło – twoja elokwentna obrona niewolnictwa, demokracji elitarnej, filipiki przeciwko plebsowi, pospólstwu, a przecież ja byłem kimś z plebsu, wiejskim chłopakiem. Jak Grecy. Piękno fizyczne i duchowe, wspólnota młodych i pięknych ciał i dusz. To ty nauczyłaś mnie, że miłości nie należy się wstydzić. Każdej miłości. Że mam prawo korzystać z twego, jak i ty z mojego ciała, które nie jest materią, grzechem, wstrętnym mięsem winy, lecz narzędziem rozkoszy i przyjaźni, mieszkaniem duszy wiernej i ufnej.

Nasze dwa ciała razem, my razem na zawsze! W nocy, w słońcu na polanie leśnej, nad jeziorem, w stogu siana, w morzu, lazience... Dałem ci wszystko, co mogłem dać. I czułem, że i ty dajesz mi wszystko, co masz – samego siebie wreszcie! Jadłem cię i ty mnie jadłaś! Święty pokarm spermy! Bydlaku, jak ja cię kochałem. I nadal Kocham. Dlaczego mnie zdradziłaś, dlaczego? I to z takim brudnym durniem. Tylko dlatego, że był taki nieśmiały, niewinny, niezręczny, a ty musiałaś nim się zająć? Kolejny chłopski syn w progu seminarium, którego trzeba inicjować? Wprowadzić w arkana zakonu? Nie, zakon obowiązywał tylko nas dwóch, pamiętasz? Nas dwóch. Braterstwo wiary, krwi i spermy. Liturgia wtajemniczonych, misterium męskiego kościoła. Zdradziłaś mnie ty kurwo! Nie umiałem cię zabić, więc sam się zabiłem. Jak ja cię kochałem bydlaku, jak ja cię znienawidziłem!

Marta

Byłaś moim jedynym mężczyzną. Mężczyzną mego życia. Wiem, sama zaryzykowałam, mój wolny wybór. Ale czy miłość wybiera? Wiązać się z homoseksualistą. Było to wyzwanie na miarę mojego uczucia do ciebie. Przez chwilę, a chwilą było kilka naszych pierwszych miesięcy po ślubie, miałam nadzieję, że się uda, że założymy normalną rodzinę. Wybaczyłabym ci, gdybyś po drodze miał przypadkowych chłopców. Wiadomo, że to choroba, że jesteś inny. Gdybyś wracał do mnie, gdybyś próbował, gdybyśmy mieli dziecko, ułożylibyśmy sobie jakoś nasze życie. Mogłam mieć dzieci, byłam u lekarza, zresztą mogliśmy dziecko adoptować. Szkoda, że nie udało mi się zająć w ciążę wtedy, kiedy spaliśmy ze sobą, kiedy ci się udawało. Momenty szczęścia i nadziei. Odwzajemniana miłość. Ale tak zakochać się w jakimś francuskim bubku z radia, tak głupio, kompromitująco?! Nie potrafiłam ci pomóc, zachowywałeś się jak wariat, jak chory z miłości i to

na moich oczach, nie, nie chciałeś wiedzieć, co ja cierpię, jak usycham, jak walczę o ciebie, jak rezygnuję, wybucham, jak rozpaczam, poddaję się, jak zaczynam pić, brać leki, jak ginę na twoich zimnych oczach... A ty wyjeżdżasz do Francji, zapraszasz go do Polski, uciekacie przede mną, bawicie się mną, ranicie, mordujecie moją miłość. Co z moją miłością? Nic. Spalona jak kartka z twojego rękopisu. Jeszcze to opisałeś, zdobyłeś nagrody na festiwalach sztuk teatralnych, a ja, gdzie byłam ja? Temat do sztuki o samotności dorosłych ludzi, o nierozwiązywalnych konfliktach płci? Ja żyłam, byłam z krwi i kości. Nieudana postać z odrzuconej sztuki? Nieudana aktorka, która uwierzyła w swoją grę, w posłannictwo? Życie – teatrem, tak? Tak, to był mój błąd, sama tego chciałam, to moje ryzyko, to moja miłość. Niczego nie kryłeś przede mną. Powiedziałeś mi prawdę o sobie w typowym dla ciebie lekko kpiącym stylu. *Jestem Grekiem*. I tak zostało. Lecz nie starczyło ci miłości, szacunku, odwagi, aby być szczerym dalej. Moja miłość została zdradzona i zabita. Byłeś moim jedynym mężczyzną, mężczyzną mego życia. Wiem, sama tego chciałam.

Kazimierz Brakoniecki



Fot. Archiwum „K.A.”

Anna Janko

Dzień spod nocy wstaje

Dzień spod nocy wstaje
Noc odchodzi skrajem
Powieki nasenne
Tablice kamienne

Deszcz pada do morza
Z wysokiej tęsknoty
Zaknę ciebie w kamień
Abyś leżał na mnie

Bez twojej pieszczoty
W głodnej śmierci tonę
Jedwabne popioły
Wapienne anioły

Anna Janko, ur. 1957 na Górnym Śląsku; autorka kilku tomików wierszy, z których ostatni pt. *Światli-
sty cudzoziemiec* (2000) nominowany był do Nagrody Nike. Mieszka w Warszawie.

Zmagam się z tobą upragniona duszo

Zmagam się z tobą upragniona duszo
Drugiego człowieka, błękitny płomyku,
Bez którego nie umiem siebie rozpoznać
Ani widzieć świata.

Z jakże głęboką wiarą w prawdziwe spotkanie,
Od którego obrót gwiazd zależy,
Mijałem cię bliską, a tak nicosięgalną,
Na wyciągnięcie ręki.

Wobec utraty żyjemy, jakby to ona była światłem,
Ciemnym świecidłem, rodzinnym klejnotem ludzkości,
O którym myślenie samo
Jest kuszeniem rozpacz.

Ale o świcie, gdy pobożne śpiewy ptaków
Usypiają trwogę, znowu rodzi się nadzieja.
I pijesz ze strumienia wiary,
Jak drzewa, zwierzęta i wszystko co żyje.

Uprawiamy tę otchlań
Zamieniając ją w ogrody,
Choć może nie wyrastają one dalej
Niż rzęsy u naszych powick.

Aby noc nocy niosła ulgę,
Aby dzień dla dnia głosił opowieść,
Aby to co kruche stawało się opoką,
Aby to co krótkie w głąb szło jak wieczność.

Prawieczór

Popatrz, jak ogień odstaje od kamienia.

Tarcie, naszych istnień rozbłyśki.

Paluszkciem płomienia
kiwa na nas benzynowa zapalniczka.

Czysta tinta nieba przyplywa oknem;
nie wydrukowano gwiazd na tę noc.

Głosy słowików bawią się ze sobą,
jak duchy w ogrodzie.

Spotykamy się, gdzie rzeczy niestworzone
mieszkają razem z unicestwionymi.

W cieniu, we śnie, pod śniegiem, na dnie rzeki podziemnej.
W hipnotycznej godzinie, która wraca
jak pamiętka po Bogu.

W skał głębokich westchnieniach, kiedy zadrży ziemia.

Więc chodź, ogniu do węgla,
przyłóż swój język.

Może odnajdziemy antracytowy smak
wspólnego dzieciństwa sprzed tysiąca lat.

Norwid

Powidok i cienie prawdziwej miłości – widziałem.

I czułem jak ból fantomowy to, czego nie miałem.

Tęskniłem; umarłem tyle razy, ile mnie nie chciano.

Czy wiesz jak ciężkie może być ciało,
gdy umarła dusza?

Sierotą jestem i dźwigaczem pustki.

Krzeseł przy łóżku moim w gościach u mnie siedzi.

W pokoju – ciemno od słońca. Płakałem.

Lecz nie słuchałem płaczów tych, bom głuchy
jak pień na stare lata.

Póleżę, albo chodzę i kaszlę, albo patrzę i czekam;
i przychodzą czasem anioły szalone
do szalonych starców.

Kryształ pogody za szybą zamkniętego okna
obraca się obojętnie.

Jestem tu jeszcze?

Jedno spojrzenie twoich – czyich? – oczu, w twarz moją,
być może wróciłoby życie. – Już go nie chcę więcej.

Płaczę, że płakałem.

Że mnie nie było. Nie ma. I nie będzie.

Anna Janko



Fot. Julian Kornhauser

Jerzy Gizella

Ten co patrzy do bólu

Widzi źdźbło w bucie brata swego
A sam ma belkę w oku

Na której powiesili źli sąsiedzi
Lekarza księdza woziwodę

Belka w oku
Goździk w kłapie jak mikrofon

Spaceruje po Plantach
Podsluchuje podgląda

Pilnuje porannych koszmarów
Z przeszłością w odpiętej kaburze

Więzień zatrzymanego czasu
Którego nie objęła powszechna amnezja

Z jakiej to sztuki, z jakiego teatru

On wszędzie w płaszczu
W kawiarni i w teatrze
Nie zdejmuje bo mu zimno
A może pod tym płaszczem
Husarska zbroja
Koszula pancerna
I ryngraf na sercu
Ten paszport sarmacki

Przeciw wampirom
Łykom, parchom wędrownym
Jak czosnek
Bez wyziewów
I teczka wypchana
Zaczernionym papierem
Podpiera się tą tęczką
Jak rycerz rapierem

A płaszcz nieprzemakalny
Żupan historyczny

Takim cię widzą lyki-biesiadniki
Naburmuszony emigrancie
Aktora
Ze spalonego teatru historii

Drzwiami takiego wyrzucisz
Oknem wróci
Jak aktor Solski – stary Wiarus
Ku uciesze gawiedzi

Chochole gderanie

Pytasz co w Krakowie?
Kłopotliwe pytanie –
Miłość własna
Wsiada i wysiada
Ze złotej karety

Kadzidła
Feretrony
Bicie w dzwony katedry
Holdy banderii chłopskiej
No, sam wiesz jak
Potrafimy zorganizować
Uczty i jubileusze

Bractwo Kurkowe
Bractwo Dobrej Śmierci
Żupany delie kontusze
A zamiast kulawki –
Strzykawki

Czyli tak jak za Ruskich
Uluda się leje obficie
I kapie po brodach
Między Plantami
A Ratuszem

Retuszem?
Retuszem animuszu?
Animuszem retuszu?
Kopciuszkiem Kościuszki?
Usypianym przez naród?

Znikanie po angielsku

Dni coraz krótsze i krótsze
I coraz krótsze życie

A kiedyś się dłużyło
Bez kresu i nadziei

Wiosną mokro i ciepło
Wypadanie z obiegu

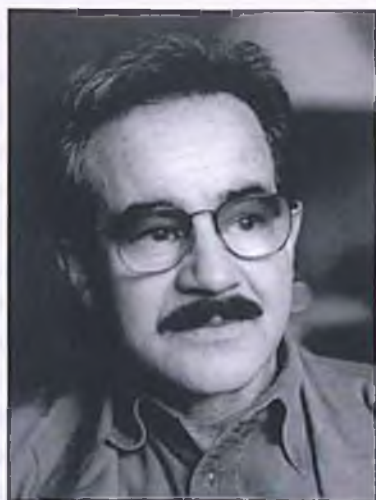
Zimą sucho i zimno
Wypalanie śniegu

Miłość – przesadzanie płotu
Kradzież jabłek z sadu

Spadanie w pokrzywy
Po drugiej stronie

Ani sielskie
Ani anielskie

Jerzy Gizella



Fot. Elżbieta Lempp

Henryk Grynberg

Przekleństwo przekładu albo jak się grzebie literaturę

Część druga *Żydowskiej wojny* zaczyna się wczesną wiosną 1943. Sześćioletni chłopiec żydowski przywieziony z lasu do Warszawy dziwi się, że cywilizacja jeszcze istnieje: „Wujek Aron wprowadził mnie do małej cukierni i zamówił dla mnie kakao i rogalik, bo to wszystko tu jeszcze istniało...” Książkę zainteresowało się duże nowojorskie wydawnictwo „Doubleday” i amerykański tłumacz przysłał jako próbkę mi tę właśnie stronicę. W jego przekładzie wujek Aron zamówił dla mnie kakao i rogalik, bo niczego innego nie było (*the only things still to be had*). Wicedyrektor ZAiKS-u, który osobiście doglądał transakcji dewizowych, radził mi, żebyśmy powierzyli książkę niedużemu lecz ambitnemu, żydowskiemu wydawnictwu w Londynie i renomowanej tłumaczce pani W., która regularnie współpracuje z ZAiKS-em. Wkrótce potem zaczęła się w Polsce heca antyżydowska, jakiej nikt po holokauście się nie spodziewał, więc udałem się z Teatrem Żydowskim na występy do Nowego Jorku, po których nie zamierzałem już nigdy do Polski powrócić. Pani W. jakby to przewidziała, przysłała mi do mojego nowojorskiego hotelu formularze od swojego męża, który okazał się agentem literackim gotowym

zaopiekować się mną na zasadzie wyłączności. Po halasie w mediach, jaki wywołała moja odmowa powrotu, pani W. radziła mi, żebym się powstrzymywał od wypowiedzi pozaliterackich. Tego jednak nie usлуchałem, bo mi nie pozwalało sumienie. Halas spowodował, że zwracały się do mnie wydawnictwa o egzemplarze i opcję, a ja lojalnie je kierowałem do mojego wyłącznego agenta i na tym się kończyło. Tylko agent telawińskiego wydawcy, który przedtem pertraktował z ZAiKS-em, poskarżył mi się na mojego londyńskiego agenta, że stawia za ciężkie warunki jak na malutki Izrael. Londyński agent honorowo się wyłączył z transakcji i książka zaraz się ukazała w bardzo dobrym przekładzie, a ja otrzymałem czterdzieści dolarów, które dzielnie wywalczył mi ZAiKS.

Żydowskie wydawnictwo londyńskie nie chciało zgodzić się na tytuł *Żydowska wojna* ze względu na Józefa Flawiusza i konflikt na Bliskim Wschodzie (o *Wojnie żydowskiej* Feuchtwangera pewno nie wiedzieli) i „żeby nie odwlekać publikacji” musiałem zaakceptować ich tytuł *Child of the Shadows* (*Dziecko cieni*), który był i tandetny i błędny, bo nie dziecko jest bohaterem książki lecz jego rodzice, jak wskazują choćby tytuły jej obu części: „Ojciec” i „Matka”. Poza tym tłumaczka twierdziła, że trzeba ułatwić czytelnikom imiona i nazwiska postaci, w rezultacie czego moją realistyczną opowieść polsko-żydowską zaludniły imiona i nazwiska, które nie są ani polskie, ani żydowskie, jak Bucek (Buciek), Blumek (Biunek), Mrs. Abraham (Abramowa), Tony (Antoś), Elephant (Słoń). Za słabo jeszcze znałem angielski, żeby dostrzec wszystkie wady przekładu, ale przeglądając odbitki korektorskie udało mi się uratować książkę od paru kuriozów, które przypominały próbkę owego amerykańskiego tłumacza. Pani W. była polską Żydówką, która przeżyła wojnę w Londynie, i wielkanocny grób Pana Jezusa pomylił jej się ze żłobkiem bożonarodzeniowym, który przetłumaczyła jako „grób małego Jezuska” (*little Jesus's grave*). W okupowanej Warszawie zapłaciłaby za taką pomyłkę życiem.

Dawałem książkę amerykańskim znajomym. Kiwali głowami z uznaniem, bo sam fakt publikacji uważali za sukces, ale jakoś książka nie robiła na nich wielkiego wrażenia. Zaniepokojony pytałem o angielszczyznę przekładu. Odpowiadali, że jest poprawna, ale nikt tak nie mówi. A każdy kto czytał *Żydowską wojnę* po polsku wie, że jest to opowieść mówiona, ustna, podobnie jak wszystkie następne z tego cyklu (*Zwycięstwo, Życie ideologiczne, Życie osobiste, Ojczyzna*). Równocześnie ukazało się wydanie holenderskie (sto funtów zaliczki!) i ze zdziwieniem zobaczyłem pod okładką napis „*Uit het Engels vertaald*” – tłumaczenie z angielskiego... A nie powinienem był się dziwić, bo już w styczniu 1968, w dziesięć dni po mojej odmowie powrotu do Polski, mój agent a mąż pani W. pisał mi, że zapewnił

sobie kilka kompletów próbnych odbitek angielskiego przekładu, żeby sprzedawać prawa innym wydawcom obcojęzycznym (i pewno dlatego nikt ich nie kupił). Dawałem książkę moim, na szczęście nielicznym, holenderskim znajomym. Mieli zakłopotane miny.

W sierpniu 1968 dostałem umowę z wielkiego frankfurckiego wydawnictwa, które w swoim czasie zapewniło sobie polski egzemplarz z ZAiKS-u. Książka miała ukazać się w ciągu dwudziestu czterech miesięcy (i już tysiąc pięćset marek zaliczki), ale minęły dwa lata i nic. Zdążyłem już się rozstać z agentem i sam pisałem listy – jeden, drugi i trzeci – żadnej odpowiedzi. Co im takiego zrobiłem? Może moje trefne w Polsce nazwisko przeszkadzało im kupować w ZAiKS-ie dużo tańszych PRL-owskich autorów. Minęły jeszcze dwa lata. Zacząłem już wtedy pracować w miesięczniku „Ameryka” w Waszyngtonie i opowiedziałem o tym dziwnym postępowaniu niemieckiego wydawnictwa jednemu z moim amerykańskich kolegów, a on swojej żonie, która pracowała w biurze firmy adwokackiej, i jej kolega – bezpłatnie – napisał na firmowym adwokackim papierze tylko dwa pytania: dlaczego tak szacowne wydawnictwo nie dotrzymuje warunków umowy i dlaczego nie odpowiada na monity autora? Książka zaraz się ukazała i znajomi germaniści zapewniali mnie, że w bardzo dobrym przekładzie, ale nikt jej nie zauważył, ani jednej wzmianki w prasie, nie jestem nawet pewny, czy ją sprzedawano. Widziałem ją tylko raz, po latach, w katalogu biblioteki Uniwersytetu Heideberskiego, gdzie wszystko jest. Po trzydziestu latach moja nowa agentka zapytała szacowne wydawnictwo, czy zechciałoby książkę wznówić łącznie ze *Zwycięstwem*, które jest jej dalszym ciągiem. Odpowiedziano jej, że nie, bo posłużyłem się kiedyś adwokatem. Co za poczucie honoru!

Zaraz po wydaniu *Zwycięstwa* (Paryż, styczeń 1969) redaktor Giedroyc zaproponował mi agencyjne usługi Instytutu w lansowaniu obcojęzycznych wydań, na co ja odpowiedziałem, że mam wyłącznego agenta w Londynie. Rezultat mojej lojalności był taki, że na pierwsze obcojęzyczne wydanie czekałem dwadzieścia cztery lata. Owszem, przetłumaczył książkę na angielski młody komparatysta z Uniwersytetu Kalifornijskiego, Richard Lourie, konsultując ze mną prawie każde zdanie, ale nie potrafił znaleźć wydawcy. Po latach zgłosił się do mnie uchodźca z Jaruzelskiego stanu wojennego z ofertą, że przetłumaczy książkę i za protekcją Stanisława Barańczaka znajdzie wydawcę. Zastanawiałem się, czy on zna tak dobrze angielski, ale że miał Amerykankę za żonę i protekcję Barańczaka, więc myślałem sobie, niech próbuje. Posłał maszynopis do akademickiego wydawnictwa, bez błędów translatorskich, bo sprawdzałem i poprawiałem. I co? Książkę zaakceptowano, ale nie przekład. Wobec tego wyciągnąłem z lamusa wersję Louriego i nie

było problemu. Pierwszy nakład rozszedł się z powodzeniem i zaczęto szykować drugi. Wobec tego zaproponowałem łączne wydanie z *Żydowską wojną* i chciałem, żeby Lourie ją przetłumaczył na nowo lub przynajmniej ujednolicił ze *Zwycięstwem*, ale on tymczasem sam zaczął pisać książki i nie miał więcej czasu na przekłady. Postanowiłem więc sam poprawić imiona, nazwiska i w miarę możliwości ożywić przedwojenny, brytyjski, szkolny styl pani W., no i okazało się, że tłumaczka:

– nie rozumiała podstawowych realiów: wagon w pociągu do Treblinki przetłumaczyła jako *coach*, czyli wagon osobowy; koce, na których leżeli w lesie Żydzi jako „dywany” (*rugs*); „niech będzie pochwalony” jako „chwala Bogu” (*praise be to God*); „zawróciłem, żeby się z nim pożegnać” (mówi dziecko, które po tygodniach w ziemiance ledwo się rusza) – „pobiegłem, żeby się z nim pożegnać”; „na wsi się tak łatwo nie ginie” – „na wsi nie jest tak łatwo umrzeć”; „nie mogło być widać za niczymi plecami lasu” (podczas zdjęć do aryjskich papierów) – „nie mogło być widać lasu za plecami modela” (*model's back*); „pomyślał, że to już koniec” (będąc w błędzie) – „zdał sobie sprawę, że to już koniec”; „dwa kilometry stąd” – „dwie mile stąd” (dość duża różnica, bo mowa o posterunku policji); „szedł obok i pomagał koniom” (popychał wóz) – „szedł obok, prowadząc konie”; „dróżnik” – „drużynowy” (*gangster*) a trochę dalej „sygnalista” (*signalman*); „wzięli (go) do izby” – „wzięli (go) do ich części chaty”; „podwórze” – „tylny ogród” (*back garden*); „jałówka” – „cielak”; „buty” (z cholewami) – „pantofle”; „lubią rządzić innymi” – „lubią udawać chojraków” (*to swagger*); – lekceważyła szczegóły, na których polega proza: „wiał przenikliwy chłód” – „wiał przenikliwy wiatr”; „straszyły powyrywane deski” – deski „zwisły pod zatrważającym kątem”(?); „ogromny, bezskuteczny wysiłek” – „ogromny ciężar sfrustrowanego wysiłku”; „nigdy nie pomyślał, że mógłby inaczej (mówić), a tym bardziej, że mógłby tego kiedyś potrzebować” – „nigdy nawet nie myślał, że powinien starać się zmienić; z pewnością nigdy nie myślał, że taka zmiana mogłaby się później przydać”; „łzy zaszkliły mi oczy i zamknąłem je, bo i tak nic nie widziałem” – „łzy ciekły mi z oczu i zamknąłem je, i tak nic nie widziałem”; „szeroko wyrębana przesieka” – „mała przesieka”; „zgraja” – „grupa”; „chodził po nie (jedzenie) tyle razy, a przecież nigdy nie był pewny, czy wróci” – „chodził po jedzenie wiele, wiele razy, ale (*but*) nigdy nie był pewny, czy wróci”; „chodziło mu tylko o nas” przetłumaczyła poprawnie „dbał tylko o nas” (*cared only for us*) lecz w następnym zdaniu „tylko o pieniądze zabięgał” jako „dbał tylko o pieniądze” (*cared only about money*), zaprzeczając poprzedniemu twierdzeniu;

– dopowiadała, przerysowywała i błędnie interpretowała: „mama powiedziała, że chyba będziemy musieli pójść do Wisły” (celowo używając łagodniejszego

słowa) – „mama powiedziała, że chyba będziemy musieli rzucić się do Wisły”; „powiedziała, że nie pójdziemy do Wisły” – „powiedziała, że nie skoczmy do Wisły”; „ginęli wtedy już ostatni blakający się” – „ginęli już wtedy powoli ostatni wędrowcy” (wcale nie powoli); „partyzantów to oni mają dosyć” – „oni mają dosyć partyzantów w swojej grupie”; „nie zauważył, kiedy wypadł z pociągu” – „nie zauważył, kiedy został wyrzucony z pociągu”; „najlepiej było tym, którzy” – „najlepiej było tym z nas, którzy” (a narrator wcale siebie nie wliczał); „wydawało się, jakby nic się nie stało” – „wydawało się nam, jakby nic się nie stało”; zabiła kluczową myśl, która zamyka pierwszą część książki, tłumacząc „nie mógł i nigdy nie starał się przezwyciężyć w sobie wrodzonego lęku i wstrętu do broni” jako „nie mógł i nigdy nie starał się przezwyciężyć lęku i wstrętu do broni palnej (*firearms*)”; – rozmyśla również końcową część książki: Niemiecki żołnierz wyznaje, że ma już dość wojny i już nie chce wojować, pani Kłodowska komentuje: „Rychło w czas sobie przypomniał!”, a pani W.: „Opuścił ją trochę za późno!” (*He has left it a bit late!*). Kogo, co opuścił? Wojnę? Nie, bo nie był dezercerem. Następne jego wyznanie, że dawno już nie jadł domowego obiadu, pani Kłodowska kwituje: „Powiedz mu, że trzeba było siedzieć w domu, u żony, to by jadł! A tak to będzie tutaj ziemię gryzł...”, zaś pani W.: „(...) A teraz może będzie musiał tu zostać na zawsze”.

Przepisałem całą książkę, rewidując każde zdanie, wskutek czego wyszła o pół roku później i na ogłoszonej pod koniec roku 2001 liście stu czołowych książek żydowskiej literatury nowożytnej znalazło się tylko *Zwycięstwo*. Przez kogo? Przez panią W., która przetłumaczyła większość prozy Schulza. „Większość”, bo wiem od Ficowskiego, że pominęła liczne fragmenty, których nie uważała za „istotne”. Nie czytałem nigdy Schulza po angielsku, ale wiem, że w Ameryce pozostał znany głównie specjalistom, którzy na szczęście umieją czytać po polsku. Pani W. przetłumaczyła również *Austerię* Strykowskiego, którą Radio Wolna Europa mianowała najlepszą książką roku *ex equo z Żydowską wojną*. Kiedy w ostatniej naszej rozmowie wspomniałem mu, że los obdarzył nas nawet wspólną tłumaczką, starszerek podskoczył na krześle: „Przecież ona pogrzebała połowę literatury polskiej!”

Pecha miał również *Kadisz*. Moja przyjaciółka w Paryżu poleciła go polskiej specjalistce małego lecz ambitnego wydawnictwa i wnet dostałem umowę, a zaraz potem, przypuszczam, że za podpowiedzią Kazimierza Brandysa, zgłosił się wielki Gallimard. Gotowi byli nawet odkupić kontrakt, lecz ambitne, małe wydawnictwo nie ustąpiło i powierzyło przekład owej polskiej specjalistce, która niczego przedtem nie tłumaczyła oprócz skąpych dialogów do filmu Kieślowskiego. Bez-

skutecznie perswadowałem wydawcy, że język wyuczony to nie to co macierzysty, a dialog filmowy to jeszcze nie proza. I wszyscy moi polsko-francuscy czytelnicy byli zgodni, że wyszło coś sztucznego, sztywnego, szkolnego i też, że nikt takim językiem nie mówi.

Inny polski przyjaciel polecił *Kadisz* niemieckiemu etnografowi, który się nauczył po polsku i był zaprzyjaźniony z małym, ambitnym wydawnictwem we Frankfurcie nad Menem. Też natychmiast dostałem umowę. Korzystając z okazji, że przyleciałem do Frankfurtu na Targi Książki, wydawnictwo zorganizowało mi występ autorski, żeby zaprezentować przygotowywaną do druku książkę. Szukają fragmentów do odczytania i okazuje się, że przyjaciel mojego przyjaciela zupełnie nie umie tłumaczyć. Przeredagowano pośpiesznie jakiś kawałek na występ i ktoś trochę kompetentniejszy przetłumaczył wszystko na nowo, ale znów wszyscy, którzy znali oryginał, twierdzili, że to nie to, a ja nie zaglądałem, żeby się nie denerwować.

W kilka miesięcy po ukazaniu się zbioru opowiadań *Drohobycz, Drohobycz* (1997) zainteresowało się nim ambitne wydawnictwo wiedeńskie, więc moje ambitne wydawnictwo warszawskie mi zaproponowało, że wystąpi w roli mojego agenta. Zgodziłem się również na to, żeby przy okazji próbowało sprzedawać również inne moje książki. Austriackie wydawnictwo postarało się o dotację z polskiego Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego i zobowiązało się książkę opublikować w ciągu dwóch lat. Dwa i pół roku minęło zanim tłumacz – moje polskie wydawnictwo zapewniało mnie, że to jeden z najlepszych – przystąpił do pracy. Poprosiłem o dwie drobne lecz ważne poprawki w imieniu dwóch kobiet z tytułowego opowiadania: jednej bardzo zależało, żebym zmienił jej nazwisko, bo z kontekstu wynikało, że uratowała się dzięki zakochanemu gestapowcowi, a druga, żeby zamiast ogólnej informacji „wysłano ją z transportem dzieci żydowskich do Holandii”, wyszczególnić, że „kwakerska organizacja dobroczynna zabrała ją i sto innych dzieci żydowskich do Holandii”. Po trzech faksach otrzymałem odpowiedź, żebym się nie martwił, bo „to zostało zaraz zrobione” (*that has been done rightaway*), a potem okazało się, że wcale nie. Wiosną 2000 wystąpiłem na Uniwersytecie Europejskim Viadrina we Frankfurcie nad Odrą, otwierając serię prezentacji polskich autorów w Brandenburgii. Aktor, który przybył z Berlina, odczytał nadesłany z Wiednia przekład opowiadania pt. *Szkic węgierski* i zauważyłem już wtedy, że: „na wielkim szkolnym trawniku otoczonym białymi sadami głowa Kodalya kołysała się jak biała gruszka”, zamiast „jak biała grusza”, a znałem dosyć Birnbaumów, żeby wiedzieć, co to po niemiecku „Birne” a co „Birnbaum”. Pomyślałem sobie, że chyba aktor się przejęczył, a uniwersytecka publiczność

też nie zarcagowała, bo nie takie ekstrawagancje spotyka się we współczesnej literaturze. Wracam do Wirginii i dostaję faksem z Warszawy stronicę katalogu wiedeńskiego wydawcy z zapowiedzią mojej książki pod tytułem *Galizische Erinnerungen* (*Wspomnienia galicyjskie*). Wywiązała się ożywiona dyskusja. Wiedeński wydawca urażonym tonem argumentował, że Galicja jest rynkowym tytułem, a Drohobycz nieznanym słowem, niemożliwym do wymówienia ani zapamiętania. Ja zaś, że tylko trzy spośród dwunastu opowiadań zbioru dotyczą Galicji, że moje opowiadania nie należą do gatunku wspomnień, a do tego istnieją już *Opowiadania galicyjskie* współczesnego polskiego pisarza, którego bardzo cenię i który też może zechce wydać je po niemiecku z chodliwą Galicją w tytule. Na to wiedeński wydawca, że katalog już rozesłany a książka w drukarni. Na to ja wskazałem punkt umowy, który wyraźnie mówił, że tytuł ma być „przetłumaczony dosłownie, a ewentualna zmiana uzgodniona”. Na to wiedeński wydawca zawołał na pomoc wielkiego lecz ambitnego wydawcę monachijskiego, który okazał się jego właścicielem. Monachijski wydawca, znany z publikacji polskich autorów, wykazał więcej kurtuazji i przyznał, że „jeśli autor nie może się zgodzić na inny tytuł jego książki w języku obcym, to zawsze ma rację”, ale „katalog już wysłano wszystkim sprzedawcom, więc zmiana tytułu wywoła wielkie zamieszanie”, wskutek czego „sprzedamy mniej książek”. Na to ja, że „rozumiem względny rynkowy, ale nie mam moralnego prawa sprzedawać książki jako wspomnień z Galicji i nie mogę przywłaszczyć sobie tytułu mojego przyjaciela, który jest autorem opowiadań naprawdę galicyjskich”. Argumentowałem również, że książka jest już znana opinii literackiej jako *Drohobycz, Drohobycz*, bo: miałem promocje we Frankfurcie nad Odrą i w Berlinie, gdzie tak ją właśnie zapowiedziano i odnotowano w mediach; miała również taki sam występ po angielsku w Bostonie, gdzie tytułowe opowiadanie ukazało się w prestiżowym „Massachusetts Review”, po czym dostałem list od redaktora literackiego „The New Republic”, którego rodzice pochodzili z Drohobycza; poza tym książkę zrecenzowano pod tytułem *Drohobycz, Drohobycz* w anglojęzycznym miesięczniku Radia Wolna Europa; mam już ustalonych dziesięć występów w Północnej Nadrenii-Westfalii i na Targach Książki we Frankfurcie nad Menem, a wszędzie wybrano do czytania opowiadania, które nie mają nic wspólnego z Galicją. A zatem oryginalny tytuł książki może wręcz zwiększyć sprzedaż. Monachium ustąpiło i nawet zaprosiło mnie na dodatkowy występ, na którym wielki szef osobiście będzie czytał fragmenty. Wygrałem bitwę? Tak, ale nie wojnę.

Przyszła książka, zaglądam: głowa Kodalya kołysze się „jak biała gruszką”. Patrząc dalej: nad sadami, gdzie „tańczyła dusza tej ziemi, wiecznie młodej, wiecz-

nie rodzącej”, tańczy „wiecznie młody duch tej ziemi”. Muzyka, która „tryskała”, w przekładzie „kapala” (*tropfte*). Węgierscy faszyci, którzy nosili na opaskach „dwie strzały na krzyż”, teraz mieli „dwie strzały na krzyżu” (*über dem Kreuz*). U oprawcy opisanego jako diabeł z kanciastym czołem, „pod którym kryły się rogi”, teraz te rogi „kryły się na czole” (*über der sich die Hörner verbargen*). Strażnicy śpiewali kolędy nie „na głosy” lecz „na głos” (*laut*). „Grzmoty i błyskawice pocisków” (artylerii) zmieniły się w „grzmoty i błyskawice granatów” (*von Granatten*). I co mnie doprowadziło do pasji: piękna nastolatka o delikatnej twarzy przysypanej „maczkiem dziecięcych piegów, które dodawały jej niewinnego wdzięku” miała ją teraz przysypaną „maczkiem dziecięcych pryszczycy” (*Pickel*). Słowem – sam wdzięk!

Pytam, z którego opowiadania będzie czytał na moim występie wielki szef? Z tytułowego. Zaglądam i widzę, że wbrew pisemnemu zapewnieniu tłumacza, nie zmieniono ani nazwiska kobiety, której bardzo na tym zależało, ani zdania o transporcie żydowskich dzieci do Holandii. Przekreślono za to kilka innych, autentycznych nazwisk: Lang na Lange, Freilich na Frelich, Gutenplan na Gutenstein, imię Aleks na Aleksy, a ulicę Iwana Franki nazwano „Iwano-Franko-Strasse”. Kapitan Stockman został majorem, a plutonowy Erdman dowódcą plutonu (*Zugführer*). Portrety Stalina, które przysyłano do szkół z ratusza, w tłumaczeniu przysyłano „do ratusza” (*ins Rathaus*). „Sabotażyści” stali się „zdrajcami” (*Verräter*). Pamiętnik a raczej dziennik SS-mana Landaua, znany w niemieckich bibliografiach jako *Tagebuch*, nazwano „wspomnieniami” (*Erinnerungen*). „Z niemieckiej strony” (zza linii okupacyjnej) przetłumaczono jako „z niemieckich krajów” (*Landen*); „chorzy nie zjadali zupy i chleba” jako „chorzy nie dostawali zupy ani chleba”; „kto jeszcze ciepły” (czyli żywy) – „kto trochę cieplejszy”; „obrzętkły z głodu” – „obłąkany z głodu” (*verrück for Hunger*); „wywody sądowe” – „dochodzenie sądowe” (*Untersuchung*); „dodatnie wrażenie” (w sądzie) – „dodatkowe wrażenie” (*weitere Eindruck*); „zbierać żołędzie” – „zbierać chrust” (*Reisig*); „nie ożenił się” – „ożenił się” – a człowiek żyje w stanie bezzęnnym do dziś. To tylko najbardziej oczywiste z niedorzeczności.

Zaalarmowałem lojalnie Monachium, że trzeba przede wszystkim poprawić wyjątki, które szef będzie publicznie czytał. Całą drogę z Waszyngtonu do Warszawy, a następnie z Warszawy do Monachium z przerażeniem czytałem moją książkę po niemiecku. Na lotnisku odebrała mnie pani z wydawnictwa i zawiozła prosto do szefa. W grzecznej, ostrożnej rozmowie w jego białym skomputeryzowanym gabinecie powiedziałem mu, że w przekładzie nie ma ani stronicy bez błędów, które obniżają wartość książki. To co można zrobić? Poprawić i jak naj-

szybciej wydać na nowo. Musimy wiedzieć, co poprawić. Dostarczę listę błędów z objaśnieniami. Będziemy musieli zwrócić się z nią do niezależnego rzeczoznawcy. Jak szybko to nastąpi? W godzinę po otrzymaniu listy. Przez trzy tygodnie w pociągach i hotelach Północnej Nadrenii-Westfalii i Polski ślezczałem nad książką i dwoma słownikami i stwierdziłem, że:

– tłumaczowi nie chciało się zaglądać do słownika, stąd: „portki” to „kalesony” (*Unterhosen*); „żyto” – „pszenica”; „pszenica” – „zboże”; „szopa” – „chata”; „zagroda” – „dwór” (*Hof*); „dwór” – „zamek” (*Schloss*); „owczarek” – „wilczur”; „kamasze” – „pantofle”; „kapce” też „pantofle”; „eszelon” – „przedział”; „kreska” – „krzyż”; „fajtlapa” – „biedak” (*Habenichts*); „bajzel” – „buda” (*eine Bude*); „kraina” – „krajobraz”; „nizina” – „równina” (*Ebene*); „Dolny Śląsk” – „Górny Śląsk” (*Oberschlesien*); „pielgrzymka” – „procesja”; „majowe nabożeństwo” – „msza”; „wyzwoleńcza armia” – „zwycięska armia”; „lichwiarz” – „właściciel lombardu” (*Pfandleiber*); przerabiał odpadki „na przędzę i włókno” – „na przędzę i wełnę” (*Wolle*); „z hiszpańską gracją” – „z hiszpańską pompą” (*Grandezza*); „nie naruszyć” – „nie złamać” (książek!); „paradna” – „elegancka”; „pokrzywdzona” – „trochę oszukana” (*etwas betrogen*); „zawylałam” – „zaczęłam krzyczeć”;

– nie rozumiał kontekstu: „pamiętam krzyk” – „przypominam sobie krzyk” (mowa o przeżyciach oświęcimskich, które pamięta się bez „przypominania”); „egzekucji nie przeprowadzał” – „w egzekucji nie brał udziału”; „(SS-man) kazał mu się portretować” – „pozwalał mu się portretować”; „trafił do partyzantów” (których szukał) – „natknął się na partyzantów”; „o mało ataku serca nie dostał” (ze strachu) – „o mało szlag go nie trafił” (*der Schlag getroffen*); „kadecka gazeta” (od KD – Konstytucyjni Demokraci) – *Zeitung der Kadetten*; „zalecane przez partię zaszczepianie nauce materializmu dialektycznego” – „prześladowane (*verfolgte*) przez partię zaszczepianie nauce materializmu dialektycznego”; „wcisnęli się do eszelonu” (o ewakuacji) – „wślizgnęli się do przedziału”; „sobie postawili obelisk” – „postawili obelisk swoim ludziom” (*für ihre Leute*); „a to nie chciało stać” (chodzi o Pałac Sowietów) – „Lenin nie chciał stać”; „w Moskwie wszystko już można było dostać za pieniądze” – „W Moskwie od dawna (*längst*) można było wszystko dostać za pieniądze”; „zaczęły docierać” – „wciąż pojawiały się” (mowa o książkach z zagranicy); „poróżnił się z Zeldowiczem o to, że próbował wciągnąć go w dodatkowe zadania” – „poróżnił się z Zeldowiczem, bo chciał go (*diesem* – czyli Zeldowicza) wciągnąć w dodatkowe zadania”; „całkowanie równań cząstkowych” (mat.) – „całkowane równanie cząsteczek” (*Integralgleichung von Teilchen*); „córka dumna, że urodziła się w Izraelu jako sabra” (epitet) – „córka Sabra, dumna, że urodziła się w Izraelu”; „nikt nie chciał zamienić Wilna na

Kursenai” – „nikt nie chciał zamienić Kursenai na Wilno”; „a on (pyta), co to jest?” – „a on, co on zrobił?” (nonsens); „miała grono pań” – „miała cały szereg panów” (zniesławienie...);

– nie rozumiał polskiej frazeologii: „nie wspomniano w jego biografii” – „nie wspomniał w swojej bibliografii”; „naraził go stronie przeciwnej” – „naraził się stronie przeciwnej”; „wziął z marszu” – „wziął szturmem”; „uwolnić spod straż” – „zwolnić pod nadzorem” (*unter Aufsicht freizulassen*); „odbił Berdyczów” – „uwolnił Berdyczów” (interpretacja); „dobierać z ludu” – „brać nowych ludzi”; „u ważnych starców w rodzaju naszych akademików” – „u ludzi znacznie starszych od niego, jak i u naszych członków Akademii”; „Boliwia i Ekwador, które Europejczycy powypisywali na mapie” – „Boliwia i Ekwador, które Europejczycy oderwali” (nonsens); „wycięto (drzewa na) wielki plac” – „odcięto wielki plac”; „nie wiedziała, na jakim jest świecie” (o sobie po rozstaniu z kochankiem) – „nie wiedziała, czy jest on jeszcze na tym świecie”; „sprowadziła tam męża” – „sprowadziła się tam z mężem”; „za nią rozwiązywać zadania” – „z nią rozwiązywać zadania”; „takie wdzięczne” (od wdzięku) – *so dankbar* (od wdzięczności); „większość młodzieży” – „przede wszystkim młodzież”; „przeważnie Żydów” – „przede wszystkim Żydów”; „patrzy w siebie” – „patrzy w swoje łono” (*in ihren Schoß!*); „patrzą w obiektyw od niechcienia, po pańsku” – „patrzą w obiektyw arogancko (*hochmutig*), po pańsku”;

– przerysowywał: „bardzo dobra szkoła” – „znakomita szkoła” (*ausgezeichnet*); „bardzo dobra posada” – „cudowna posada” (*wunderbare*); „wybrane miasto” – „ukochane miasto”; „olbrzymia wystawa” – „monumentalna wystawa”; „spory” – „gorące spory”; „bardzo ładnie grali” – „cudownie grali” (*wunderschön*); „bardzo spragnieni” – „straszliwie spragnieni”; „wstyd” – „hańba”; „nienawiść” – „czysta nienawiść” (*blanke Hass*); „nie znosił” – „nienawidził”; „prosił” – „błagał”; „nie chciałam za niego wyjść” – „za nic w świecie (*um nichts in der Welt*) nie chciałam za niego wyjść”; „wierzyłam” – „byłam przekonana” (*überzeugt*); „wydaje się jej” – „jest przekonana”; „zaczęła płakać” – „wybuchła płaczem”; „żałowały” – „były bardzo nieszczęśliwe”; „pochodził z zamożnych gospodarzy” – „pochodził z zamożnych posiadaczy ziemskich” (*Gutsbesitzerfamilie*); „żadnym językiem po ludzku nie mówił” – „nie wydobywał z siebie żadnego ludzkiego tonu”; „już się z moją matką rozszedł” – „dawno się z moją matką rozszedł” (nieprawda); „karmiła mnie ciepłym mlekiem” – „wlewała we mnie (*einflusste*) ciepłe mleko”; „usta miałam białe” – „usta miałam śnieżnobiałe” (*schnee weiss*); „woda była wiosną zimna” – „woda była wiosną lodowata” (*eiskalt*); „chętnie zabierali do siebie” – „z radością zabierali do siebie” (a chodzi o żydowskie dziecko podczas okupa-

cji); „sprowadziła na nas” (szmalcowników) – „sprowadziła nam (szmalcowników) na gardło” (*auf den Hals*); „zarżnięci” – „pocięci w kawalki i zalani krwią” (*zerstückelt und blutüberströmt*);

– wprowadzał błędne zmiany: „walczył z petlurowcami i białogwardzistami” – „walczył z petlurowcami, banderowcami i białogwardzistami” (Bandera miał wtedy osiem lat); „Niemcy przeskoczyli San” (bez walki) – „Niemcy przeszli San szturmem”; „o niezwyklej sile burzącej” – „o niezwyklej sile ognia” (to nie to samo); „opis wymiarów” (fiz.) – „opis wykonania” (nonsens); „wymiały i materiały” (fiz.) – „massa i materiały” (nonsens); „wynaleźć wzory” (mat.) – „rozwinąć wzory”; „w innych wymiarach” – „w innej perspektywie”; „jego wkład i osiągnięcia” – „jego wkład i zasługi” (a mowa o uczonym, który nie chciał się zasługiwać); „równość” – „równouprawnienie”; „ostateczność” – „konieczność”; „smukła” – „elegancka”; „za barakiem” – „przed barakiem”; „pod Świącianami” – „w Świącianach”; „trochę komercyjnego chleba” – „trochę komercyjnych towarów”;

– wprowadzał oklepane frazesy: „bocianie szyje” – „łabędzie szyje”; „padali z głodu” – „padali z głodu jak muchy”; „pergaminowa cera” (żydowska) – „błada cera”; „tak poważnie” (modlił się) – „tak żarliwie”; „na dworze trzydzieści stopni mrozu” – „na dworze panowało trzydzieści stopni mrozu”; „zgrabne bryczesy” – „eleganckie bryczesy”; „jatki” – „krwawe bitwy”; „Ukraina spotykała się z Rosją” – „Ukraina graniczyła z Rosją”; „iść po śladach” – „iść za przykładem”; „złożyć hold” (Leninowi) – „złożyć uszanowanie”; „strzelały” (o oczach Lenina) – „błyskały”; „pod jego wezwaniem” – „jego imienia”; „miał sprawne ręce i nogi” – „miał ręce i nogi w porządku” (*in Ordnung*); „cały Nowy Jork był przez nie okupowany” (nawiązanie do okupacji) – „cały Nowy Jork zajęły”;

– błędnie dopowiadał: „to byli warszawianie” – „to byli typowi warszawianie” (nieprawda); „przeważnie leżał” – „przeważnie leżał w łóżku” (nieprawda); „i zostawili go tam” – „i zostawili go tam leżącego” (nieprawda, bo wiszącego); „został dowódcą” – „został mianowany dowódcą” (nieprawda, sam się nim mianował); „znalazłam się w kobiecym lagrze B2” – „znalazłam się znów w kobiecym lagrze B2” (nie, bo nigdy tam przedtem nie była); „w dezynfekcji” (*Auschwitz*) – „w oddziale dezynfekcyjnym” (nonsens);

– psuł styl dopowiadając: „zamordowali Kiwerce” – „zamordowali żydów z Kiwerce”; „białe sady” – „biało kwitnące sady”; „*Polmin* finansował” – „kierownictwo firmy *Polmin* finansowało”; „w *Nafcie*” – „w zakładzie *Nafta*”; „starosta” – *Der Landrat genannt Starost*, czyli „starosta zwany starostą”;

– nie rozróżniał wyrazów o podobnym brzmieniu: „grusza” – „gruszka”; „nosiciele” – „donosiciele”; „tępiono” – „potępiano” (*wurde verrteilt*); „zaba-

wy na boisku” – „zabawki na boisku” (*Spielsachen*); „dodatnie wrażenie” – „dodatkové wrażenie”; „rozerwało nogę” – „oderwało (nogę)”; „od skrytobójczej kuli” – „od bratobójczej kuli”; „włóczyli po mieście” – „włóczyli po miejscu” (*durch den Ort*); „o wąskich, tatarskich oczach” – „z wąsami i tatarskimi oczami”; „przyjechał do Ameryki” – „pojechał do Ameryki”; „niewiadoma przyszłość” – „niewidoczna przyszłość”;

– nie odróżniał liczby mnogiej od pojedynczej: „nieszczęścia” – „nieszczęście”; „zadanie” – „zadania”; „rozwiązanie” – „rozwiązania”; „formuła” – „formuły”; „punktu” – „punktów”; „gładkich krzywych” (mat.) – „gładkiej krzywej”; „kieszenie” – „kieszeń”; „miał kamienicę” – „miał kamienice”; „kupił im skrzypce” – „kupił mu skrzypce”; „pozytywny stosunek” – „pozytywne stosunki”; „napadali na dwory” – „napadli na dwór”; nawet „Wojnowiczów” – „Wojnowicza” i „bojlerów” – „bojlera”;

– miał trudności z rodzajami i przypadkami: „młodsza od Aleksandry” – „młodsza od Aleksandra”; „sprowadziła Alejandra” – „sprowadziła Alejandrę”; „właściciele Tokar i Wólki” – „właściciele *von Tokary und Wólek*”;

– był bezradny wobec rosyjskich wtrąceń i polsko-rosyjskich kombinacji: „protokół Dworianskiego Deputatskiego Sobrania” – „*Protokoll des Dworianski Deputatski Sobranije*”; „w Szackich piscowych knjigach” – „*in den Szackie piscowe knjigi*”; „w komunalnej kwartirze” – „*im komunalnij kwartir*”; „sielsko-choziajskij technikum” – „Sielsko-Chozajsker Technikum”; „złotoj priisk” – „*zolotyje priisk*”; „w basonnuju” – „*ins basennoj*”; „na rodilce” – „*in der rodiltsa*”; „w Butyrkach” – „*im der Butirka*”; więźniarki „dochodziły” (umierały) – „dochodziły do celu” (*sich ihrem Ziel nähern*); „eto wsio priroda” (nie ma rzeczy nadprzyrodzonych) – *das ist alles im Blut* („to wszystko we krwi”);

– transliterował po polsku i wręcz kopiował rosyjskie, tatarskie, hebrajskie i indiańskie imiona własne, jak: Judenicz – Judenicz, Piotrogród – Piotrogród, Berdyczów – Berdyczew, Winnica – *Winnycja* (!), Kudasz – Kudasz, Cael – Cael, Ojciur – Ojciur, na Gorkiego (chodzi o ulicę) – *auf der Gorkiego*;

– awansował wszystkich polskich poruczników na pułkowników, kapitana na majora, plutonowego na dowódcę plutonu, a za to zdegradował bazy wojskowe na garnizony, pulki myśliwców i bombowców na eskadry, rotę na pluton, a dywizję imienia Kościuszki na brygadę (*Kosciuszko-Brigade*).

– AK występowała w przekładzie jako trzy organizacje: Armia Krajowa, *Heimattarmee* i *Untergrundarmee*.

– opuścił czternaście zdań lub fragmentów zdań, osłabiając a nieraz deformując cały wywód. Na przykład bez zdania: „Nie pójde więcej do żadnej żydowskiej

organizacji”, nie ma sensu zdanie zamykające: „Nie jestem żydówką, to nie” – i nie ma puenty.

Znów to tylko najoczywistsze byki, które nie wymagają wyjaśnień. Pełna lista, razem z wyjaśnieniami zajęła czterdzieści stron. Wskazałem również parę błędów rzeczowych i historycznych w banalnym, ośmiostronicowym posłowniu tłumacza, z którego czytelnik mógł się dowiedzieć wszystkiego, co od dawna wiedział o niemieckiej i sowieckiej wersji faszyzmu, a które to posłowie dodano do książki wbrew umowie, że „Wydawca nie włączy żadnego dodatkowego materiału bez pisemnej zgody Autora”.

W odpowiedzi wiedeński wydawca wytknął mi na kilku przykładach niezajomość dialektu austriackiego i uprzedził, że będzie wiedział, jak się bronić w sądzie. Ja chciałem tylko ratować książkę, a nie tracić czas i energię na procesy sądowe, zafaksowałem więc do wielkiego szefa, przypominając mu, co przyrzekł podczas naszej monachijskiej konferencji. Odpowiedział, że wiedeński szef przekazał listę niezależnemu rzeczoznawcy i że przyśle mi przed świętami odpowiedź. Wiedeński szef przysłał mi przed świętami odpowiedź, że rzeczoznawca zbada sprawę po świętach, a w międzyczasie otrzymywałem i z Wiednia i z Monachium pozytywne recenzje, w których zaznaczano walory przekładu... W miesiąc po świętach przekazano mi półtorastronicową opinię rzeczoznawcy, który stwierdził, że książkę „czyta się po niemiecku na ogół dobrze” (*überaus gut*), że dialektyzmy i „synonimy” nie wymagają interwencji, ale są „liczne błędy i błędne interpretacje” (*zahlreiche Fehler und Fehlinterpretationen*) oraz pominięcia i przeinaczenia (*Veränderungen*), które trzeba w następnym wydaniu skorygować, a na zakończenie orzekł, że „nowy przekład nie jest konieczny” – jak gdyby o to go głównie pytano. Obaj szefowie zaś uchwycili się tego zdania, jak gdyby o to właśnie toczył się spór i szef wiedeński załączył do ekspertyzy swój wniosek, że „są błędy, które trzeba będzie dokładnie zbadać i poprawić, jeśli nastąpi drugie wydanie”. Ja go pytam, co znaczy „jeśli”? Przecież monachijski szef przyrzekł mi nowe wydanie, jak tylko niezależny ekspert uzna błędy. Na to on, że nie zna szczegółów mojej rozmowy w Monachium, ale nowe wydanie „byłoby zbyt kosztowne i bez sensu, bo zostało jeszcze wiele egzemplarzy”. To ja faksuję do Monachium, że „błędy translatorskie i redaktorskie w obecnym wydaniu są żenujące zarówno dla autora, jak i wydawcy, a więc sprzedano już więcej niż dosyć egzemplarzy” i „błagam o dotrzymanie obietnicy i wydanie poprawionej wersji tak szybko, jak to technicznie możliwe”. Monachijski szef nie odpowiedział, tylko kazał wiedeńskiemu, który znów, że „nowe wydanie jest stanowczo niemożliwe przed sprzedaniem pierwszego, a zostało jeszcze 900 egzemplarzy” i według

szefa monachijskiego może tylko „zaoferować krótką erratę błędów wspomnianych przez pana T.” (tj. rzeczoznawcę). Powtórzyłem mu więc, że „na rynek nie powinien być trafić ani jeden z egzemplarzy (...), które psują reputację autora i wydawcy”, podkreśliłem, że „rzeczoznawca wymienił tylko grupy błędów i przykłady”, wskazałem mu że jeśli „publikacja erraty o rozmiarach broszury byłaby żenująca”, to właśnie dlatego „wymiana nakładu jest lepszym rozwiązaniem dla nas wszystkich” i lekko pogroziłem: „Jeśli nie uczyni Pan ani jednego ani drugiego, to będę zmuszony sam opublikować listę wszystkich błędów”. Wydawca wcale się nie przestraszył i żadnej więcej odpowiedzi nie było. Wyczerpany i pełen niesmaku skapitulowałem i książka poszła na straty, choć kontrakt zapewniał mnie, że „przekład będzie wykonany wiernie i dokładnie (*faithfully and accurately*) przez kompetentnego tłumacza i bez żadnych skrótów ani zmian”. Opisuję to wszystko, bo obawiam się, że podobnie publikuje się wiele polskich książek w językach obcych, i to za polskie pieniądze.

Minął rok i moja nowa, niemiecka agentka pyta wiedeńskiego szefa, co zamierza: wydać książkę na nowo, czy zwrócić prawa? Odpowiedział, że ani jedno ani drugie, bo ma jeszcze 900 egzemplarzy, czyli że w ciągu roku nie sprzedano ani jednego egzemplarza. Jeśli to prawda – a nie wypada przecież nie wierzyć znacnemu wiedeńskiemu wydawcy – to pewno czytelnicy już się polapali. Na to moja pomysłowa agentka pyta szefa monachijskiego, czy zechciałby – dla załagodzenia sprawy – wydać *Żydowską wojnę* i *Zwycięstwo* w jednym tomie. Odpowiedział, że nie, bo nie życzy sobie więcej „czegoś takiego”. To samo ciekawe poczucie honoru, z jakim spotkałem się u mojego pierwszego niemieckiego wydawcy...

Warszawskie wydawnictwo, które przez trzy lata w roli agenta nie innego mi nie sprzedało, uniosło się honorem, że powierzyłem się innej agencji i skreśliło z planu wznowienie *Żydowskiej wojny* i *Zwycięstwa*, a nawet mi zagroziło z tego powodu prawnikiem (bez żadnych podstaw i żaden prawnik się oczywiście nie zgłosił). Mało tego, kiedy czeska tłumaczka zwróciła się do mojego warszawskiego wydawnictwa o egzemplarz *Memorbucha*, otrzymała odpowiedź: „*Memorbuch* przysłał do Pani agent pana Henryka Grynberga”. „Agent” nie przysłał, bo wydawnictwo go nie zawiadomiło i nie mogło zawiadomić, bo nie wiedziało i nawet nie pytało, kto jest moim agentem. Nie wiedziało również, że czeska tłumaczka (która kilka lat wcześniej przełożyła *Żydowską wojnę* i *Zwycięstwo*) jest moją dobrą znajomą i przekaże mi tę odpowiedź. Wyobrażam sobie, że w taki sam sposób załatwiono mi również innych zainteresowanych tłumaczy i obcojęzycznych wydawców. Moje pierwsze dziecko urodziło się z kolką i darło się całymi dniami, więc *Zwycięstwo* pisałem u mojej mamy. Widząc jak od rana do wieczora

ra trzaskam w maszynę i biegam po pokoju, powiedziała mi któregoś dnia: „Ciężki zawód sobie wybrałeś, mój synu”. Święte słowa.

Wysyłałem w swoim czasie książki do amerykańskich wydawnictw, nawet z rekomendacją Kosińskiego, a później Kapuścińskiego, ale po ekspertyzie polskich lektorów nieodmiennie do mnie wracały z uprzejmą adnotacją, że książka jest dobra lecz nierynkowa. Po doświadczeniu ze *Zwycięstwem* pomyślałem sobie, że może jednak lepiej posyłać przekład. Kolega z Głosu Ameryki skierował mnie do jedynej nie przeciążonej tłumaczki i powierzyłem jej tytułowe opowiadanie zbioru *Drohobycz, Drohobycz*. Za tysiąc dolarów z kieszeni mojego przyjaciela z Drohobycza odesłała mi nieudolny i niedbały przekład, który najpierw poprawiałem ja, potem mój przyjaciel z Drohobycza, potem wynajęty przez niego redaktor, potem jeszcze jego znajoma profesorka angielskiego, która zgodziła się przetłumaczyć resztę opowiadań bez zapłaty, jeśli książki nie wydam. Profesorka świetnie pisała po angielsku, ale polski znała tylko z wczesnego dzieciństwa, myliła wyrazy, jak wojak i wujek, w sieni i w sianie, potok i potop, i nie rozumiała większości idiomów oraz realiów okupacji i komunizmu. Musiałem sprawdzać każde zdanie – wylapywać i wyjaśniać błędy i nieścisłości i wspólnie z nią korygować. Maszynopis chodził tam i z powrotem aż w końcu moja sympatyczna i cierpliwa tłumaczka straciła pewność siebie i zaczęła bez sprzeciwu ulegać mojej sugestywnej polskiej składni i przemożnemu polskiemu rytmowi.

Opowiadanie tytułowe ukazało się w akademickim kwartalniku w Massachusetts, z licznymi ingerencjami redakcji. Drugie, z dodatkowymi błędami redakcji, w nowojorskim żydowskim miesięczniku, który przechwycili uchodźcy z byłego ZSRR; trzecie w poświęconym polskiej literaturze numerze chicagowskiego kwartalnika, w ich własnym przekładzie. Książką zainteresował się nowojorski agent zajmujący się literaturą żydowską. Po doświadczeniach z agentami byłem bardzo sceptyczny, ale posłałem mu tyle odbitek, ilu zażądał – co stanowiło wydatek – żeby móc sobie powiedzieć, że zrobiłem wszystko, co mogłem. Agent rozesłał je – na mój koszt – do czterech z najbardziej liczących się nowojorskich wydawnictw. Jedno odesłało maszynopis w terminie, dwa zażądały dodatkowego czasu, ale czwarte przyjęło – z warunkiem, że dostarczę „wersję ostateczną”, która zostanie zaakceptowana. A więc znów: książka tak, ale nie przekład. Agent przyznał, że przekład jest „raczej chropowaty” i zaangażował rdzennie amerykańską polonistkę – nie za darmo oczywiście – która poustawiała wszystko jak trzeba i dopiero wtedy ujrzałem prawdziwie angielski przekład. Zaliczka od nowojorskiego wydawcy – nawet po odjęciu jednej trzeciej dla agenta, tłumaczki i redaktorki – była wyższa od tego, co łącznie otrzymałem za wszystkie dwadzieścia siedem książ-

żek w oryginale i osiemnastu przekładach, lecz praca z tłumaczami, agentami i redaktorami zabrała mi więcej czasu, niż zajęłoby mi napisanie nowej książki, jeśli nie dwóch. Umyślnie użyłem tu dwóch odmiennych czasowników, bo pisanie książki zajmuje mi czas i nie mam nic przeciwko temu, natomiast biedzenie się nad jej przekładem zabiera mi go przemocą.

Singer pracował z tłumaczem nad każdym zdaniem. Miłosz nad każdym słowem i pewno stąd jego melancholijna konkluzja: „Tak mało powiedziałem./(...) / Krótkie dni,/ Krótkie noce,/ Krótkie lata”.

Henryk Grynberg

PO CO PISZĘ?

Kontynuując ankietę, po odpowiedziach: Czesława Miłosza „Kwartalnik Artystyczny” nr 4/1995(8), Ryszarda Krynickiego, Juliana Kornhausera nr 1/1996(9), Jana Józefa Szczepańskiego, Tadeusza Konwickiego, Zbigniewa Zakiewicza, Aleksandra Jurewicza, Andrzeja Stasiuka nr 2/1996(10), Henryka Grynberga, Stefana Chwina, Kazimierza Brakonieckiego nr 3/1996(11), Tadeusza Różewicza, Urszuli Koziół nr 4/1996(12), Michała Głowińskiego, Bogdana Czaykowskiego nr 1/1997(13), Kazimierza Hoffmana, Janusza Stycznia nr 2/1997(14), Grzegorza Musiała, Krzysztofa Karaska nr 3/1997(15), Floriana Śmieji, Macieja Niemca nr 4/1997(16), Bolesława Taborskiego, Ewy Sonnenberg nr 1/1998(17), Marka Kędzierskiego, Leszka Szarugi nr 2/1998(18), Ludmiły Marjańskiej, Janusza Szubera, ks. Jana Twardowskiego, Piotra Wojciechowskiego, Bohdana Zadury nr 3/1998(19), Adriany Szymańskiej, Ewy Kuryluk, Urszuli M. Benki nr 4/1998(20), Józefa Kuryłaka, ks. Jana Sochonia nr 1/1999(20), Ryszarda Kapuścińskiego, Aleksandry Ołędzkiej-Frybesowej nr 2/1999(22), Macieja Cisły, Mirosława Dzieńca, Piotra Szewca nr 3/1999(23), Krzysztofa Ćwiklińskiego, Krzysztofa Lisowskiego nr 4/1999(24), Stanisława Lema nr 1/2000(25), Anny Nasiłowskiej, Tomasza Jastruna, Jarosława Klejnockiego nr 2/2000(26), Marii Danilewicz Zielińskiej, Jerzego Gizelli nr 3/2000(27), Małgorzaty Baranowskiej, Teresy Ferenc, Bogusława Kierca nr 4/2000(28), Jacka Bolewskiego SJ, Jacka Łukasiewicza, Artura Szlosarka nr 1/2001(29), Zbigniewa Jankowskiego, Kazimierza Nowosielskiego nr 2/2001(30), Joanny Pollakówny, Janusza Andermana, Jerzego Pilcha, Wojciecha Wencła nr 3/2001(31), Anny Janko, Piotra Michałowskiego, Piotra Mitznera nr 4/2001(32), Katarzyny Boruń, Bogusławy Latawiec, ks. Janusza A. Kobierskiego, Henryka Wańka nr 1/2002(33) zamieszczamy kolejną wypowiedź.

Krzysztof Myszkowski

Pisanie

I gdzież i po co walą te orszaki?

Adam Mickiewicz

Posuwam się od punktu do punktu. W setnych powtórkach postępuję od miejsca do miejsca. Przez chaos, zamęt i ciemność idę w krążku światła. Przebijam się przez zapory i zasieki. Upadam i podnoszę się z upadku. Idę dalej. Dążę do celu.

Widzę, jak poruszają się inni. Idą w różnych kierunkach. Kręcą się w kółko. Chodzą tam i z powrotem. Niektórzy suną na skróty. Wydaje się, że zaszli daleko. Nie dają zbijać się z tropu.

Łacińskie słowo: *sequor*, które znaczy – iść za kimś lub (za) czymś; komuś towarzyszyć; być posłusznym; przejąć czyjeś dziedzictwo. To słowo dobrze określa moją sytuację: idę za kimś lub (za) czymś; komuś towarzyszę; jestem posłuszny; przejmuję czyjeś dziedzictwo.

Sztuka cała pisania leży nie w książkach, ale w duszy.

Adam Mickiewicz

Kreślę i przekraczam linie, poruszam się z góry na dół i z dołu do góry. Błądzą po labiryncie. Szukam sposobów wydostania się na zewnątrz. Wypatruję znaków. Wysłuchuję głosów i powtarzam je w sobie. Odmieniam rytmy, starając się zachować te same tony.

Pisanie to straż przy źródle, zadanie do wykonania: łaska wizji i stosowanie formy. To czuwanie pod stropem nieba i przygotowywanie się. Pisanie to wypróżnianie ducha, оголаcanie się, czynienie pustym w środku: monolog, dialog, milczenie, cisza, nic. Nic, które przemienia się w nie nic i nie nic, które zmierza do nic.

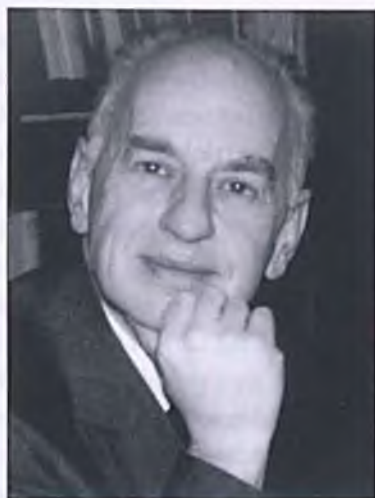
Bóg ci da światło i siłę na szczegóły.

Adam Mickiewicz

Uważam na szczegóły, żeby się w nich nie zaplątać i nie popaść w niedorzeczność. Redukuję, opuszczam i wyrzucam, co się da. Dążę przez minimum do maksimum. Natłok to grzęzawisko, szary mrok, zwątpienie, zatopienie w ciemności. Toczę bój. Trzeba odróżniać ziarno od plewy i nie wdawać się w beznauczajne gry.

W ostatecznym rozrachunku liczy się tylko to, co jest budujące. Trzeba pisać dla zbudowania czytelnika. W języku niemieckim ten rodzaj pisania określa słowo: *Erbauungsliteratur* (od *Erbauung*: wybudowanie, założenie miasta; zbudowanie /duchowe/). To słowo dobrze określa to, co staram się robić.

Krzysztof Myszkowski



Fot. Archiwum „K.A.”

Piotr Zettinger

Skrzynia z różnościami

Ten styczniowy poranek był mroźny, szary i równie ponury jak moje myśli. Cze-kało mnie zajęcie przykre i uciążliwe, obawiałem się, że stracę na nie kilka z tych czternastu dni, jakie mi litościwa władza podarowała na załatwienie ostatnich spraw przed wyjazdem. Żałowałem, że się w tę historię wdałem. Powiniennem był zdecydować się na jazdę z podręczną walizką, machnąć na resztę ręką, rzeczy roz-dać, wyrzucić lub oddać na przechowanie. Teraz nie mogłem się już jednak wy-cofać. Przyspieszyłem kroku, bo choć u celu nie czekało mnie nic przyjemnego, nie chciałem się spóźnić. O ósmej miałem się zameldować w okienku Urzędu Cel-nego przy Dworcu Gdańskim.

Minęły ponad cztery miesiące od dnia, kiedy złożyłem papiery na wyjazd. Można by sądzić, że skoro wielkie decyzje miałem za sobą, mosty spaliłem i od-dałem swój los w ręce innych, że skoro zakończyłem swoją przeszłość, zaś przy-szłości jeszcze nie rozpocząłem, a więc w jakimś sensie byłem człowiekiem wol-

Piotr Zettinger, ur. 1938 w Warszawie, absolwent Wydziału Chemii na Politechnice Warszawskiej; z Polski wyjechał w 1969 roku. Mieszka w Szwecji.

nym, powinienem poświęcić czas na sprawy egzystencjalne i ważne, lub odwrotnie, na przyjemności i życie towarzyskie, albo po prostu nic nie robić i tylko czekać. Tak wszakże nie było. Jak wszystkim innym dnia schodziły mi na czynnościach pospolitych i błahych, uporczywym bieganiu po sklepach i urzędach, zdobywaniu różnych zaświadczeń i staniu w kolejkach po skarpetki. Kierowała nami niewątpliwie potrzeba zapomnienia i odpędzenia myśli o tym, co się stało, i co się stać może, gdyby nam pozwolenia nie dali, główny motyw naszych działań miał jednak zupełnie inny charakter, był banalny i wolny od wątków psychologicznych. Wszyscy przesiąknięci byliśmy mitem Zachodu jako ziemi, mlekiem i miodem płynącej, lecz teraz, gdy staliśmy u jego progu zorientowaliśmy się, że nic o nim w istocie nie wiemy, z wyjątkiem tego, że na pewno nie obowiązuje tam zasada „czy się stoi, czy się leży”. Należało więc tak postępować, by jednak tam „nie leżeć” i już z góry zabezpieczyć sobie możliwość szybkiego stanięcia na nogi. Nikt nie chciał być gorszy od tych, którzy twierdzili, iż wiedzą, jak rzeczy naprawdę się mają, i znaleźć się w sytuacji pasikonika ze znanej bajki Kryłowa. Zabiegaliśmy więc o swoje jutro jak mrówki, gorączkowo, od rana do wieczora. Czasu nam nie brakowało, nikt z nas do pracy nie chodził, niektórych wyrzucono już dawno, inni – jak ja – zmuszeni zostali do odejścia w momencie, kiedy w dyrekcji zadeklarowali, że postanowili wyjechać i prosili o niezbędne zaświadczenie stwierdzające, iż petent nie włada tajemnicami wagi państwowej.

Krótko mówiąc chodziło o to, by podjąć słuszną decyzję, co ze sobą w świat zabrać. Z kilkoma dolarami w kieszeni skazani byliśmy na życie proszalnych dziadów, bo niczego, co miało jakąś wartość handlową i co w potrzebie można by w świecie sprzedać, nie wolno było wziąć, a chyba niewielu było takich, którzy odważyliby się wtedy na próby przemytu. Aby więc zapewnić sobie jakieś podstawy godziwej egzystencji, powinno się zabrać ze sobą jak najwięcej przedmiotów niezbędnych w życiu codziennym, a także takich, które odróżniają własny dom od wynajętego pokoju i nadają mu charakter przystani, przedmiotów mających być może mniejsze znaczenie praktyczne, lecz dla normalnego życia nieodzownych – książki, płyty, zdobnych kinkietów czy ludowych makatek z Cepelii. Wszystkie nagromadzone przez lata rzeczy należało teraz posortować, rozdzielić, ocenić i zakwalifikować – to do zabrania, to do wyrzucenia, a tamto do oddania. Przejrzałem razem z moją matką) nie wypadł korzystnie, nie ulegało wątpliwości, iż nasze wyposażenie trzeba uzupełnić, tym bardziej że musieliśmy się przygotować na różne okoliczności, bo – jak wielu innych – nie wiedzieliśmy, gdzie nam przyjdzie żyć, może w chłodnej i dżdżystej Skandynawii, a może w gorącym i pustynnym

Izraelu. Nie było to zadanie łatwe, bo nasze zasoby finansowe, zawsze mizerne, szybko się teraz wykruszały, a rynek borykał się nadal z trwającymi od ćwierćwiecza przejściowymi trudnościami, które sprawiały, że kupowało się, co było, a nie to, co się chciało. Należało także wziąć pod uwagę pogłoski o surowych restrykcjach, jakimi obwarowano wywóz przedmiotów nowych: tych o jakiejś trwałej wartości, telewizorów lub odkurzaczy, podobno nie wypuszczano, a inne obciążano ogromnymi opłatami celnymi. Dawaliśmy sobie rady, jak tę przeszkodę ominąć – nowy garnitur trzeba oddać do pralni, zelówki nowych butów potrząść ściernym papierem, obudowę radia trochę porysować, a dywan przydeptać lub przybrudzić, najlepiej ziemią, bo takie plamy można potem łatwo usunąć.

Tylko niewielką część naszego dobytku mogliśmy wziąć ze sobą do pociągu, którym z Polski mieliśmy wyjechać. Czekala nas uciążliwa podróż do Wiednia, potem do Rzymu, a w końcu gdzieś w daleki świat, liczne przeprowadzki, pałętanie się po różnych hotelach i wynajętych pokojach. Ciężkie walizy i wielkie pakuny byłyby prawdziwą kulą u nogi. Opowiadano też historie o tym, jak emigrantów ze zbyt wielkim bagażem zatrzymywano na dzień czy dwa na stacji kolejowej w przygranicznych Zebrzydowicach, bo celnicy potrzebowali więcej czasu na kontrolę. Przy sobie należało więc mieć tylko ważne dokumenty i rzeczy absolutnie niezbędne, tak jakby się wyjeżdżało na dwutygodniowe wczasy do domu FWP. Wszystko inne pakowało się w drewniane skrzynie, specjalnie na ten cel zamawiane w prywatnej firmie przewozowej, dobrze na pewno w tych czasach prosperującej. Skrzynie miały być potem wysłane do dalekiego Triestu i przechowywane tam w portowych magazynach do dnia, kiedy właściciele zamówią ich transport do swoich nowych domów.

To właśnie na sprawdzanie mojej skrzyni z różnościami szedłem w ten zimny i ponury styczniowy poranek. Dostarczyłem ją na miejsce poprzedniego dnia, teraz nadeszła pora na ocenę.

Przydzielono mi celnika, który od razu wzbudził moją sympatię. Był to człowiek w średnim wieku, dziesięć, może piętnaście lat ode mnie starszy, niewysoki, dosyć korpulentny, z okrągłą, nieco nalaną twarzą, której dobroduszny wyraz podkreślały staromodne okulary w drucianej oprawie. Oddałem w okienku mój dowód osobisty, a potem weszliśmy razem do ogromnej, źle oświetlonej, nieogrzewanej hali z betonową podłogą. Stało tam wiele takich skrzyń jak moja, celnik wiedział jednak gdzie moją ustawiono, znaleźliśmy ją bez trudu w kącie przy ścianie. Do pracy zabraliśmy się od razu.

Mój celnik był bez wątpienia dobrym fachowcem i szybko się zorientował, że wśród garderoby i różnego sprzętu domowego nie znajdzie tu karakułowych fu-

ter, perskich dywanów czy miśniańskiej porcelany, a więc że nie narażałem majątku narodowego na ryzyko większych strat. Niczego nie komentował, wydało mi się jednak, że na widok odbiornika radiowego marki „Przyjaźń” i odkurzacza „Drużba” uśmiechnął się. Nie należały na pewno do najnowszych osiągnięć techniki, w domu miał prawdopodobnie lepsze. W każdym razie stos rzeczy przejrzanych i zatwierdzonych rósł szybko, nawet mój nowy – nie wyprany – garnitur i niedawno zakupione puchowe koldry nie wzbudziły zastrzeżeń. Po kilku godzinach celnik zaproponował byśmy zrobili przerwę, trzeba się przecież pokrzepić i rozgrzać. Byłem na to przygotowany, wiedziałem, jakie tu obowiązują zwyczaje, wyjąłem z torby butelkę wyborowej, pięto kielbasy, dwa kiszone ogórki i bochenek chleba. Usiedliśmy na jakimś pakunku za skrzynią, rozłożyliśmy wiktuały na gazecie, zjadaliśmy je z apetytem, popijając przy tym i gwarząc. Mój towarzysz był człowiekiem dyskretnym, o nic nie pytał, rozmawialiśmy o niczym, narzekaliśmy na przykrą pogodę, omawialiśmy aktualne wydarzenia sportowe, a kiedy się okazało, że nie oglądam telewizji, celnik opowiedział mi w skrócie treść ostatniego odcinka *Czterech pancernych i psa*. Powróciliśmy do naszych zajęć wzmocnienia i rozgrzani. Pod koniec dnia wszystko było już przejrzane z wyjątkiem kilku drobiazgów oraz książek i obrazów, wracałem więc do domu w dobrym nastroju, pewny, że sprawy szybko się zakończą, może już jutro przed południem. Po drodze udało mi się w dodatku kupić bez kolejki nowe pięto zwyczajnej.

I rzeczywiście nowy dzień zaczął się pomyślnie. Celnik sięgnął po paczkę z płytami gramofonowymi, szybko je przeliczył i zdecydował, że wszystkie mogę wziąć, choć jest ich aż pięćdziesiąt sześć, a więc o sześć więcej niż dozwolona norma. Pelen optymizmu nadal uważałem, że odprawa przebiega lepiej niż mogłem się spodziewać, i że wnet będę wolny, bo przecież ocena jeszcze nieprzejrzanych, a w końcu dość skromnych zbiorów bibliotecznych i malarskich nie powinna zająć dłuższego czasu, skoro wszystkie obrazy były zaopatrzone w pieczęć konserwatora przyzwalającą na ich wywóz, a wszystkie książki, z podaniem autora, tytułu, miejsca i daty wydania, znajdowały się na liście zatwierdzonej przez Bibliotekę Narodową. Spotkała mnie wielka niespodzianka, bo okazało się, któż mógł to przewidzieć, że mój celnik jest prawdziwym miłośnikiem sztuk pięknych i literatury.

Starannie przyglądał się wszystkim obrazom, kilka z nich, martwą naturę, pejzaż i dwa portrety położył po chwili na stronę, trzy pozostałe oparł o skrzynię, odsunął się do tyłu i w zadumie je podziwiał. Zachowywał się tak, jakby się wahał, który z nich ma kupić. Obrazy były malarsko bardzo od siebie różne, łączyła je wyłącznie wspólnota motywu – wszystkie przedstawiały akty kobiece. Po dłuższym

zastanowieniu celnik skoncentrował swoją uwagę na najmniejszym z nich, niepozornym drzeworycie w skromnej, drewnianej ramie. Przyglądał się intensywnie leżącej na szezlongu, odwróconej tyłem nagiej kobiecie, sprawdził dokładnie pieczęć i podpis konserwatora, kiwał głową, jakby nie dowierzając, że można było pozwolić na utratę rzeczy tak pięknej. Odłożył w końcu drzeworyt, ale tak go usytuował, że urodziwa kobieta była widoczna, jeśli się tylko w jej kierunku spojrzalo.

Mnie zaś ogarniał narastający niepokój, bo przyszło mi na myśl, że skoro celnika tak bardzo ciekawi sztuka malarska, może go także interesować literatura. Moje obawy szybko się potwierdziły i już wkrótce zrozumiałem, że celnik zostawił sobie książki niejako na deser, i że wszystko co czynił do tej pory, było tylko wstępem do literackiego *grande finale*. Wziął się do dzieła bez pośpiechu, starannie przestudiował listę, po niektórych pozycjach wodził palcem, jakby starając się wbić je sobie w pamięć. Brał potem każdy tom do ręki, niektóre szybko odkładał, inne dokładnie kartkował, niekiedy zatrzymywał się na jakiejś stronie i uważnie ją czytał. Nie ulegało wątpliwości, iż kontakt z literaturą daje mu zadowolenie i satysfakcję. W innych okolicznościach entuzjazm celnika wzbudziłby zapewne moją sympatię, dałbym mu przyklask i poparcie, może nawet byłbym dumny z faktu, że przyczyniam się do utrwalenia i rozwoju tak zbożnych zainteresowań, teraz jednak odczuwałem to jako działalność skierowaną przeciwko mnie, wręcz wrogą. Zatopiony w lekturze celnik nie zwracał uwagi na moje rosnące zniecierpliwienie i nieukrywaną irytację, mogło się wydawać, że zapomniał o moim istnieniu i swoich służbowych obowiązkach. Postanowiłem go z zaczarowania wyrwać i zaprosiłem do stołu. Siedliśmy znowu za skrzynią, przy zwyczajnej i wyborowej, tym razem jednak rozmowa się nie kleiła, ja byłem ponury i wściekły, a celnik myślami nadal przebywał w innym świecie. Ożywił się dopiero po dwóch szklaneczkach i opowiedział mi, jakby próbując się usprawiedliwić, że jego jedyną lekturą jest teraz „Ekspress Wieczorny”, lecz kiedyś czytał więcej, a niektóre z książek wczesnej młodości chciałby przeczytać jeszcze raz, na przykład *Bitwę pod Raszynem* Przybyszewskiego, czy jak mu tam było. Ujrzałem w tym jakiś cień szansy, powiedziałem, że i ja tę książkę lubiłem, i że na pewno jest dostępna w bibliotece, pracują tam fachowcy, na pewno ją znajdą, więc bez trudu będzie ją można pożyczyć i na nowo przeżyć losy dzielnego Janka.

Moja myśl trafiła chyba celnikowi do przekonania, ale jedynym widocznym jej rezultatem było, że porzucił beletrystykę i zajął się literaturą faktu. Wziął do ręki okazałą księgę w solidnej oprawie ze zdobnym tytułem, wypisanym połączanymi literami. Wydana jeszcze w 1901 roku, bogato ilustrowana *Historia XIX stulecia* kiedyś i mnie fascynowała, teraz oczarowała celnika. Jego uwagę przyciągały

zwłaszcza stare ryciny, portrety wielkich wodzów i wytwornych dam, sceny z cesarskich dworów i ze sławnych napoleońskich bitew. Z wyraźnym żalem księgę odłożył, zainteresowało go teraz inne dzieło, *Encyklopedia Gutenberga* w dwudziestu tomach z uzupełnieniami, ten sam zresztą egzemplarz „z przedwojennej biblioteki ciotki Teodory”, o którym Michał Głowiński wspomina w *Czarnych sezonach*. Nie wiem, czy celnik wybierał hasła według jakiegoś planu, czy decydował tu przypadek, w każdym razie w lekturze pogrążył się bez reszty. Dostęp do faktów i ocen tak bardzo różnych od tych, które przedstawiano mu na partyjnych szkoleniach lub w audycjach telewizyjnych wzbogacał niewątpliwie jego wiedzę historyczną, może nawet korzystnie wpływał na jego światopogląd, ja jednak – muszę to przyznać otwarcie – miałem gdzieś polityczną edukację celnika, moja rozpacz i rezygnacja pogłębiały się z każdą chwilą, kulilem się pod ścianą, zmarznięty i wściekły, przekonany, że przyjdzie mi tu spędzić resztę mojego polskiego życia. Przypomniała mi się niedawno zasłyszana historia o grupie polskich alpinistów, którzy w czasie wspinaczki w górach jugosłowiańskich przez pomyłkę znaleźli się w Albanii, gdzie przygraniczni żołnierze przetrzymali ich przez kilka tygodni w swej odciętej od świata strażnicy, szczęśliwi, że pozyskali sprawnych partnerów do gry w siatkówkę. Czas włókl mi się niemilosiernie, nie miałem co robić, nie mogłem nawet pójść na przechadzkę po hali, bo odprawiano tam równocześnie inne skrzynie. Każda tworzyła swój własny świat, nie mieliśmy z sobą żadnego kontaktu, nikt nie chciał pokazywać swoich rzeczy, zaglądać w nie byłoby wielkim nietaktem. Godziny mijaly, zbliżała się piąta, mój celnik nadal nie przerywał lektury, nie wiedziałem, czy nie zdecydował się na przedłużenie swojego dnia pracy. Nagle spojrział na zegarek, ocknął się – i powrócił do rzeczywistości.

– No jak to szybko nam dziś czas minął – powiedział. – Popracowaliśmy sobie zdrowo. Całe szczęście jutro sobota, ja to lubię wtedy, pan rozumie, przy sobocie po robocie, lubię tak się wieczorkiem wyciągnąć w fotelu, w ciepłych bamboszach, nastawić radio, słuchać jak ładnie grają i tak sobie powoli pociągać dobry koniaczek...

Nie wiedziałem jeszcze do czego celnik zdąża, zrozumiałem jednak, że jego wytworny gest otworzył przede mną nowe możliwości i natychmiast wyraziłem gotowość zakupu tego znakomitego trunku, tak pożytecznego, jeśli się chce w sobotę, po robocie, dobrze odpocząć. Celnik popatrzył na mnie z pobłażliwym uśmiechem.

– No nie, co się tam pan będzie trudził, ten koniaczek to ja już sam sobie kupię.

Obcowanie ze sztuką i literaturą wyraźnie nie zmieniło trzeźwego stosunku celnika do życia. Mnie to nie zmartwiło, choć przybył mi nowy kłopot, bo nie mia-

łem w tej materii żadnego doświadczenia i nie wiedziałem, ile „koniaczek” jest wart. Nie chciałem dać za dużo, lecz suma zbyt mała mogła mnie skompromitować i narazić na przedłużony pobyt za skrzynią. Po długich naradach z bardziej doświadczonymi przyjaciółmi zdecydowałem się na 500 zł. Była to kwota nie do pogardzenia, choć nie oszałamiająca, odpowiadała siódmej części moich ostatnich miesięcznych poborów.

Kiedy więc w sobotni poranek szedłem w stronę Dworca Gdańskiego, miałem w torbie wódkę, kielbasę, ogórki i chleb, a w kieszeni pięćsetzłotowy banknot. Pełen lęków, postanowiłem złapać byka od razu za rogi, więc gdy tylko znaleźliśmy się przy mojej skrzyni, wyszeptałem, że sprawa załatwiona i wyraziłem zdumienie, że po hali kręci się dzisiaj tyle osób. Celnik zrozumiał mnie od razu i zaproponował proste rozwiązanie: przyniesie tu mój dowód osobisty, a ja mu potem dowodzik oddam. Tak się też i stało. Zostawił mnie z dowodem samego, odebrał go po chwili i spokojnie się oddalił. Trzymał dokument w ręku, szedł wolno, z obojętną miną i powściągliwą nonszalancją, jak człowiek, który ma czyste sumienie i niczego nie musi ukrywać. Kiedy po kilku minutach wrócił, był w świetnym humorze. Uczciliśmy to natychmiast śniadaniem za skrzynią, a chociaż zestaw dań nie zawierał nowości, jedliśmy i piliśmy z apetytem, nie tracąc przy tym energii na próżną gadaninę. Celnik zakończył wkrótce swoje urzędowe powinności i zostawił mnie samego na czas, który był mi potrzebny na powtórne załadowanie skrzyni i zabicie jej deskami. Podpisałem potem jakieś papiery, odebrałem w okienku dowód osobisty i wyszedłem. Zimno wydało mi się mniej dokuczliwe niż kilka godzin wcześniej, choć temperatura się nie podniosła.

Skrzynię odzyskałem jedenaście miesięcy po wyjeździe. Z wszelkich różności jakie tam znalazłem, niektóre nadal wiernie mi służą. Kiedy przechodzę koło damy na szezlongu lub sięgam po książkę, która przeszła przez ręce celnika, nie chce mi się wierzyć, że te niewinne i przyjazne przedmioty takimi mi były wrogami w owe styczniowe dni Roku Pańskiego 1969.

Piotr Zettinger



EWA BATHELIER

deserts

BURZYM
&WOLFF
gallery

wernisaż 4.10.2002 godz.18

św. jana 15
[pałac
lubomirskich
dziedziniec]
kraków

tel. 004812/4216105, e-mail: b.chawinska@chello.pl



Fot. Archiwum „K.A.”

Anna Błasiak

w moim mieszkaniu
na piętrze najwyższym
nie zmieścił się
Twój krzyż

stoję w progu
mocuję się z framugą –
– schodzisz wolno w dół
po schodach głucho
drzewo wyrosłe na grobie Adama

Anna Błasiak, ur. 1974, historyk sztuki, tłumacz; pracuje w Zamku Królewskim w Warszawie. Publikowała w „Więzi”. Mieszka w Jabłonie pod Warszawą.

z balkonu
oglądam
tę Golgotę na sąsiedniej ulicy

czekam
na następną Twoją śmierć
za rok
przekuwam drzwi

* * *

niech mam z tego
choć
nauczkę

niech wiem –
– schowam na potem
na jutro

niech nie uda Ci się
Boże
złapać mnie znowu
w ten sam potrzask

i może wypuść już z tego
i tak zapamiętam
tę miłość na długo

Anna Błasiak



Fot. Archiwum „K.A.”

Marcin Cielecki

List do Larsa von Triera

Selma powinna wsiąść do tego pociągu
ten odjazd był właśnie dla niej chyba nie zaprzeczysz
z delfu końcowa stacja wiedzie prosto do mnie

pociąg jechał tak wolno że mogłem wskoczyć na stopień
zostać maszynistą

Selma powinna teraz wsiąść do pociągu
wywiózłbym ją z tej sceny zabrał twojej kamerze
powolny przejazd przez most
z delfu końcowa stacja wiedzie prosto do mojego mieszkania

gdyby tylko wsiadła

gdybyś tylko wyciągnął rękę

Marcin Cielecki, ur. 1979 w Olsztynie, student historii i teologii Uniwersytetu Warmii i Mazur, redaktor pisma „Undergrunt”; debiutował w 1996 roku tomikiem pt. *węsząc za...* Mieszka w Olsztynie.

* * *

Czwartek, godzina szósta rano.
W powietrzu wilgoć, oddycham głęboko orzeźwiającym chłodem.
Nieśmiałe promyki słońca laskoczą twarz i prawie gotowym staje się
traktat o nadziei.
Nie zapiszę, nie zanotuję. Nie potrzeba. Jest cicho,
cicho, nie mogę powstrzymać uśmiechu.
Mam jeszcze dużo czasu. Początek dnia – zdążę ze wszystkim.

Myślę, że to dobry moment by zacząć pracę dla nieba.

Sytość

to jabłko które jem wracając do domu było w moim
plecaku od dwóch dni wbijam się w ten czas
przezuwam na powrót wszystkie myśli jak te
Bierdiajew bogoczłowieczeństwo bestioczłowieczeństwo
Ty
chłód poranka pokrojony pocięty parującym oddechem
kilka plastrów wpadło mi za kołnierz uderzyło w pierś
dwa stawy mijane jak zawsze z mocnym postanowieniem
poprawy powrotu rozmowy
zamarznięta ziemia i niemożliwym staje się jej czucie obojętność
jakże szybko dwie msze wczorajsza dzisiejsza
do tego stopnia ciche i pokorne że musiałem
powiedzieć tak

codzienny powrót do domu z uczuciem spóźnienia się
o kilka dobrych lat

Marcin Cielecki

V A R I A

Michał Głowiński

Charaktery (2)

GLĘDZENIA I CZAPLE

Podczas wycieczki statkiem po Niemiecie siedzimy obok niezmiernie gadatliwego mężczyzny w wieku średnim. Jest sam, nawiązując kontakty z osobami nieznanymi, mówi tak głośno, że nie można go nie słyszeć. Wypowiada się na różne tematy, o wszystkim ma swoje ostro i bezwzględnie sformułowane zdanie. Już po wysłuchaniu kilkunastu słów nie trudno się zorientować, że jest frustratem i nie-nawistnikiem, a na jego świat mentalny składa się kolekcja obiegowych banałów. Jegomość ten denerwuje mnie i drażni, patrzę na niego z nieukrywaną niechęcią. Nagle zdaję sobie sprawę, że w tym mówieniu zaznacza się radykalna zmiana, przekształca się nawet intonacja, z agresywnej i mędrkującej staje się rozumiejąca. W horyzoncie naszego widzenia pojawiły się czaple, ptaki piękne, rzadko widywane przez mieszkańców miast. Nieznajomy mówi o nich z fascynacją i jakże innym językiem. Niewątpliwie nie jest zawodowym ornitologiem, sporo jednak wie – i potrafi opowiadać o ptakach barwnie i ciekawie. Pomyślałem: w pewnym momencie stał się innym człowiekiem. Kiedy docierały do mnie jego dywagacje na różne tematy, oceniałem go jednoznacznie: facet o ptasim mózdzku. Ale kiedy usłyszałem to, co mówił o ptakach, musiałem zrewidować tę opinię.

LEKARZ URAŻONY

Pan doktor Andrzej K., jeszcze młody, jest człowiekiem ukontentowanym sobą, bezwzględnie przekonany o własnych racjach i trafności stawianych diagnoz. Na wszelkie sygnały, które naruszałyby to dobre samopoczucie i kwestionowały jego zalecenia i decyzje, reaguje z nie dającą się ukryć niechęcią, wręcz gwałtownie. I oto pojawia się starszy pan, który stwierdza, że zaordynowana przed dwoma tygodniami kuracja nie tylko nie pomogła, ale wręcz zaszkodziła. Na twarzy pana doktora pojawia się grymas wściekłości, całą winę za niepowodzenie zrzuca na pacjenta, który charakteryzuje się niecierpliwością, naiwnie oczekując szybkiej poprawy. I ledwo ukrywa oburzenie, że jakiś facet, zapewne bez żadnego wy-

kształcenia, nie mający przecież pojęcia o medycynie, pozwala sobie na tak bezpośrednie i niczym nieuzasadnione krytykowanie jego poczynañ. Jego, którego pani profesor Pimpuszyńska uważała za swojego najzdolniejszego ucznia, jego, który pogłębiał wiedzę za Oceanem u sławnego profesora Smitha w Oklahoma City, a przez trzy tygodnie dopełniał ją we Francji, w pięknej i słynnej miejscowości Clochemerle. Panu doktorowi Andrzejowi K. z trudem przychodzi nawet udawanie, że go cokolwiek obchodzi stan człowieka, który zwrócił się do niego o pomoc w poważnej sprawie. Jest dla niego nudnym i bezczelnym zgredem. Na odczepnego wypisuje nową receptę i nie może doczekać się momentu, w którym ten natręt zamknie drzwi gabinetu od drugiej strony (jakież to ma znaczenie, że za wizytę zapłacił sporą sumę!). Pan doktor Andrzej K. jest jednak optymistą, ma nadzieję, że następny pacjent będzie sympatyczniejszy i lepiej wychowany, inaczej zatem oceni jego wspañiale medyczne kwalifikacje.

ENCYKLOPEDYSTA

Eligiusz od dzieciñstwa odznaczał się doskonałą pamięcią, wiadomości jakby same wskakiwały mu do głowy – i natychmiast się utrwały. Lubił popisywać się swą wiedzą, wykpiwając tych, którzy nią nie dysponują. A była ona rzeczywiście ogromna i wszechstronna, obejmowała historię i geografię, sport i sztukę, by już nie wymieniać dziedzin, cieszących się mniejszym jego zainteresowaniem. Koledzy z ironią nazywali go encyklopedystą, drażniła ich pycha Eligiusza, który się wywyższał, bo wiedział na przykład kim był Pepin Mały i Henrik Pontoppidan, a także – gdzie żyją petrele. Pamięć i skłonność do popisywania się swą wiedzą, bezcenną zwłaszcza dla miłośników krzyżówek, pozostała mu i w wieku dojrzałym. Niektórzy z kolegów nie mogli się pochwalić tak rozległymi wiadomościami, zajęli jednak w dorosłym życiu poważne pozycje, jeden został cenionym uczonym, inny – znanym publicystą, jeszcze inny – wybitnym inżynierem, on zaś – skromnym urzędnikiem osiedlowej administracji, podrzędnym, w każdym ruchu zależnym od surowych i wymagających szefów. Czuł się niedoceniony, chciał więc przynajmniej w jakiejś dziedzinie stanąć ponad kolegami, znajomymi, zwłaszcza zaś – zwierzchnikami. I tu w sukurs mu przyszła encyklopedyczna wiedza, która z latami się powiększała. Sprawiało mu nieopisaną radość, gdy mógł wypowiedzieć uszczypliwą uwagę pod adresem znajomego, który nie wie, kim był Pontormo czy Gaetano Pugnani. Czuł się lepszy, mądrzejszy, bardziej oświecony i kulturalny. A nad tym, że z wiedzy nagromadzonej w ten sposób nic nie wynika, nie zastanawiał się nigdy. Jego erudycyjne popisy nie układały się w sensowne całości.

RADOŚĆ NIEWIEDZY

Jest – być może – najdziwaczniejszym historykiem na świecie, nie interesuje go w istocie dociekanie prawdy, nie pociąga szukanie odpowiedzi na pytanie, jak zdarzenia przebiegały, pasjonuje go coś całkiem innego. To mianowicie, że odwołując się do różnych świadectw, nie można ustalić, jak to było naprawdę. Zestawia je, porównuje, czasem poddaje analizie – nie w tym celu wszakże, by zaproponować jakąś wykładnię, by za dokumentami dojrzeć choćby mętne zarysy rzeczywistości. Bawi go i zachwyt budzi prywatna gra intelektualna, wszystko zaś, czego ona nie osiąga, jest mu całkiem obojętne. W konsekwencji nie tylko epokom w głąb nie zagląda i opisu nie upostaciowuje, ale zburzyłby chętnie całą dotychczasową wiedzę. I w tajemnych zakamarkach duszy ubolewa, że wiadomo, w jakim miejscu i o jakiej dobie rozegrała się bitwa pod Grunwaldem, a data wybuchu powstania listopadowego ustalona została z wielką precyzją, co do godziny, biedaczek jest świadom, że już nie ma dla niego nic do roboty. A gdy może obwieszczać światu swoją niewiedzę, ogarnia go radość nie do wyobrażenia, niewielkie zaś i schorowane ciało przeszywają metafizyczne dreszcze zachwytu.

POPZEDNIK ARYSTOTELESA

Ten uczony mąż uważa się za pana na dyscyplinie, którą od swej wczesnej młodości z powodzeniem uprawiał, a nawet – za jej kreatora. Czuje się demiurgiem, inicjatorem niemal wszystkiego, co w niej ocenia jako wartościowe, godne kontynuacji, interesujące. Od lat z upodobaniem śledzi ślady swej twórczej myśli w najróżniejszego rodzaju publikacjach – i ubolewa nad upadkiem dobrych obyczajów i nierzetelnością, bo ci, którzy mieli bezwzględny obowiązek powołania się na to, co zrobił, nie pamiętają jego koncepcji, często zaś z premedytacją przemilczają jego zasługi. A winni być świadomi nie tylko tego, co pisał, ich obowiązkiem jest znać to, co mówił – w jakichś dyskusjach przed ćwierćwieczem bądź wcześniej, ale też przy kawiarnianym stoliku lub w trakcie przypadkowych spotkań w autobusie, w parku, na korytarzu uczelni, w której aż do emerytury wykładał. Każde jego słowo mieć winni we wdzięcznej pamięci także ci, którzy nie mieli szansy poznania go – z przyczyn najprostszych, bo albo ich jeszcze na świecie nie było, albo nie posiadli naszego języka i z ideami znakomitego uczonego zetknąć się nie mogli. Takich względów nie bierze on jednak pod uwagę, nie są w jego odczuciu usprawiedliwieniem – i we wszystkim dostrzega plagiaty ze swych dzieł i ulotnych wypowiedzi. Jego pycha nie może zostać zaspokojona, stając się powodem

cierpień. Pomyślałem, że gdyby żył w starożytnej Grecji i przyszło mu wysłuchać wykładu Arystotelesa, podszedłby do niego i powiedział: „Szanowny panie kolego, przecież ja już to wszystko mówiłem na naszej pięknej ateńskiej agorze przed trzydziestu laty!”.

Michał Głowiński

Antoni Libera

Odwaga i pokora Tomasza Burka*

Swoje wprowadzenie do dzisiejszego wieczoru, którego bohaterem i tematem jest Tomasz Burek i jego dwie najnowsze książki: *Dziennik kwarantanny* i *Dzieło niczyje*, chciałbym zacząć od zwięzłej charakterystyki całokształtu dorobku Autora. Gdybym miał w najkrótszy, niejako encyklopedyczny sposób opisać jego krytyczno-literackie pisarstwo, podniósłbym zapewne trzy kwestie.

Przede wszystkim zwróciłbym uwagę na rozległą i gruntowną wiedzę Autora i na jego – rzadko dziś spotykaną – chłonność poznawczą. Erudycja Burka, jego niebywała pamięć, zarówno kanonów i wielkich całości, jak różnorodnych detali, a wreszcie jego nigdy nieznużona ciekawość i wola poznawania rzeczy wciąż nowych – dzieł, biografii, idei i konceptów, jest wprost imponująca. Dzięki tym cechom jawi się Tomasz Burek jako wybitny uczony starej daty: znawca literatury, wytrwale i systematycznie przez całe życie poszerzający swą wiedzę.

Drugą kwestią, którą bym się zajął, jest kwestia stylu. Wszyscy dobrze wiemy, zarówno z lat nauki, jak i z późniejszych doświadczeń czytelniczych, czym bywają uczone, nafaszerowane wiadomościami księgi. Otóż bywają one często „słusznymi cegłami” lub „gniotami”, jak nazywają to inni. Wiedzy w nich wszelkiej dostatek, a nawet nadmiar, a urody – za grosz. Tego rodzaju kompendia czyta się niechętnie, brnie się przez nie z mozołem, a dobywane z nich treści nie mają się

* Wprowadzenie do „Wieczoru dwóch książek Tomasza Burka” w Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich w Warszawie 19 marca 2002.

głowy. Z pisarstwem Burka jest inaczej. Odznacza się ono, i to niezmiennie od konań najwcześniejszych, wyrazistym, eleganckim stylem, czasem lekko archaizującym, ale nie manierycznie, jakby autor dbał o ciągłość rozwoju języka, jakby świadomie pracował nad jego metamorfozą. Krótko mówiąc, krytyczno-literackie pisarstwo Burka samo jest literaturą – literaturą o literaturze – a więc tym, czym gatunek ten był u swego zarania. Tak właśnie pisało się o pisarzach, książkach i prawdach literackich w przeszłości. Tak pisali Wiliam Hazlit i Thomas Carlyle, Saint-Beuve i Stendhal, Stanisław Brzozowski, Jerzy Stempowski i Paweł Hertz.

I wreszcie kwestia trzecia, najtrudniejsza do określenia i opisanie. Chodzi o wymiar filozoficzny. Tomasz Burek, poza tym, że bardzo dużo wie i ma doskonale opanowane rzemiosło, poza tym, że potrafi równie dobrze analizować, co tworzyć ujęcia syntetyczne, że postrzega rzeczy konkretne i szczegółowe zawsze w szerokich kontekstach problemowych i historycznych, a w swoich spostrzeżeniach i skojarzeniach bywa odkrywczy i błyskotliwy – wykracza z reguły poza estetykę, podejmując medytację metafizyczną i etyczną. Inaczej mówiąc, dla autora *Dziela niczyjego* literatura nie sprowadza się do szeroko pojętej sztuki słowa, nie jest li tylko wielkim laboratorium, a zarazem skarbnicą językowych doświadczeń, technik i stylów mówienia, podejmowanych idei, tematów, motywów i tym podobnych komponentów, składających się na tę złożoną domenę, lecz również, jeśli nie przede wszystkim, jedną z form ekspresji ducha człowieka, który poszukuje odpowiedzi na zasadnicze pytania dotyczące jego egzystencji: o sens istnienia na Ziemi, o przeznaczenie, o możliwość i szansę zbawienia. W tym podejściu Tomasz Burek jawi się już nie tylko jako obserwator i komentator dzieł i zjawisk literackich; porzuca on bowiem rolę zewnętrznego arbitra i sam staje się bohaterem dramatu, czyli stroną w toczącym się sporze. Można powiedzieć, że i w tej tendencji swoiście współtworzy on literaturę, że poprzez stawianie takich a nie innych pytań, poprzez drążenie takich a nie innych zagadnień, wchodzi on na teren refleksji fundamentalnej, której literatura jest tylko jedną z form wyrazu. Najprościej: Tomasz Burek za pomocą literatury filozofuje.

Wszystkie te cechy, które tu wymieniłem i pokrótce scharakteryzowałem, odnajdujemy również w dwóch najnowszych jego książkach. W moim wystąpieniu zamierzam jednak skupić się głównie na pierwszej z nich, na *Dzienniku kwarantanny*, jako że tom ten przynosi również pewne *novum*.

„Kwarantanna” jako wyraz pospolity oznacza przymusowe, okresowe odosobnienie (w dawnych czasach czterdziestodniowe) ludzi przybyłych z miejsc dotkniętych jakąś epidemią do kraju, który chroni się w ten sposób przed infekcją i zarazą. Powstaje więc od razu pytanie, do czego i do kogo odnosi się tytułowa metafora. Odczytuję ją w następujący sposób:

Przez 44 lata, a uwzględniając lata okupacji, równo 50, Polska była areną najokropniejszych występków i szaleństw, do jakich ludzkość jest zdolna. Naprzód odbył się kilkuletni festiwal najpospolitszej zbrodni i rzezi na niespotykaną dotychczas skalę, a następnie wieloletnie igrzyska obłędu, przemocy i nędzy, wyniszczające i paczące życie duchowe człowieka. 50 lat to okres znacznie przekraczający granice tego, co nazywamy epizodem historycznym o szybko przemijających skutkach; jest to czas wystarczająco długi, by zdołały się wykształcić i ugruntować trwałe formy myślenia, nawyków i zachowań, by powstał samodzielny, jakościowo różny świat pojęć, wartości i obyczajów. Chodzi mi o stopniową zmianę nastawienia kolejnych pokoleń do otaczającej rzeczywistości. Dla pokoleń urodzonych więcej niż 20 lat przed wojną porządki zaoferowane przez władzę ludową z nadania sowieckiej Moskwy i pod jej jaśnieoświeconym przewodnictwem były absurdem czystym, urągającym wszelkim wyznawanym zasadom i wołającym o pomstę do nieba. Dla pokoleń młodszych zaś, zsovietyzowany świat, w którym dojrzewały, jakkolwiek uciążliwy, niesprawiedliwy i odstręczający, nie był już jednak odbierany jako dopust boży, lecz mimo wszystko jako... rodzaj normalności. Znamienne (i najciekawsze zarazem), że nawet ci przedstawiciele owych młodszych pokoleń, którzy w pewnym momencie zbuntowali się przeciw panującemu *status quo* i w decydujący sposób przyczynili się do obalenia ustroju, również byli swoiście zainfekowani, a w każdym razie daleko im było od normalności rozumianej w sposób bezwzględny. To zjawisko uzależnienia od opresywnej rzeczywistości, od której człowiek pragnie się uwolnić, znakomicie wyraził swego czasu Tadeusz Kantor w jednym ze swoich widowisk, tworząc obraz uratowanych skazańców, którzy nie potrafią już zrzucić z siebie narzędzi tortur i z nimi na plecach, niczym z nieusuwalnym garbem, tańczą pokraczny, żalostny taniec wolności.

Wszystkie te bolączki, błędne perspektywy i nawarstwiający się absurdy znamionowały też oczywiście szeroko pojętą kulturę, a w szczególności życie literackie. Środowiska artystyczne przez lata żyły w piętrowo fikcyjnym świecie albo, jak nazywał to Stefan Kisielewski, w akwarium, czyli w środowisku sztucznie wyodrębnionym, zamkniętym i rządzącym się najzupełniej osobnymi i nierzadko obłędnymi prawami. Przebić się przez ten pancierz głupstwa i mistyfikacji nie było łatwo. Nie radziły sobie z tym nieraz nawet najtęższe umysły. Jednym ze sposobów przeciwstawiania się akwarnianemu „życiu na niby”, swoistą terapią odpornościową, było ciężenie do kultury Zachodu, kierowanie spojrzenia, kolejno, w stronę Paryża, Londynu i Nowego Jorku, i traktowanie odnajdywanej tam strawy jako odtrutki na stęchlą atmosferę obozową.

Cóż jednak działo się w „wolnym świecie”, jak nazywano w owym czasie Zachód? Jaki duch się tam istoczył? Ku jakim prawdom czy konstatacjom podążano? Oczywiście, jak przystało na świat pluralistyczny, ku różnym. Jednak w najgłębszych warstwach tej kultury, na poziomie jej fundamentów, toczył się tam jeden, zasadniczy proces, proces zaczęty już znacznie wcześniej, a w sposób przyspieszony rozwijający się od końca XIX wieku, proces korozji przestrzeni metafizycznej, proces totalnej sekularyzacji, proces prowadzący do owego „objawienia” XX wieku, streszczającego się w krótkiej formule NIE MA: „Żadnego głosu przemawiającego ze wszechświata, żadnego dobra i zła, żadnego spełnienia i żadnego Królestwa” (Miłosz). Mogę coś powiedzieć na ten temat, bo przez lata zajmowałem się twórczością Samuela Becketta, a to on właśnie najpełniej, najostrzej i w sposób najbardziej przejmujący wyraził owe prawdy. Czyli prawdy Wielkiego Kryzysu lub Schyłku Pewnego Świata. Prawdy przeczyte, przepowiedziane i wyrażone już przez pisarzy i myślicieli z początku ubiegłego stulecia, przez Nietzschego i Heideggera, Tomasza Manna i Kafkę, Eliota i Joyce’a – prawdy, których symbolami stały się kolejno takie tytuły jak *Zmierzch bogów*, *Ziemia Jałowa*, *Puści ludzie*, *Proces*, *Czekając na Godota* i *Końcówka*.

Przez jakiś czas wydawało się, że owe diagnozy i apokaliptyczne prognozy były reakcją na ferment społeczno-polityczny Europy w latach dziesiątych i dwudziestych i wyrażały tylko przeczucia nadchodzącego kataklizmu, jakim okazała się druga wojna światowa (totalitaryzm, obozy koncentracyjne, ludobójstwo, bomba jądrowa). Rychło jednak okazało się, że dotykają one o wiele głębszych pokładów rzeczywistości i nie ograniczają się tylko do historycznych wydarzeń pierwszej połowy ubiegłego stulecia. „Epoka nasza, czyli zgon, /Ogromna *Die Likwidation*” – pisał w 1947 roku Czesław Miłosz w *Traktacie moralnym*, który kończył znamienitymi słowami tytułu powieści Conrada: „Przed nami jest – *Jądro ciemności*”.

„Katastrofa”, o którą tu chodzi, bynajmniej się jeszcze nie dopełniła, a nawet można powiedzieć, że dopiero zaczyna się na dobre. Ogromne przyspieszenie technologiczne, którego jesteśmy świadkami (zwraca na nie uwagę m.in. Stephen Hawking, jeden z przenikliwszych umysłów współczesnych), nie stwarza warunków do ustabilizowania się spójnej wizji świata, będącej warunkiem czy podstawą w miarę bezpiecznego Domu Człowieka na Ziemi. Współczesna cywilizacja zdaje się rozwijać w kierunku sprzecznym z naszymi marzeniami i nadziejami. Ludzkość pędzi ślepo ku wielkiej metamorfozie, która wyłoni zapewne zupełnie innego człowieka niż ten, którego znamy i z którym czujemy się tożsami.

W lapidarny i sarkastyczny sposób wyraził to właśnie Beckett w pamiętnych zdaniach *Czekając na Godota*: „człowiek mimo postępu w zaopatrzeniu i likwidacji

odpadów, marnieje i usycha, mimo rozwoju kultury fizycznej i uprawiania sportów, oraz penicyliny i surogatów, maleje i kurczy się”.

Ów uwiąd przejawia się między innymi w degradacji artysty, w zjawisku kultury masowej i niezliczonych jej fetyszach; w kulcie banału i pospolitości, w komercjalizacji, w uruchomionych niczym dzieło czarnoksiężnika mechanizmach mody i koniunktury, w nieustannej pogoni za nowością.

I oto co się dzieje. Jest rok 1989. Niewywartny, zdawało się, porządek pojałtański rozpada się niczym domek z kart i kraje Europy środkowowschodniej, w tym Polska, odzyskują upragnioną suwerenność. Nie odbywa się to wprawdzie w sposób, w jaki byśmy sobie tego życzyli, a w każdym razie o jakimśmy przez lata marzyli, niemniej ustrojowa transformacja staje się faktem. Rozpoczyna się nowy rozdział historii: ma się rozpocząć wielkie sprzątanie „stajni Augiasza”, proces samooczyszczenia, zdrowienie, powrót do prawie zapomnianej normalności. Czy w kulturze sprawy rozwijają się w tym właśnie kierunku? Otóż nie. Jak napisał w jednym ze swoich ostatnich wierszy satyrycznych Janusz Szpotański, „wszystko od razu poszło na opak”.

Tomasz Burek zdaje się podzielać tę diagnozę. I chociaż sam – w odróżnieniu od bardzo wielu – nie miał specjalnych powodów do poddawania się egzorcyzmom, ponieważ jak mało kto zachował przez te lata czystość i jasność spojrzenia, zaczął dzieło naprawy od siebie. Można też powiedzieć, że poddał się kwarantannie w imieniu reszty: poddał się kwarantannie, której w skali powszechnej nie było!

Cóż oznaczało to w praktyce? Nie tylko odejście na stronę, w cień, i osamotnienie. Oznaczało również niepopularność i gorycz z powodu niewybrednych ataków dziennikarskich, w rodzaju nierozumnej, za to nad wyraz butnej (a przy tym jakby inspirowanej) enuncjacji Piotra Bratkowskiego na łamach „Gazety Wyborczej”. Krótko mówiąc, nakazana sobie kwarantanna wymagała odwagi i pokory.

Swój raptularz zaczął Burek prowadzić mniej więcej od połowy lat 90. i jego stronicie publikował na łamach „Gazety Polskiej”. Przez cztery lata uzbierała się z górą setka zapisów i impresji. I one to właśnie stanowią zawartość wydanego niedawno tomu. Gdy czyta się je na nowo, jednym ciągiem, jako całość, wyczuwane już wcześniej przewodnie myśli autora, które powyżej przedstawiłem, stają się w pełni jasne i wyraziste. Podstawowa diagnoza Burka jest następująca: do deklarowanego w latach Peerelu – w środowiskach opozycyjnych – lub przynajmniej przyznanego sobie „czyszczenia duszy” nie doszło; nie podjęto gruntowniejszego przewartościowania rozmaitych zjawisk i mitów tamtej epoki; nie odbyto pokuty, nie zrobiono rachunku sumienia; natomiast z uzyskanej wolności i otwar-

cia na Zachód uczyniono wielce wątpliwy użytek, przejmując stamtąd głównie wzory kultury masowej oraz dekadentkie fanaberie i dewiacje duchowe.

Nie pogodzony z takim obrotem rzeczy krytyk-diarysta wypunktowuje więc całą listę grzechów współczesnej kultury i zatruwających ją zarazków. Piętnuje fetysz „politycznej poprawności”, która na naszych oczach wyrasta na nową totalistyczną ideologię; obnaża zakłamanie i faryzeizm niegdysiejszych marksistów, dziwnym trafem zawsze sprzymierzonych z tym, co silniejsze i bardziej hałaśliwe; przestrzega przed lewakami i neo-lewicą, mającą gębę zawsze pełną frazesów o wolności, tolerancji i równouprawnieniu, w istocie zaś nie znoszącą najmniejszego sprzeciwu wobec wyznawanych przez siebie idei i głoszonych poglądów; unaocznia, jak to pięknoduchowskie lewactwo (pięknoduchowskie, bo albo anarchistyczne, albo zamknięte w wieży z kości słoniowej, nigdy zaś nie p r a c u j ą c e nad ulepszeniem świata) otóż jak tego rodzaju formacje zawsze są pobłażliwe wobec wszystkiego, co „internacjonalistyczne”, „komunistyczne”, a nawet „leninowskie”, natomiast płonące świętym oburzeniem, godnym lepszej sprawy, wobec wszystkiego, co „lokalne”, „krajowe” czy „partykularne”, i przyklejające temu tendencyjnie, niejako automatycznie, etykietę „nacjonalizmu”, „ksenofobii”, a najchętniej od razu „fasyzmu”; zastanawia się dalej nad przyczynami nierównorzędnego traktowania dwóch totalitaryzmów XX wieku i dochodzi do smutnego wniosku, że wyraża się w tym tchórzostwo i cynizm cywilizowanego świata: rzecz w tym, że nazizm został pokonany i osądzony, podczas gdy komunizm upadł sam i nikt mu rachunku nie wystawił; a zatem: biada tylko p o k o n a n y m łajdakom; łajdakom n i e z w y c i ę ż o n y m – *chapeau*. Roztrząsa wreszcie rozmaite zagadnienia estetyczne, jakie towarzyszą tym tendencjom ideowym i cywilizacyjnym: problematykę postmodernizmu, feminizmu, relatywizmu, a nade wszystko zjawisko kiczu, kiczu nowoczesnego, a więc takiego, którego symbolem nie jest już bynajmniej jeleń na rykowisku czy romansidło dla pensjonarek, lecz falsyfikat arcydzieła; nowoczesny kicz to zręczna imitacja literatury ambitnej, to niezamierzony pastisz, podróbka, pozór głębi i piękna.

Autor *Dziennika kwarantanny* postrzega i rozpatruje cały ten kryzys w kontekście wielkiego, mającego już długą tradycję dylematu nowożytnej kultury, wyrażonego między innymi w pamiętnym Mickiewiczowskim przeciwstawieniu „wiary i czucia” – „szkielku i oku”. Burek staje, oczywiście, po stronie tych pierwszych: wiary i czucia. Uważa, i słusznie, że deifikacja Rozumu jest aktem pychy człowieka i mści się później w niewyobrazalny wręcz sposób. Nie ma i nigdy nie było dostatecznych przesłanek, aby poznanie rozumowe postawić ponad inne, ponieważ opiera się ono metodologii, której prawomocności dowieść niepodobna.

Pozostaje więc tylko pytanie o odwrót z mylnie obranej drogi lub przynajmniej o korektę owej „paraboli skręcającej w lewo”, jak określił linię ewoluowania nowożytnej ludzkości Beckett w prozie *Towarzystwo* (nie mając na myśli, rzecz jasna, kategorii politycznych, lecz mityczne: skręt w lewo, przeciwny m. in. obrotowemu ruchowi Ziemi wokół własnej osi i ruchowi wskazówek zegara, zawsze i w różnych kulturach utożsamiany był z ruchem przeklętym; w ten sposób Dante z Wergilim schodzili do Piekła, podczas gdy na górę czyszcową wchodzi się ruchem prawoskrętnym).

A zatem jak, jakimi środkami (bo argumenty są wystarczające) można zahamować ów „postęp ku nicości” i skierować Człowieka ku czemuś, co nie byłoby tylko prochem? Nie wydaje się, przynajmniej mówiącemu te słowa, aby wystarczyło tu wezwanie do opamiętania się i odrodzenia religijnego. Nie wydaje się też, by w ogóle był możliwy nawrót do świadomości neo-średniowiecznej. Potrzeba tu jakiejś nowej zupełnie reformy, nowego „duchowego” Kopernika, który – niczym Ziemię na rzecz Słońca – zdetronizowałby panującą w świadomości współczesnego człowieka Materię na rzecz Ducha.

Na czym by taka reforma miała polegać, kto i za pomocą jakich narzędzi miałby jej dokonać, nie umiem odpowiedzieć. Z całą pewnością mogę natomiast stwierdzić, iż do myślenia na ten temat, a nawet do podjęcia nielatwych prób odpowiedzi, pisarstwo Tomasza Burka, w szczególności zaś jego *Dziennik kwarantanny* inspiruje jak mało która książka.

Antoni Libera

Tomasz Burek

Autoreklama*

Do prowadzenia stałego felietonu literackiego na łamach „Gazety Polskiej” zaprosił mnie jej redaktor naczelny Piotr Wierzbicki w roku 1996. Ale już trzy lata wcześniej, w roku pierwszym swojego istnienia, „Gazeta Polska” drukowała mój artykuł *Pragnienie ladu*, ten sam, który pełni obecnie rolę wprowadzenia do

* Mowa wygłoszona podczas „Wieczoru dwóch książek” 19 marca 2002 w siedzibie Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w Warszawie.

książki *Dziennik kwarantanny*. Jeszcze wcześniej publikowałem duży szkic o stanie literatury w „Podróżach i marzeniach”, niedzielnym dodatku do niecodzielnego dziennika „Nowy Świat”, którego naczelnym był również pan Piotr.

Po raz pierwszy los zetknął nas ze sobą jako współpracowników powstałego na popaździernikowej fali, rozhukanego i skandalizującego czasopisma młodych literatów i artystów „Współczesność”. Mieliśmy po dwadzieścia lat. Piotr Wierzbicki ogłaszał we „Współczesności”, o dziwo, subtelne, ujmująco osobiste refleksje o „poezji słonecznej” Staffa, zachwycał się Przybosiem i Jastrunem, natomiast ja z żółtodziobim tupetem atakowałem samego Bohdana Korzeniewskiego za fatalne, w moim przekonaniu, wystawienie *Mizantropa* i starałem się dokuczyć Iwaszkiewiczowi.

Jakkolwiek życie poniosło nas w odmienne trochę strony, po latach znowu się spotkaliśmy w kręgu jednej gazety. Upatruję w tym zdarzeniu nieprzypadkową zbieżność. Spotkaliśmy się z inicjatywy pana Piotra. Być może wyczul on u mnie, na odległość, pokrewny gust do ryzyka i twarde dno snu, by użyć cudzej metafory.

Pociągało mnie w „Gazecie Polskiej” przede wszystkim to, że była gazetą trędotną, izolowaną, że brzydziły się nią środowiska, z którymi utrzymywałem zawodową, do pewnego stopnia koleżeńską i towarzyską, ale już nie ideową łączność. Kochani moi przyjaciele, sympatycy Unii Wolności jako tak zwanej partii inteligencji, orientując się w bieżącej problematyce według kompasu „Gazety Wyborczej” – przywykli alergicznie reagować na niezależną linię „Gazety Polskiej”. Niby pasażerowie zaczarowanej dorożki Galczyńskiego, z rozigraną dowolnymi skojarzeniami wyobraźnią, postrzegali w „Gazecie Polskiej” sojusznika antysemityzmu, tylko dlatego, że „Gazeta” broniła narodowej dumy Polaków przed patologicznym antypolonizmem części amerykańskich, i nie tylko amerykańskich, Żydów. Wszystko razem obliczywszy, nie można było wymarzyć sobie lepszego od „Gazety Polskiej” miejsca na założenie prywatnego „dziennika kwarantanny”.

Miałem tu zupełną swobodę pisania. Postawiono mi tylko dwa wymogi formalne: zwięzłości i regularności. Milcząco rozumiałem, że będzie mnie obowiązywał jeszcze jeden wymóg, najtrudniejszy do spełnienia: wymóg atrakcyjności. Nie zamierzam ukrywać, że we wszystkich trzech sprawdzianach nie wypadalem najlepiej.

Na samym prawie początku zafundowałem czytelnikom „Gazety” kilkuodcinkowy „rysopis” Rolanda Philippe’a Nogarry, pisarza wyimaginowanego, i choć w dziwacznych jego dziełach i meandrach kariery można było wytropić pierwotne wzory rzeczywiste – wyobrażam sobie, jak z każdym kolejnym odcinkiem redaktorzy unosili brew wyżej, zastanawiając się, ile korzyści z tych crudycyjnych igraszek odniesie czytelnik literacko nie przygotowany.

Zdawałem sobie dobrze sprawę, że tożsamość „Gazety Polskiej” w oczach czytelników potwierdza się przez fakt, że stanowi ona wyrazisty tygodnik polityczny z elementami magazynu społecznego i skromniutkim działem kulturalnym. Nieraz więc czułem się ze swoimi lekturami niczym zawadzające kółko u redakcyjnego wózka. Zniechęcałem się. Wycofywałem. Ale za każdym razem niezawodnie cierpliwy Redaktor czekał, przypominał o terminach, w ostateczności, jak namowy zawodziły, nęcił ślicznym kotkiem (który w rezultacie nieporozumienia został jednak u niego).

W ten sposób cykl się dopełniał. Aż z drobiazgów zebranych w jedną całość mogła powstać książka. Komputerowy wydruk *Dziennika kwarantanny* oddałem Wydawnictwu „Arcana” z końcem kwietnia 2001. Pół roku później egzemplarz sygnałny książki trzymałem w ręku. Dzięki „Gazecie Polskiej” i jej Naczelnemu oraz wspomnianemu Wydawnictwu potrafiłem zrobić dobry, jak mi się wydaje, użytek z wolności.

Historia narodzin *Dziennika kwarantanny* to rozdział zamknięty. Dzieje się teraz sprawa czytelniczego odbioru książki, czyli historia recepcji. Rzeczowe, pozabawione kompleksów, współtwórcze omówienia poświęcili *Dziennikowi kwarantanny* krytycy z prawej strony *spectrum* kulturalnego: Krzysztof Dybciaak w „Gazecie Polskiej”, Maciej Urbanowski w dwumiesięczniku „Arcana”, Wojciech Wencel w „Nowym Państwie”, wreszcie Jerzy Modrzewski w „Forum Książki” (dodatku do „Forum Akademickiego”). Dyplomatycznie, jak przystało na centrową pozycję tego organu prasowego, wypowiedział się Andrzej W. Pawluczuk w „Rzeczpospolitej”. Pokrętnie Sergiusz Sterna-Wachowiak w „Nowych Książkach”. Wrednie i napastliwie zareagował Leszek Szaruga w „Przeglądzie Politycznym”. Nie myślałem od Szarugi oczekiwać karesów. Zaniepokojony byłbym dopiero oznakami jego uznania.

Dziennik kwarantanny podobał się tym, którym chciałem, żeby się podobał. Długo milczał o książce „Tygodnik Powszechny”. I milczy nadal „Gazeta Wyborcza”. [Dopisek późniejszy. Aż tak źle nie oceniam „Gazety Wyborczej”, aby wolno mi było za wyraz jej stanowiska wobec tej książki uważać androny Janusza Andermana pomieszczone w numerze z 11-12 maja b.r.]. Oczywiście stąd wniosek, że nominacja książki do Nagrody Nike nie jest przewidziana. Czy życzliwych *Dziennikowi* czytelników bardzo wiadomośc ta zasmuci? Nie sądzę.

W rozmowach i listach chwałą niektórzy czytelnicy uprawniony subiektywizm i ton namiętny mego *Dziennika*. Zapewniam, że nadzwyczaj sobie cenię ich zdanie. Ale lubiłbym, gdyby zaczęto doceniać niechętny historycznym przekłamanom obiektywizm, humor i autoironię *Dziennika* i innych pism moich. Coraz częściej zapytuję cudze i własne teksty, czy potrafią się śmiać. Cieszy rozpoznanie Urbanowskiego, że krótkie zapisy, które złożyły się na *Dziennik kwarantanny*, od-

znaczą się „swoistym, bo oscylującym między sarkazmem, ironią a humorem – komizmem, który nie przekreśla jednak dominującej w tej książce nuty powagi, a nawet patosu”. Również w szkicu otwierającym *Dzieło niczyje*, a traktującym o literaturze jako niepoważnym zajęciu, z premedytacją dopuściłem do głosu ducha niepowagi i pisałem na przemian palcami domorosłego proroka i blazna.

Chciałbym, przyznając, jednym chociaż tonem czy akcentem przyłączyć się do śmiechu narastającego w rzeczach samych i podtekstach kultury. Nie idzie mi o przedatowane libertyńskie chichoty, sprzedawane maluczkim jako ostatni krzyk mody. Ani o te deliryczno-barokowe style śmiechu, które są dziś nagradzane oklaskami faryzeuszy nowomediálnego obrządku. Potrzebujemy szlachetniejszego, transcendentalnego, religijnego (cokolwiek miałyby to znaczyć) gatunku satyry. Potrzebujemy otrzeźwiającego śmiechu Cervantesa, przenikliwego śmiechu Szekspira, śmiechu Swifta, od którego ciarki przechodzą po plecach, bezczelnego śmiechu Gogola. Czysto transcendentalny powinien być śmiech ze zwariowanego świata politycznej poprawności. Śmiech ze świata, w którym kwitnie przedsiębiorstwo Holocaust, śmiech z ekstremalnej sztuki ekskrementów, śmiech z naszych barbarzyńskich czasów, które obciążają wszystkie kwestie naprawdę żywotne balastem ideologicznym. W zdolności do takiego otrzeźwiającego śmiechu jeszcze nasza ostatnia nadzieja. Potem usłyszymy już jedynie śmiech Apokalipsy.

Historia *Dziennika kwarantanny*, jego narodzin i recepcji, mieści się bez reszty w ramach III Rzeczypospolitej, pewnie nie tej wymarzonej, ale takiej, na którą sami sobie zasłużyliśmy dniami i uczynkami. Natomiast dziwna przygoda *Dzieła niczyjego* przeniesie słuchaczy jakby na baśniowym dywanie do Naszej Rozkosznej Peerelii, spoza której będą przezierać kontury innego niezapomnianego tworu – Republiki Costaguana. Kto raz czytał *Nostromo*, najpiękniejszą, największą, najbardziej aktualną z powieści Conrada, pojmie w lot, dlaczego wyobraźnia moja zatrzymała się przy Marcinie Decoud, jak tylko zacząłem medytować nad współczesnym mi typem intelektualisty wystrykniętego na dudka. Przypisując niešťczęsnemu Marcinowi *Dzieło niczyje*, wyróżyłem sobie niechcący przestrzeń costaguańską, w której przygoda tej książki miała się rozegrać.

240-stronicowy maszynopis zbioru szkiców krytycznych pt. *Dzieło niczyje* złożyłem w sierpniu 1999 roku zasłużonej firmie wydawniczej „Czytelnik”, tej samej, w której przed laty drukowałem pierwsze swoje książki. Okrągły rok minął i sprawa jakoby przesądzonej edycji nie posunęła się nawet o milimetr do przodu.

W wrześniu 2000 roku wycofałem tedy *Dzieło niczyje* z oficyny warszawskiej i zaferowałem jego maszynopis nie mniej od „Czytelnika” szacownemu „Wydawnictwu Literackiemu”. Propozycja została przyjęta. Uzależniono jednak ukazanie

się książki, na co byłem naturalnie przygotowany, od jej dofinansowania przez Komitet Badań Naukowych bądź Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Minęła jesień, zima i wiosna.

Na początku lata wydawca poprosił mnie o zmniejszenie objętości książki o około 70 stron, ponieważ ministerialna dotacja okazała się nazbyt skromna, natomiast KBN nie dal wydawcy złamanego grosza. Z rozpaczy zacząłem grać w dużego lotka. Ale totalizator to nie moja specjalność. Kiedy wydawca postawił mnie przed wyborem: albo skróty w maszynopisie, albo oczekiwanie na Godota, to znaczy, dodatkowe subwencje, w 2002 roku, i kiedy, jednocześnie, wybory parlamentarne wygrało ugrupowanie, o którym było wiadomo, mnie przynajmniej, że zmieni państwo polskie w prywatny folwark, zrozumiałem, że książki w jej pierwotnym kształcie nie uda mi się obronić. Myśląc o kompromisie, zapytałem wydawcę, jak konkretnie wyobraża on sobie odchudzenie.

Otrzymałszy list datowany w Krakowie 4 października 2001 roku, w którym zawarte były propozycje wyeliminowania siedmiu spośród trzynastu szkiców i ponadto skrócenia najważniejszego o połowę, ułożyłem telegram treści następującej: „Po zapoznaniu się z propozycjami chirurgicznymi pani redaktor Begie proszę o łaskawe odesłanie zwłok w całości”.

Napisałem ten telegram, ale go nie wysłałem. Przelknąłem afront, wyrachowany czy bezwiedny, o to mniejsza. Krzywiąc się jak od octu, wziąłem lekcję pokory. Dokonałem sam skróćków: usunąłem szkice o Andrzejewskim i Miłoszu. Poświęciłem nawet *Mądrość daremną*, wczesny szkic o Iwaskiewicz, dlatego tak mi drogi, mogę to dzisiaj wyznać, że pracowałem nad nim w dniach pierwszej pielgrzymki Jana Pawła II do ojczyzny i coś z atmosfery tych podniosłych dni czerwca 1979 roku przeniknęło, jak myślę, do tekstu. Wywaliłem 70 stron razem. Tytuł, ile ode mnie zażądano. I oportunizm wprędce został nagrodzony. Jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia książeczka ujrzała światło dzienne.

W liście z 12 lutego b.r. redaktor naczelna Wydawnictwa Literackiego, pani Małgorzata Nyczowa, tłumacząc się w szczególności z tajemniczych wpadek i pomyłek zauważonych poniewczasie w indeksie osób do *Dziela niczyjego*, uprasza mnie „o łagodne – jeśli to możliwe – potraktowanie trochę wystraszonego i zawstydzonego WL-u”. Zaręczam, Małgorzato, że nie żywię małodusznej urazy do Pani wydawnictwa, ani o indeks, ani o żmudne perypetie, które starałem się tu wiernie odmalować. Wprost przeciwnie: serce moje wypełnia wdzięczność. Dobrze się stało, jak się stało. Odchudzenie wyszło książce na zdrowie. Nabrała zwartości i jednolitego wyrazu.

Tak ją widzą Czytelnicy, którzy czasami piszą listy do mnie. Nie wypada mi tych listów cytować, bo na ogół dyktowała je dobroć, co łagodzi krytycyzm. Zro-

bię jeden wyjątek. Dla karty pocztowej, w której życzliwość zdobywa się także na ton napomnienia.

Kraków, 12.02.02

Drogi Tomku, bardzo dziękuję za dotrzymaną obietnicę. *Dzieło nieczyje* przeczytałem od razu, jednym tchem, bo powstała – mimo „zbiórki” – gęsta całość z Iwaszkiewiczami na pierwszym planie. Twój zamysł, konsekwentnie ostatnimi laty realizowany, o twórczości artystów pomijanych (z różnych względów), tak zresztą i mnie bliski, znalazł tu ciekawe i piękne uzasadnienie. Twój nowy kanon metafizyczny – Czycz, Karasek, Kijowski, Iwaszkiewiczowie i Herling – choć niepełny i oczywiście jednostronny – to propozycja, którą szanuję i rozumiem. Dzięki „religijnemu” piętenu, jakie wycisnąłeś na interpretacjach, obraz literatury w Twoim wydaniu okazał się nowy i wiele mówiący. Choć przemawia przez Ciebie pewna zaciekłość – powiedzmy ideowa – co widać i w *Dzienniku kwarantanny* – nigdy nie sprowadzasz swojego wykładu do zwykłego wygrażania pięścią. Na szczęście. Serdecznie Cię pozdrawiam –

Twoja Marysia Jasnorzewska-Pawlikowska (w rzeczywistości Julian Kornhauer; skąd ta kontaminacja, zob. *Dzieło nieczyje*, s.32 – przyp.T.B.), która lubi Twoje pełne pasji pisarstwo.

No tak. Jeśli jednak trzeźwo patrzę z twardego dna snu na *Dzieło nieczyje*, nie widzę spełnienia. Widzę szkielety książek, jakich nie napisałem: o Kijowskim, o łodolamaczu „Stanisław Czycz”, o obojgu Iwaszkiewiczach, i o sekretach umarłych u Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Czy kiedykolwiek zdołam je napisać, jedną lub wszystkie? Trwodze nieczystego sumienia podaje rękę wątpla nadzieja.

Mowę swoją pomatu kończę. Co to właściwie było? – pytają Państwo. Kiedy we wrześniu ubiegłego roku tkwiłem w martwym punkcie iście costaguańskiej przestrzeni, zamierzałem, pod wpływem rozczarowania i furii, zmienić tytuł *Dzieło nieczyje* na bliższy naturze czasów: *Towar jak inne*. Gdybyście się utrzymało w obowiązującym trendzie i być cynicznie szczerym, należałoby moje dzisiejsze wystąpienie przed Państwem nazwać „Autoreklamą”.

Dziękuję moim bliskim i wszystkim Państwu za przybycie i uwagę; pani Elżbiecie Kijowskiej za przydanie blasku moim niegodnym tekstom, Antoniemu Liberze zaś, iż swoim wprowadzeniem zechciał okazać niezdawkowe zainteresowanie i bardzo szczerą przyjaźń temu tu autorowi.

Tomasz Burek

Jan Różewicz

Kilka słów o Tacie¹

Szanowni Państwo – to słowa, które trudno mi napisać. Żałuję, że nie wygłaszamy ich osobiście – Mój Ojciec ani ja. Zapewniam, że to nie lenistwo, czy brak odwagi powstrzymały nas od przyjazdu tutaj. Odwaga, czasem nierozsądna, jest przyrodzona Tadeuszowi Różewiczowi. Ojciec starał się ją czasami hamować, ale zawsze bezskutecznie. Pojawia się ona w doborze tematów twórczości, poszukiwaniu nowych form, ucieczce przed łatwymi rozwiązaniami – wreszcie w nieukrywanej niechęci do wszelkich pompatycznych przejawów naszego życia kulturalnego. Splendor i zaszczyty nie są przez Różewicza całkowicie odrzucane, ale najwyraźniej męczą go. Widać to było zwłaszcza w różnych formach ucieczki, jakie stosował, próbując zredukować udział w uroczystościach obchodów swoich 80. urodzin.

Przez długi czas Ojciec walczył o prawo do tworzenia swojej własnej sztuki, własnej, ale mającej możliwie najszerszy krąg odbiorców. Walczył ze sobą, ze swoimi przeciwnikami i przyjaciółmi, z krytyką, cenzorami... nawet trochę ze mną. Bo muszę Państwu przyznać, że zawsze byłem miłośnikiem poetyk bardziej barokowych niż asceza i precyzja słowa, jaką osiągnął w swojej twórczości Tadeusz Różewicz. Jednak każda walka ma swoją cenę – szeregi przeciwników, nie zawsze stosujących czyste chwyt, nie maleją od niej. Również sam walczący zmienia się, jego instynkt samozachowawczy zaczyna mu doradzać pewną nieufność i rezerwę nawet wobec ludzi mu życzliwych i drogich.

Bezsensowne etykiety nihilisty i ateisty wloką się za Ojcem od kiedy pamiętam. A przecież... bardzo wyraźnie trzeba powiedzieć o Różewiczu jako o moralistcie. W momencie kryzysu, jakim był świat po ludobójstwach drugiej wojny, podstawowe związki rodzinne, przyjaźń, etos rzetelnego spełniania obowiązków, uczciwość stawały się zasadniczymi sprawdzianami moralności. Była to moralność nie dotykająca transcendencji, pozbawiona metafizycznych uzasadnień.

Ona jednak stawała się probierzem działania i stwarzała możliwości do określenia świat wartości. Nie poddawała się absurdowi – choć absurd jako pojęcie jest w twórczości Ojca bardzo ważne. Ta strona pisarstwa Różewicza jest istotna i z innego punktu widzenia: oddziałując poprzez lektury szkolne stała się doniosłym aspektem społecznej pedagogiki. O lekturach szkolnych piszę z premedy-

¹ Tekst wygłoszony w Delhi w Indiach z okazji 80. urodzin Tadeusza Różewicza.

tacją, bo sprawa tyle poważna, co zabawna. Różewicz, jako jedyny znany mi autor, bronił się rozpaczliwie przeciw umieszczaniu jego wierszy i dramatów w kanonie lektur szkolnych. „Nie piszę dla dziatwy” – wołał. A dziatwa to u niego pojęcie dość szerokie, obejmujące wszystkich, którzy nie ukończyli 50 lat życia. Tu jednak nie o ważność i osobność własnej poezji chodziło. Po prostu, w okresie różnych egzaminów telefon Ojca zaczynał urywać się od próśb i pytań: „Proszę Pana jestem (Ania, Władek, Marysia itd.), chodzę do klasy siódmej, nie mógłby Pan w skrócie wyjaśnić mi o co chodziło Panu w...” – tu następują tytuły licznych wierszy i dramatów. Okazuje się, że rewolucyjny IV system wersyfikacji (zwany różewiczowskim) bywa dla uczniów i nauczycieli trochę za trudny. I tak twórca cierpi za własne zasługi. Chciałbym jeszcze napisać o zjawisku tak trudnym jak tropiony przez lata ateizm Różewicza – przyznam się, że mnie samego, kiedy słyszę te glosy, ogarnia „śmiech pusty i trwoga”. Przytoczę więc myśl znakomitego badacza literatury i poety Edwarda Balcerzana – „Bóg Różewicza istnieje i nie istnieje, rodzi się i umiera, opuszcza nas i bywa przez nas opuszczany, jest Bogiem osobowym i Bogiem, który jak w starej poezji metafizycznej uobecnia się poprzez naprężoną aż do granic sprzeczność, dającą się wyrazić tylko w formie antytezy: «życie bez boga jest możliwe/życie bez boga jest niemożliwe» – zwątpienie i wiara stają tu obok siebie a ich kolejność jest także wymowna”.

Proszę Państwa moja krótka przemowa nie zawiera rozważań o licznych realizacjach sztuk mojego Ojca ani o esejach, które mu poświęciłem. To wypowiedź osobista i w tym tonie pozwolę ją sobie zakończyć.

Indie są krajem tajemniczym, zacytuję więc dwa swoje wiersze, o których Ojciec powiedział, że tkwi w nich pewna tajemnica dotycząca stosunków ojca i syna:

Zjawiasz się o takich porach
 że nie możemy porozmawiać
 – powiedział Ojciec –
 był mądrzejszy
 ale bilem go w smutku
 byłem jak Pan w Ogrójcu
 Nędzni z nas poszukiwacze
 pór do rozmów, tato
 Ty wiesz i słyszysz
 ja słyszę i wiem

Brak w nas ciekawości...

Idzie przez moje serce
 Stary Ojciec
 wymachuje laseczką Prospera
 jakby nie dźwigał
 osiemdziesiątki na karku
 nie dorobił się w życiu domu
 ani złotego zegarka
 – ale idzie pod ramię
 z piękną kapryśną Panią
 której na imię Wielkość

(jest to parafraza wiersza Tadeusza Różewicza o swoim Ojcu)
 Dziękuję Państwu w imieniu Ojca i swoim –

Jan Różewicz

Leszek Szaruga

Lekturnik (5)

„MOJE KOCHANKI” Bogusława Kierca (Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2001) to książka, która jest przede wszystkim hołdem złożonym Julianowi Przybosiowi: rzecz na czasie, gdyż w 2001 roku minęło sto lat od urodzin autora *Równania serca*. To kolejny tom Kierca temu poccie – tym razem nie tylko jemu – poświęcony: przed laty ukazał się szczupły zbiór *Przybós i...* (1976), później zaś *Wzniosły upadek anioła* (1992). W posłowniu do tego ostatniego pisał Andrzej Falkiewicz, iż jest to książka ważna ze względu na fakt, że „w głośniejszej nigdyś, a dziś przebywającej w kulturowym czyścisku i pozornie zapomnianej twórczości poety wychwytuje nadal żywotne to, co, jak się wydaje, niebawem powróci do wielkiego kanonu polskiej poezji, zmieniając niektóre z poetyckich notowań”. Cóż – owo przywracanie rangi Przybosia wydaje się procesem wciąż jeszcze trwającym, wcale nie łatwym. Swego czasu, w jednym ze swych ostatnich szkiców publikowanych na łamach „Polityki”, opowiadając się po „stronie Przybosia”, już w tytule prowokował Zbigniew Bieńkowski: *Co mi tam Miłosz!* Gdy zaś zwrócić

uwagę na fakt, iż wskazane przez Jana Błońskiego w głośnym esejku *Bieguny poezji* opozycyjne krańce polskiej liryki oznaczone zostały nazwiskami Miłosza i Przybosia (sam szkic i polemiczne głosy Balcerzana i Lema opublikowane zostały w tomie Błońskiego *Odmarsz*, 1978), wówczas nietrudno pojąć, dlaczego można dziś chyba mówić o „sprawie Przybosia”. Ostatnio zresztą powrócił do niej Miłosz pisząc o tym, że być może „nadmierna gęstość języka u Przybosia była reakcją na nadmierne rozluźnienie języka jego poprzedników” czyli poetów młodopolskich (szkic *Od początku tamtego stulecia*, Plus-Minus nr 12/2002).

Nie ulega wątpliwości żywotność nurtu awangardowego we współczesnej literaturze polskiej, lecz jest to żywotność jak gdyby utajona, a w każdym razie niedostatecznie postrzegana. Zresztą i sam Kierc zdaje się na swój sposób bagatelizować kwestie dla awangardy fundamentalne. Pisze bowiem: „Jeśli przedmiotem czytelniczego zachwytu bywają język poetycki, organizacja i harmonia struktur wyrazowych – nie znaczy to, że ambicją poety jest właśnie wirtuozeria władania tymi strukturami. Mimo że sami poeci często tak utrzymują (...) Ale w istocie – najmisterniej skomplikowana obróbka artystyczna służy wdzieraniu się i wdrażeniu w «ciemność najskrytszą», w to, co bez aktu poetyckiego nie mogłoby być wydobyte z duszy człowieka, z ciemności czy światła świata, z... niczego”. W gruncie rzeczy mowa tu o tym, co w *Świadectwie poezji* staje się przedmiotem refleksji Miłosza: „Być może w każdym poecie kryje się dobry rzemieślnik, stąd marzenie o materiale już uporządkowanym, z gotowymi porównaniami i metaforami o cechach archetypalnych, tak że są powszechnie uznane i znajdują oddźwięk; co wtedy pozostaje, to praca cyzelatorska w języku”. Tej postawie, której zagraża „pokusa rezygnacji, czyli pięknego pisania”, przeciwstawia autor „logikę sztuki nowoczesnej”: „Zostaliśmy wyrzuceni poza orbitę uładzonego przez konwencję języka i skazani na próby niebezpieczne, ale przez to zostajemy wierni definicji poezji jako «namiętnej pogoni za Rzeczywistością»”.

W gruncie rzeczy, wydawać by się mogło, nie ma tu żadnej sprzeczności: „obróbka artystyczna”, „praca cyzelatorska w języku” równie dobrze służyć może utrwalaniu gotowych wzorców (i takich właśnie poetów Platon wypędzał ze swej Republiki), jak podejmowaniu owych „prób niebezpiecznych”. „Nic”, które pojawia się u Kierca (tak blisko przecież spokrewnione z „Nic” Różewicza) jest w ostateczności synonimem Rzeczywistości. Więcej: jeśli odwołać się do doświadczeń mistyków, dowiemy się o rzeczywistości, iż byt objawia się w serii paradoksów: „Wcale nie najpośledniejszym spośród nich – czytamy Gershoma Scholema – (...) jest ten, do którego uciekają się chętnie zarówno mistycy żydowscy, jak i chrześcijańscy, opisujący Boga jako mistyczne Nic”. Tym tropem zresztą podąża Kierc, gdy ostatni rozdział *Wzniesłego upadku anioła* – poświęcony *Piosence* Przybosia – tytułuje *Próżnia*,

czyli *pełnia*. Myślę, że idąc dalej i odnajdując zakorzenienie tej liryki w poezji Mickiewicza, musiałby dojść do *Zdań i uwag*, a zatem i do Anioła Ślązaka, i, oczywiście, do Mistra Eckharta. W tym kierunku też prowadzą cytaty z samego Przybosia: „Nic przed – i zaistniało” (*Zanim minęło*) czy „Przywalony kamieniami widzę nic” (*Znak dodatni*). Nie miejsce tu na rozwinięcie tych spostrzeżeń, sygnalizuję jedynie zarysowywane przez Kierca pola interpretacyjne.

To zresztą linia, która się w eseistyce Kierca coraz wyraźniej uwidatnia – zarówno w świetnym szkicu o Rafale Wojaczku, jak w odnawianiu znaczeń dramaturgii Helmuta Kajzara (w dialogu z Różewiczem), jak wreszcie i w zafascynowaniu poezją Jerzego Ficowskiego; w tej przestrzeni, sądzę, warto też umieścić lirykę Ryszarda Krynickiego. W *Moich kochankach*, podobnie jak we wcześniejszych zbiorach, konstruuje Kierec konsekwentnie interesującą konstelację współczesnego pisarstwa polskiego, której centralnym punktem odniesienia jest poezja Juliana Przybosia – jest oczywiste, że w tej przestrzeni odnajdziemy „poezję słowa” Bolesława Leśmiana i zmaganie się z potęgą języka w poezji Tymoteusza Karpowicza. Co zresztą interesujące, w tym ujęciu znikają powoli dawne przeciwieństwa i napięcia. Bo przecież jeszcze w 1937 roku polemizował Leśmian z awangardą pisząc w *Traktacie o poezji*: „Zjawia się właśnie szkoła, która twierdzi, że należy pisać nie wyzwolonymi słowami, lecz ideowo skomponowanymi zdaniami, tak, aby treść pojęciowa górowała w zdaniu nad nieusamodzielnionym słowem. Słowo chętnie znika w ideowej całości zdania, pozostawiając pierwszeństwo temu ostatniemu. Tego rodzaju poezja pragnie nas czarować nie magią słów, lecz treścią zdań. Ma nawet pogardę dla magii słów”. Cóż – ta polemika z programowymi wystąpieniami Peipera tylko w niewielkim stopniu może dotyczyć Przybosia, który wszak z rygorów peiperowskiego reżimu się wyzwolił, choć bez wątplenia tu właśnie terminował. Kierec zresztą przekonująco dowodzi, jak bardzo właśnie „magia słowa” jest podstawowym żywiołem liryki Przybosia.

O tyle mnie to zastanawia, że sam do końca nigdy do Przybosia przekonać się nie potrafiłem. Owszem – nie mam zamiaru kwestionować jego mistrzostwa, lecz zarazem wydaje mi się, że jest on Adrianem Leverkühnem polskiej liryki, że jest w nim jednak coś zimnego, bezdusznego, to dążenie do doskonałości, do – jednak – perfekcyjnej wirtuozerii formalnej wydaje się na swój sposób paraliżować dynamikę obrazu. Kierec jakby zdawał sobie sprawę z tego niebezpieczeństwa. Nie przypadkiem w końcu wypowiada zdanie, które w cytowanym wcześniej fragmencie eseju pominąłem: „To prawda, że bogactwo formalne jego poezji zdaje się potwierdzać wirtuozowską teorię mistrzostwa. Ale w istocie – najmistrzniej skomplikowana obróbka artystyczna służy wdzieraniu się i wdrążaniu w «ciemność

najskrytszą», w to, co bez aktu poetyckiego nie mogłoby być wydobyte z duszy człowieka, z ciemności czy światła świata, z... niczego”. Powtarzam cytat, by zastanowić się nad innym jego fragmentem: nad kwestią owej „duszy człowieka”.

Pisze Kierec – nie bez powodu: „Chcę być właściwie zrozumiany: nie jest moim zamiarem jakieś pośmiertne nawracanie Juliana Przybosia. (...) Tutaj chodzi mi o uchwycenie konkretności Przybosioowego doświadczenia mistycznego, a pomoc takich mistrzów, jak owi Święci Karmelu, Jan i Teresa, czy Mistrz Eckhart albo mistrzowie zenu – właśnie w ich konkretności się sprawdza. Doświadczenie bliskości wizji i wiary jest doznaniem granicznym, iluminacją przełomową”. Cóż – wizyjność liryki Przybosia nie da się zakwestionować, zaś jej interpretacja dokonana przez Kierca wydaje się przekonująca. Lecz także trudno zaprzeczyć temu, iż iluminacja, z jaką mamy tu do czynienia jest wizją czysto artystyczną, dla której wiara jest jedynie analogią: utożsamić ich w żaden sposób się nie da. Przyboś zawarł pakt ze Sztuką Czystą dla powtórki nietzscheańskiego gestu wynoszącego człowieka ponad przyrodzoną mu kondycję, bez wątpienia też osiągnął artystyczną doskonałość, lecz... zrezygnował z duszy. I tu wypada nawiązać do Kierca: chcę być właściwie zrozumiany – nie jest moim zamiarem rozważanie stosunku Przybosia do problemów wiary i gdy przywołuję tu postać bohatera *Doktora Faustusa* Tomasza Manna, to jest to jedynie analogia, nic więcej; chodzi mi o to, iż ów Adrian Leverkühn zdolny był do podpisania paktu ze Złym dlatego właśnie, że przedtem zaprzedał się Sztuce, o czym też mówi w swym przedśmiertnym monologu: „Tak to, tak, druhowie mili, że sztuka na martwym utkwiała punkcie, że zbyt ociężała, że sama z siebie szydzi, że wszystko ponad miarę trudne się stało, a człek, biedne stworzenie boskie, drogi ni wyjścia żadnego w ucisku swym nie znajduje, toć niechybnie wina czasu. Gdy jednak który szatana zaprosi w gościnę, aby przewyciężyć i przelamać ową mitręgę, onże naraża duszę swoję, a brzemię win naszego czasu na własny kark bierze, aby na wieki był potępiony”. Przywołanie Złego nie jest, oczywiście, tym samym, co gotowość do jego wezwania; nie gotowość nawet, ile zdolność do takiej gotowości. Ale już sama owa zdolność jest wszak narażeniem duszy. Tu już jednak wykraczamy poza literaturę... Ale skoro jest to możliwe nawet w odniesieniu do muzyki, to dlaczego nie?

Wiem, że dotykam problemu niezwykle złożonego. Jedno nie ulega kwestii: nie da się utożsamić Przybosia z jego poezją i gdy o samej poezji mówimy, trudno jej rangę kwestionować. Jest jednak dla mnie rzeczą zastanawiającą fakt, iż właśnie poezja zakorzeniona w tej wersji nurtu awangardowego, jaką reprezentują Przyboś czy Zbigniew Bieńkowski – w wersji prometejskiego optymizmu – budząc szacunek dla swego mistrzostwa zdaje się jednocześnie być naznaczona bu-

dzącą dystans pychą wyabsolutnionego arcyzmu. To, rzecz jasna, tylko moje odczucie. I nie mam tu najmniejszego zamiaru kwestionować zachwyty Kierca dla tej poezji – sam ją wysoko cenię. Obawiam się jednak, że choć nie mamy w tym tomie do czynienia z „nawracaniem pośmiertnym Juliana Przybosia”, to jednak – świetne w argumentacji choć pełne emocjonalnego zaangażowania – odczytania tej liryki przez Kierca stanowią swoiste nadinterpretacje. Inaczej zresztą być nie może: w końcu *Moje kochanki* to rzecz o samego Kierca życiu sztuką – w tym życiu przygoda z Przybosiem odgrywa rolę szczególną, lecz przecież jego poezja to nie jedyna umiłowana autora.

Leszek Szaruga

Zbigniew Żakiewicz

Ujrzane, w czasie zatrzymane (14)

CZY SNY NAM SIĘ ŚNIA, CZY MY SNY ŚNIMY? – spytał mój N.N. dawno u mnie nie widziany. – Sprawa to zasadnicza, gdyż jeśli „coś się nam śni”, oznacza to, że jesteśmy opanowani i obezwładnieni przez tę nocną, nieraz bardzo sugestywną wizję. Czyli, że władza nami świat, który w jakiś tajemny sposób materiał doznań dziennych przekształca w inną rzeczywistość, bardziej realną, gdyż silniej doznawaną niżli za dnia. – Przeżywanie obejmuje całą naszą osobowość, sięga do najgłębszej naszej jaźni, za sprawą „się mi śni” wstępujemy do tajemnych sfer naszego życia, nie tylko psychicznego, ale też duchowego, dotychczas ukrytego przed nami i oto objawiającego się w niespodziewanej, nieraz wstydlivej nagości.

Rankiem długo wygrzebujemy się z tego intensywnego przeżywania, które było od nas niezależne – „bo się śniło”, a więc, ono było podmiotowe, myśmy zaś stawali się jakimś medium, w głębszym sensie przedmiotowi, i to „przedmiotowe” musiało śnione przyjmować biernie. Podobne to jest trochę do tego, jak

musimy przyjmować dary dnia codziennego, ten los naszej codzienności: od rannego przebudzenia się, jazdy gdzieś tam, spotkania się z kimś tam, pracy, aż po zapadnięcie w nocne uśpienie.

– Inaczej ma się sprawa – ciągnął swe niespodziewane wynurzenia mój, N.N. – gdy my śnimy! Oznaczałoby to, że jesteśmy panami naszych snów, podmiotowi i sny ulegają naszym kaprysom. Wiemy wówczas, że śnimy, gdyż mamy do tego dystans.

A widząc mój sceptyczny uśmiezek, mój N.N., tyknąwszy swoje ulubione, a dla niego specjalnie przechowywane cappuccino, również się uśmiechnął, ale wcale nie sceptycznie.

– Wiem, powiedział, że zechcesz udowodniać, iż cały ten podział i te komplikacje mają charakter typowo semantyczny. Bo zarówno wówczas, gdy mówimy, „że się nam śniło” czy też gdy rzeczymy, „że śnimy”, i tu i tam – j e s t e ś m y ś n i ą c y . A jednak ludzie bardziej pewni swego, nie biorący pod uwagę tych tajemnych pokładów życia duchowego, mówią: „śniłem” – kto śnił? – „Oczywiście – mówią – ja śniłem”, zapominając, że sam proces snu jest właśnie działaniem naszego mózgu n i e z a l e ż n e g o o d n a s z e j w o l i , o d n a s z e g o t r z e ź w e g o „ja”. Jak dowodzą psychiatrzy, potrzeba tego niezależnego działania naszego mózgu ratuje nas od szaleństwa! Prostuje ścieżki naszego duchowego życia. Te nocne bunty naszego mózgu pewne sprawy wyjaśniają i to często takie, które za dnia mocno nam dopiekły. Na przykład, sny erotyczne często rekompensują potrzebę miłości pełnej: duchowej i cielesnej...

– Zapytasz zapewne, czy są sny metafizyczne lub o charakterze religijnym? – spytał przewrotnie mój N.N., jako że uchodzę w jego oczach za etatowego metafizyka. – Otóż całą tę rozmowę sprowokowało moje nocne przyśnienie się. Zapewne nie był to sen wieszczcy, jak to często działo się w Starym i Nowym Testamencie, uprzedzający fakty czy coś nakazujący. Zresztą, kto tam wie...

– Znalazłem się w jakiejś nieznanej mi świątyni. Wierni tworzyli w niej coś w rodzaju sekty, chociaż samo to słowo nie padło, ani też nie było pomyślane. Sytuacja się wyklarowała, gdy trzeba było się przeżegnać. Oni się żegnali: „w imię Ojca i Syna” a gdzie – „Ducha Świętego?” Nagle, jak to bywa we snach, znajduję się na jakiejś otwartej przestrzeni. Wiem, że muszę ratować młodzież przed tą dziwną grupą ludzi, a są to ludzie dojrzały, starsi. Gromadzę młodzież w jakiejś ni to zagrodzie, ni to podwórzu. Mają tam żyć dni czterdzieści, czy też lat czterdzieści, jak Żydzi na pustyni, aż wymrze to pokolenie, które nie uznaje Ducha Świętego.

Następuje gwałtowny przeskok. Znow jestem w świątyni, ale innej. Wiernym sprawia wielki ból i przykrość ich biskup. Staruszek niewysoki, na oko przyjem-

ny, gdzieś ponad 90-letni. Czy to ze sklerozy, czy ze starczego uporu sieje zgorzienie w swym kościele. Pojmuję, że on również żegna się: „W imię Ojca i Syna”. Kierowany jakimś żarem wewnętrznym staram się go przekonać, aby zwywał również Ducha Świętego. Biskup się nawraca. Otrzymuje od wiernych kwiaty. I ja również mam w rękę mały biały bukiet.

Gdy się budzę, wciąż pamiętam ten mocny sen i dwa jego etapy z odrzuceniem Ducha Świętego. Zaraz po tym dzwoni do mnie Paweł H. Jest poruszony, gdyż również miał mocny sen. Też była to świątynia, ale taka spustoszona, jak kościół św. Jana w Gdańsku, w odbudowie. Stoi ona na górze, gdzieś w lasach oliwskich. Odbywa się tam uroczysta celebrowana poświęcona Adamowi Mickiewiczowi. Paweł w drodze na górę błądzi, spóźnia się. Wreszcie trafia na przerwę – w recytacji wierszy Mickiewicza? – wygłaszanych referatach o nim? Kościół jest pełny. Dostrzega mnie w grupie ludzi piszących, znajomych, siedzącego gdzieś w środku, po prawej stronie. Pyta mnie, o czym właściwie jest mowa? Stukam groźnie łaską i mówię: „Adam laje: dom bez Boga!”.

Co miało to oznaczać? – Zagmatwanie i niejasność, jak to we snach bywa. Aczkolwiek mój sen – skończył mój N.N. poważniejąc – z tym wątkiem niby sekty i później z biskupem, wydaje się być czytelny w odniesieniu do rzeczywistości dnia dzisiejszego.

ŚWIĘTOŚĆ NISZCZONA, WYDRAŻANA Z SACRUM, albo sprowadzana do folkloru czy zaprzeszłej historii...

W czas Wielkanocy wspominam dwa takie miejsca. Jedno w sowieckiej Moskwie, w styczniu 1965 roku, drugie w Bułgarii, w bułgarskiej Jasnej Górze – Rilskim monasterze, jesienią 1972 roku.

Trwa prawosławne Boże Narodzenie, z żoną pragniemy uczestniczyć w świątecznych obrządkach. Okazuje się, że w prawie dziesięciomilionowej Moskwie, działa kilka małych i niewidocznych z ulicy cerkiewek. Radzą nam abyśmy pojechali do cerkwi, która jest siedzibą patriarchy cerkwi rosyjskiej. Stacja metra taka a taka... Wsiadamy i nagle olśnienie: – po raz pierwszy słyszymy granie cerkiewnych dzwonów: tych z cienkim, szybkim głosikiem i tych z poważnym, niskim. W całej sowieckiej krainie zabronione jest dzwonicie, nawet tam gdzie ocalały dzwony, gdyż jest to przejaw nagannej propagandy religijnej. Również w katolickim kościółku św. Ludwika, będącego pod opieką ambasady francuskiej, naprzeciwko osławionej Małej Łubianki, katowni NKWD, widać w prześwicie dzwonnicy nieczynne od dziesięcioleci dzwony. A tu raptem taka niespodzianka...

Podchodzimy pod okazały budynek cerkwi wybudowanej na obszernym placu okolonym murem. Przed cerkwią pusto. Główne drzwi zamknięte na glucho. Również gromadzenie się wokół cerkwi jest zabronione: nie można agitować religijnymi pochodami. Ale dzwony dalej grają.

Wówczas dostrzegamy, że do bocznych małych drzwi stuka jakaś para wyglądająca na inteligentów. Drzwi się otwierają, po krótkiej rozmowie wchodzi do wnętrza. Czynimy to samo i po chwili młodemu duchownemu z piękną brodą tłumaczymy, że jesteśmy braćmi w chrześcijaństwie, z Polski i chcemy uczestniczyć w liturgicznych obrzędach Bożego Narodzenia. Duchowny bierze nasze paszporty, po dłuższym czasie wraca i wpuszcza nas do cerkwi.

Znaleźliśmy się tuż przed carskimi wrotami. Naprzeciw, w centralnym miejscu, na tronie, siedzi majestatyczny starzec z długą siwą brodą, przyobleczony w szaty liturgiczne: – Patriarcha Wsiejrusi. Po obu stronach stoją, podobni do aniołów, młodzieńcy, z długimi włosami do ramion, również uroczyście przyodziani. Rozglądam się wokół. Znajdujemy się za płotkiem, dopiero za nim kłębi się lud prawosławny, w większości „babuszki”, które mogły przybyć gdzieś ze wsi. Obok nas luźno stoją wierni (?), widać, że moskwianie. Na chórze w głębi cerkwi przepiękne chórálne śpiewy. Uprzedzono nas, że mogą to być soliści i chórzyci z Teatru Wielkiego. Kim są nasi sąsiedzi, okazuje się w momencie, gdy zza płotku „babuszki” podają małe naczynka z oliwą. Trzeba przekazać je do carskich wrót, do wiecznie palących się oliwnych lampek. Inteligenci nie wiedzą, co mają czynić z podanymi naczynkami.

Trafiiliśmy gdzieś pod koniec uroczystej liturgii. Następuje moment świątecznej homilii. Patriarcha powstaje i odczytuje z kartki tekst, który mógłby z powodzeniem ukazać się w „Prawdzie” (i możliwe że został tam streszczony), o walce o pokój i roli Związku Radzieckiego w tej walce. Wreszcie babinki i nawet niektórzy z naszej przegrody, dobijają się do patriarchy prosząc o błogosławieństwo dla siebie i podając małe dzieci.

Rozchodzimy się powoli i w milczeniu. Za chwilę ta garstka wiernych rozplynie się w wielomilionowej Moskwie, która zdaje się nie wiedzieć o tym święcie. To prawdziwe święto – „Nowy God” – już jest za nimi.

Jesienią 1972 roku, grupę zagranicznych pisarzy zaproszonych na zjazd pisarzy bułgarskich, zawieziono do Rilskiego monasteru. Zbudowany w XVIII wieku, nawiązując do tradycji narodowej, którą niszczyli Turcy, był przez wieki traktowany jako miejsce święte, jakby bułgarski klasztor Jasnogórski. Tu pochowano w 1943 roku cara Borysa III i do carskiego grobu pielgrzymował lud wierząc, że Borys jest święty. Ciało Borysa zostało zabalsamowane, a jego serce przechowywano w oddzielnej urnie. Na Wielkanoc 1946 roku władze komunistyczne

zabrały aluminiową trumnę. Po paru latach na rozkaz Dymitrowa ciało wydobyto z trumny, próbowano spalić je w kotłowni, ale nie chciało się zająć. Rozpalili więc stos na dziedzińcu, ale znowu się nie udało. Zapakowali więc szczątki do skrzyni na węgiel i gdzieś wywieźli.

Klasztor pięknie odnowiony leży w górskiej dolinie w paśmie Riły. Nie znając jego historii, spodziewaliśmy się jednak spotkać mnichów i usłyszeć słynne śpiewy cerkiewne. Klasztor okazał się być chłodny i sterylnie czysty, jak każde muzeum. Objaśniano nam cuda odrodzonej architektury bułgarskiej. Oglądając jakieś zdjęcia, nagle znalazłem się za filarem sam na sam z pisarzem z Mongolii. Pędzili oni przed nami samochodem, w dobrych humorach, gdyż jak to Mongołowie gorąco polubili bułgarską śliwowicę i rakiję.

Uderzony muzealną pustką monastyru, powiedziałem memu mongolskiemu koledze po piórze, że u nas klasztory dalej są klasztorami. Ten się zatrzymał, uważnie mi się przyjrzał i począł wyłuszczać, jak komuniści u nich, w Mongolii, wymordowali wszystkich mnichów buddyjskich i zniszczyli buddyjskie pagody. „Monachów było mnogo, oczeń mnogo” – a wśród nich moi stryjowie, wujowie i krewni... Widząc zbliżającego się kolegę, Mongoł uściśnął mi rękę i tak się rozeszliśmy.

Zbigniew Żakiewicz

RECENZJE

Piotr Piaszczyński

W poszukiwaniu trwałości

Jest luty, ciepły i wietrzny. Po niebie pędzą – z zachodu na wschód, jest to kierunek tęsknoty – podobne do całunów, ciężkie, szare chmury. Otwieram książkę, z którą się nie rozstaję od paru dni i czytam:

płyną płyną obłoki
ponad nami ponad czasem
płyną płyną obłoki
jak wielkie lodowe góry

Powraca dawny znany z Miłosza i Krynickiego motyw. Tytułowe słowo „obłoki” refrenicznie powtarza się w prawie każdej z siedmiu strof. Wiersz przypomina konwencję pieśni, ale nie chce stać się nią do końca. Brakuje rymów (które, przyznaję, chętnie bym tu widział), a rytm stale ulega zachwianiu (7, 8, 9 i 10 sylab w poszczególnych wersach). Autor unika łatwych efektów. Mimo to wizja rozbrzmiewa znajomą muzyką smutku.

Obłoki... jak każdy symbol są czymś więcej niż tylko samym przedmiotem czy zjawiskiem. Marian Stala na marginesie słynnych *Obłoków* Miłoszowskich zanotował trafnie: „Obłoki obdarzone zostały przez poetę fundamentalną wieloznacznością. Są obrazem jakiegoś porządku zewnętrznego wobec człowieka, ale zarazem należą do jego wnętrza, współtworzą jego duchowy krajobraz”. Podobnie i w tym wierszu: droga wiedzie od czysto estetycznej konstatacji ku wielkiemu uogólnieniu. Obłoki poprzez to, że stale są w ruchu, „biją biczem chłodu po plecach/zostawiają rany na zawsze”, wydają się być wyzwaniem, metaforą ludzkiego losu. Aż, w ostatniej strofie, dochodzi do pełnego z nimi utożsamienia:

plyniesz bo płynąć chciałeś
na zawsze bez żagla i wiatru
wysoko wysoko odważnie
jak kropla nieziemskiej mgły

Autorem cytowanego utworu jest Julian Kornhauser, a pochodzi on z jego najnowszego tomiku zatytułowanego *Było minęło*. Oryginalnie zaprojektowana okładka

(przez Agnieszkę Herman) skrywa zaledwie dwadzieścia dziewięć wierszy. Niewiele, jeżeli się zważy, że od publikacji poprzedniej książki poetyckiej minęło pięć lat. Ale Kornhauser, bez wątpienia, już dawno porzucił był wszelką w poezji doraźność i zasiada, myślę, do czernienia papieru „rzadko i niechętnie”, gdy to konieczne z jakichś innych, głębszych powodów. Poza tym, po lekturze znakomitego wiersza *Od Whitmana do Dylana* (powstałego zapewne jako echo głośniejszej antologii Stanisława Barańczaka) odnoszę wrażenie, iż autor – wcześniej optymista w tej dziedzinie – zwątpił chyba w moc i posłannictwo poezji.

Dzieje się tak, ponieważ wszystko zamieniono „w beton”. I to zarówno na wysokim poziomie „piękności, północy, przywidzeń”, jak i w przyziemnej sferze rzeczy małych, banalnych, zwyczajnych, którym poeta poświęcił pierwszą część tomiku zatytułowaną *Szkiełko*. W ich „dziejach” jedynie on – poeta był w stanie dostrzec mechanizmy rządzące dzisiejszym światem. Świetnym, i przygnębiającym, tego przykładem jest właśnie owo tytułowe *Szkiełko*, szczątek minionej, scalonej i sensownej rzeczywistości. Niegdyś „należało do szklanki/ach to były czasy”, a „świat wydawał się/taki czysty i szlachetny”:

teraz pozbawione całości
ze śladem ludzkiego bólu
wpada w przepaść kubła
i rozsypuje się w nicość

Podobnych cech doszukać się można w *Guziku*, co „dawniej trzymał się mocno/chodził dumnie wyprostowany/i zapięty//a teraz/aż żal patrzeć”, a nawet w *Masle*, które kiedyś „śpiewało/na całą kuchnię/człowiek robił się od rana wesoly/chciało mu się żyć”.

Jeżeli zaś od tych trenów wyśpiewanych dawnej świetności drobiazgów wznieść się wyżej ku – zdawałoby się – wartościom duchowym, intelektualnym (jak w wierszu *Księgarnie*), nie w zasadzie się nie zmieni. Także i w te rejony wkrada się dysonans; są to ogrody „nieplewione”. Ich muzyka brzmi fałszywie, bo brak tu ładu i harmonii.

Kornhauser stawia światu bardzo surową (ale czy istotnie niesprawiedliwą?) diagnozę. Równie mało pocieszająca wydaje się kondycja człowieka: marzy, by być jak obłok, lecz przeznaczenie jego to „Błąd, błędzenie, błędne koło”. Ani się z tego wyplątać, ani naprawić, gdyż zawsze „Na horyzoncie majaczy/błędny ognik, oślepiający/korektora”.

Na wspomnianej okładce pod czerwonymi (to – jak wiadomo – kolor życia) literami nazwiska autora widzimy pęknięty kamień (a raczej: głaz) z odcisniętym w nim śladem stopy. Poniżej tytuł (charakterystyczne: pomiędzy „było” a „minęło” nie ma

przecinka), a w to wszystko wkomponowana reprodukcja jednego z rękopisów. Jakże trafnie i przenikliwie streszcza to przesłanie książki. O ile bowiem w jej dwu pierwszych częściach poeta biadał – w klasycznym tego słowa znaczeniu, choć w nowocześniejszej formie różewiczowskiego wiersza – nad marnością naszych czasów, to w części trzeciej (cyklu pt. *Elegie edmontońskie*, będącym prawdopodobnie literackim pokłosiem pobytu w tym mieście) chodzi o coś nieco innego. Nazwałbym to upartym poszukiwaniem trwałości, punktów oparcia w chaosie współczesności. Nie przypadkiem chyba, i może za sprawą pierwotności kanadyjskiego pejzażu, z zaskakującą konsekwencją posługuje się tu Kornhauser archetypicznym, toposowym motywem ruchomej wody, rzeki. Żywioty wszak: obłoki (czyli: powietrze), ogień, woda najłepiej i najdramatyczniej oddają istotę naszego ziemskiego bytowania.

Żyjemy „Nad wodą i w wodzie, na wodzie...” Nie tylko spoglądając na wodospad czujemy się „turytami strachu, filozofami głębi”. Mijamy „raz dwa”. Wędrujemy w z góry określonym kierunku, a pod stopami chrzęści nam „drobny żwir na drodze do doliny”. To wszystko prawda, gorzka i melancholijna, wynikająca chociażby z samej natury gatunku, jakim jest elegia. Niemniej jednak istnieją również, w kontekście zarówno artystycznym jak i egzystencjalnym, rzeczy i zjawiska przynoszące pociechę, ukojenie. Mówi o tym najpiękniejszy w moim przekonaniu wiersz całego tomu pt. (a jakże!) *Nad rzeką*.

Język, dom (ważny motyw w twórczości Kornhausera), drzewo... Mosty, dachy, „muzyka/ciepła, dobrych słów i pieszczot”. No i ukochana osoba, za którą liryczny podmiot tęskni z dalekiego kontynentu, jej ramiona i głowa złożona na poduszce są wartościami pozwalającymi myśleć z optymizmem o „wschodzącym słońcu i dziecięcej, otwartej miłości”, o przyszłości „Nagiej i wolnej”. Pozwalają one też – jako obrona przed dojmującym poczuciem *vanitas* – widzieć czas, a szczególnie zanurzonego w nim człowieka, jako coś stałego, niezmienną zmienność.

Było minęło to ważna i głęboka książka. Obojętne, czy autor pochyła się w niej nad kawałeczkiem szkła, dziecięcym bucikiem, czy też wpatruje się w burzliwy nurt „tyśiącletniej rzeki”, za każdym razem otrzymujemy utwory, które coś nowego mówią o świecie i naszym w nim miejscu. Wiersze, na pierwszy rzut oka niezbyt efektowne, które jednak wymagają więcej niż pojedynczej lektury, odsłaniając przed czytelnikiem zaskakujące i zmuszające do refleksji znaczenia. Dla mnie jest to najlepszy (sprawdzony) dowód na to, iż jest to wybitna poezja.

Piotr Piaszczyński

Julian Kornhauser, *Było minęło*, Wydawnictwo Nowy Świat, Warszawa 2001.

Piotr Michałowski

Od światowania ku światologii

Wydane w 1999 roku *Światowanie* mogło być ostatnią książką Kazimierza Brakonieckiego, konsolacyjnym zamknięciem obsesyjnie prowadzonej przez niego poetyckiej archeologii tożsamości. Jednak pojawiła się następna, dwukrotnie grubsza, która rozwija ten sam wątek, przemawiając podobną stylistyczną i tematyczną polifonią a miejscami nieco rozpasaną logoreą, będąc kolejnym „zamachem na wszystko”. Jednak *Światologia*, do czego zresztą zobowiązuje naukowo brzmiący tytuł, jest dyskursem bardziej zdyscyplinowanym, który pozwala łatwo wyodrębnić przenikające się wątki i rozpoznać racjonalne między nimi relacje.

Sytuację ramową wyznacza tu już nie rowerowa wycieczka po Warmii, ale miesięczny pobyt autora we Wiedniu, co przenosi ciężar refleksji z tożsamości lokalnej na tożsamość Europejczyka. W punkcie wyjścia jest to dziennik podróży, *itinerarium* z przechadzek po ulicach i zabytkach. Ten podstawowy plan rozwarstwia się dzięki asocjacom geograficznym i historycznym. Horyzont czasowy przesuwają w głąb fragmentaryczna narracja pamiątkarska ze wspomnieniami przeszłości prywatnej i historyczna z dziejami Europy; horyzont przestrzenny rozszerzają natomiast wspomnienia innych odwiedzanych wcześniej miejsc. Podróż staje się kolejną inicjacją, a Wiedeń – mniej lub bardziej przypadkowym miejscem życiowych przewartościowań i remanentów świadomości, służącym przede wszystkim za pretekstualną scenę rozważań. Plan dziennika (zresztą konsekwentnie pozbawionego dat) obrasta jeszcze w przeróżne bluszcze i kłęczka, także inkrustacje intertekstualne, co zbliża *Światologię* niekiedy do poetyki sylwy, eseju i poematu dygresyjnego, ale ponadto wskazuje na jakąś formę w swej totalności nieosiągalną, dla której nazwą gatunkową może być tylko nazwa własna tomu. Brakoniecki jednak uprzedza i unieważnia poszukiwania jakiejś „formy bardziej pojemnej”, wyznając, że idea jest raczej samopoznanie, a efektem – brulion. Gdyby nie ta dygresja autotematyczna, mógłby zostać uznany za kolejnego wielkiego sylwistę: „Spontanicznie zapisuję te myśli-doznania, te monady-olśnienia, zupełnie nie martwiąc się o ich znaczenie, odkrywczność, banalność, rygor intelektualny. Służą mi do poznania samego siebie, nie są informacjami o świecie, które można zweryfikować, ale moim wewnętrznym doświadczeniem świata. I tylko o tyle są ważne, o ile tworzą pamiętnik moralno-egzystencjalny”.

Nie ma jednak powodu, by tej konfesji uwierzyć do końca, gdyż parę stron dalej czytamy już o „usensawnianiu świata”, „oblaskawianiu go”, a te procedury wybiegają poza prywatny użytek i trudno w nich nie dostrzegać walorów intersubiektywnych.

Formułę książki wyjaśniają inne zdania, już nie tak beztraskie i oczywiste: „Światowość życia (światożycia) wynika z akceptacji rzeczywistości zewnętrznej i wewnętrznej,

które w jednej komunikacji egzystencjalnej (świat staje się mną, ja światem, immanentna transcendencja) tworzą transcendencję istnienia. Nowy realizm (antyplatoński z zasady), to ekspresja światologii, która jest znakiem doświadczalnej metafizyki świata". Zagłębiając się w lekturę wpadamy w misternie utkaną siatkę pojęć, trudnych relacji i tautologii, a więc w pajęczą pułapkę, której ośrodkiem jest właśnie „światowanie”, „światologia” albo „światożycie”. Te nakładają się na kategorie zdefiniowane we wcześniejszej twórczości poety: „konkret metafizyczny”, „metafizykę doświadczalną”, „żywoty”, „narracje”, „wcielenia” „metafizykę miejsca” i „jednię”. Mnożenie quasi-naukowych terminów do budowania prywatnego świata idei, czy autorskiej metodologii pisania, może ludzi spójnością filozoficznego systemu, ale ich zastosowanie w licznych nawrotach i parafrazach wskazuje wdzięczniejszy trop i pozwala potraktować jako swobodnie używane neologizmy poetyckie. Doświadczenie konkretnego jest w pełni przekazywalne i sugestywne, ale próba jego abstrakcyjnego uogólnienia w hasłach i aforyzmach zaznacza granicę niewyraźności. Zdania puentujące niektóre rozdziały *Światologii*, zatytułowane *Minima moralia*, wydają się zbyt enigmatyczne, czasem bliskie formułom magicznym i zamiast wyjaśniać to, co przed chwilą budziło w lekturze klarowną aprobatę lub opór, nagle mnożą wątpliwości jako wnioski wysnute nie wprost i luźno powiązane z treścią rozważań; z mostu dialogu spychają na powrót w interior obecności tekstu. Jeden z licznych autokomentarzy świadczy tu o celowo wybranej strategii porozumienia-nieodczytania: „Jestem mętny, dobrze to czuję, ale te niejasne czy zużyte wręcz słowa z pogranicza mistyki i autoterapii poetyckiej po prostu wyrażają jakoś moje nadzieje na transformację, na wykroczenie poza schematy wiary-niewiary”.

Choć nie warto przyjmować „światologii” za epistemologiczną metodologię „światowania”, to trzeba ją uznać za kolejny etap wyobraźni, powołującej do życia świat podmiotowo osławiany. Po Warmii i Bretanii przybył w nim trzeci punkt mistycznego trójkąta: Wiedeń, a z nim kolejna Atlantyda Przeszłości – Cesarstwo habsburskie.

Miejsce pobytu wyznacza centrum rozważań i uruchamia kalejdoskop tematów, wśród których są uprzywilejowane: znaczną część tomu wypełniają uwagi o samej Austrii, Galicji i Austrowęgrach – o decydującym wpływie Cesarstwa na losy Polski i znikomym na dzieje Europy. Niemniej Wiedeń okazuje się soczewką skupiającą wszystko to, co w wymiarze kontynentalnym drugorzędne i uboczne: tu narodziła się bowiem Europa Minor, czyli Europa Środkowa. Z tej racji stanowi także dogodny punkt obserwacyjny i punkt wyjścia do swobodnej podróży w czasie i przestrzeni, miejsce sprzyjające refleksji historycznej, historiozoficznej, geopolitycznej, etycznej, estetycznej, egzystencjalnej i osobistej.

Namacalne świadectwa historii: Pałac Lichtensteinów, skarbiec cesarski i galerie Wiednia zwiedzane są systematycznie i dokładnie, czego efektem jest kilka (nie tak wiele jak w eseistyce Herberta) analiz ikonologicznych poszczególnych obrazów, skłania-

ją do generalizujących porównań – np. stylu wewnątrz kościołów jezuitów i dominikańskich. Dużo miejsca zajmują kwestie wiary i religii – z jednej strony przywoływane zabytkami sakralnymi Wiednia (zwłaszcza budzącymi młodości relikwiami Katedry św. Stefana), z drugiej wynikające znowu ze wspomnień młodości, które były dramatycznym procesem poszukiwań Boga, kilku konwersji i zwątpień. W dogmatach katolicyzmu dostrzega poeta politeizm a wystąpienie Lutera porównuje z pierestrojką Gorbaczowa, gdyż konsekwencją był podobny rozpad imperiów. Interesuje go przede wszystkim dualizm chrześcijaństwa poreformacyjnego, stanowiącego podstawę dwóch jego zdaniem odmiennych cywilizacji (sic!), które wyraziście ilustruje polski dworek szlachecki, przeciwstawiony niemieckiemu domowi pastora.

Poeta nieustannie porusza się między małą narracją a pokusą narracji wielkiej. Jego raz po raz przypominany program „Po-Etyki” i „egzystencjalnej transcendencji” musi zakładać hybrydyczność formy: „Bardziej konkret niż symbol, bardziej dramat niż liryka, bardziej wizyjność i głębia niż rejestracja i opis (...) W odróżnieniu od małego realizmu – integralne wyrażanie świata; w odróżnieniu od realizmu werystycznego – realizm mitologiczny, głębinowy, metafizyczny, wielkie struktury pamięci, wyobraźni, umysłu”.

Podobnie jak było w przypadku *Światowania*, głosem do prozatorskiego tomu są cykle wierszy, rozwijające niektóre z motywów *Światologii: Lato 1941* elegijnie rozbudowuje wątek masakry w Jedwabnem i okolicach, *Wiersze wiedeńskie* podsumowują wrażenia z austriackiej stolicy i muzeów, których eksponaty przywodzą różne wycinki historii; repetycją wypraw do Bretanii są *Wiersze atlantyckie*; wreszcie ostatni cykl tworzą erotyki *Hannah*, bilansujące fragmentaryczną autobiografię miłości. O poezji Brakonieckiego pisałem już obszerniej, parokrotnie analizując jego tomiki; zdołę się więc jedynie na refleksję wynikającą z lektury prozatorskiego kontekstu. Właśnie tu wyraźna się staje szczególnie wymiana ról przypisywanych tej dawno podważonej opozycji stylów: oto wiersze są epicko przezroczyste i mimo metaforycznego języka, tematycznie zdyscyplinowane, podczas gdy proza miejscami ciąży ku poetyckiej komplikacji sensu, jest wielowarstwowa i bliższa spontaniczno-stochastycznej technice strumienia świadomości, płynącego przez wielotematyczne warstwy i uskoki dygresji. Oczywiście, w odniesieniu do przesłań poety, który tylko czasem tworzy prozą i wobec deklarowanej przez niego integralności doświadczenia pisarsko-egzystencjalnego, przeciwstawienie takie traci sens jako anachronizm. Poezja staje się synonimem życiopisania. Reszta jest tylko życiem.

Piotr Michałowski

Kazimierz Brakoniecki, *Światologia*, (seria *Odkrywanie Światów* pod red. Roberta Traby), Borussia, Olsztyn 2001.

Jerzy Jarniewicz
Zaułki wyobraźni

Księga zeznań to pierwsza opublikowana w Polsce powieść Johna Banville'a, uznanego zgodnie za jednego z najciekawszych współczesnych prozaików irlandzkich. Może dziwić tak długa nieobecność tego pisarza na polskim rynku wydawniczym i przekładowym, zważywszy na wyjątkowo sprzyjającą pogodę dla irlandzkiej kultury. Od wielu już lat szczególnym powodzeniem cieszą się przecież irlandzkie filmy, muzyka, a także głównie za sprawą noblisty, Seamusa Heaneya, współczesna poezja. Gorzej z najnowszą prozą, choć i tu można zaobserwować pewne zmiany. W ostatnim czasie ukazały się bowiem u nas ważne powieści z Irlandii, takie jak *Chłopak od rzeźnika* Patricka McCabe'a, *Czytając w ciemności* Seamusa Deana, *Pornograf* Johna McGaherna. Każda z nich była w swoim macierzystym kraju literackim wydarzeniem, choć w Polsce, trzeba przyznać, tytuły nie wzbudziły większego zainteresowania. Praktycznie bez echa przeszedł głośny debiut Franka McCourta *Popiół i żar*, mimo bezprecedensowego sukcesu na Zachodzie i powstałego na jej kanwie filmu Alana Parkera, *Prochy Anieli*. John Banville w tym zestawie zajmuje szczególne, osobne miejsce: zaliczany jest do nurtu prozy antyrealistycznej, której najwybitniejszymi przedstawicielami byli James Joyce, Samuel Beckett i Flann O'Brien. W wydaniu Banville'a nurt ten, stanowiący swoisty pomost między samoświadomą prozą modernizmu a literaturą ponowoczesności z jej upodobaniem do metafikcji, przeciwstawiany jest pisarstwu obyczajowemu, które z kolei, bliskie wzorcom angielskim, reprezentują choćby wspomniany McGahern, wielokrotnie u nas wydawany Brian Moore, czy William Trevor.

Twórczość Johna Banville'a jest wyraźną próbą polemiki z głównym tematem literatury irlandzkiej, jakim jest oczywiście historia Zielonej Wyspy, a w szczególności jej najnowsze, polityczne dzieje. Banville, w geście przypominającym swoich mistrzów, emigrantów Joyce'a i Becketta, ucieka od tego, co wydaje mu się doraźnością i zaściankowością literatury irlandzkiej. Często zwraca się ku Europie, bohaterami swoich powieści czyniąc na przykład wielkich odkrywców: Keplera, Newtona, Kopernika. Pisze pod wyraźnym wpływem myśli francuskich egzystencjalistów.

Wydaje się, że głównym tematem prozy Banville'a jest rola wyobraźni i jej wpływ na postrzeganie rzeczywistości. Wobec obojętnego milczenia opuszczonego przez Boga wszechświata wyobraźnia staje się w powieściach Banville'a jedyną odpowiedzią, jakiej człowiek może tej dookolnej ciszy udzielić. Jeśli w świecie pozbawionym porządku i sensu, można wprowadzić ład, to zadanie to może spełnić tylko wyobraźnia.

Często jednak to rozpaczliwe poszukiwanieładu, które faktycznie jest narzucaniem praw innego rodzaju na wymykającą się ludzkiemu zrozumieniu rzeczywistość, kończy się klęską, kiedy wyobraźnia, pod postacią sztuki czy – pełniących podobną co sztuka funkcję – teorii naukowych, ujawnia swoją iluzoryczność i nie wytrzymuje konfrontacji z rzeczywistością.

Tematy te wracają w *Księżdzę zeznań*, której kanwą stało się głośne morderstwo popełnione w Dublinie kilka lat przed powstaniem tej powieści. Narrację wypełnia spowiedź mężczyzny, byłego matematyka, który próbując wykraść pewien holenderski obraz, należący kiedyś do jego rodziny, zabija spotkaną przypadkowo służącą. Próbując wytłumaczyć sobie to zabójstwo, dochodzi do wniosku, że za zbrodnię, niezamierzoną i niezrozumiałą, odpowiada jego obojętność wobec codzienności. Żyjąc w świecie fikcji literackich wyobrażeń, w świecie akademii i sztuki, a wreszcie w uporządkowanym świecie bogatego mieszczaństwa, bohater nie dostrzegał tego innego, nieuporządkowanego i obcego świata, który reprezentowała jego ofiara. Ginie ona przypadkiem, znalazłszy się między narratorem a obiektem jego pożądania.

Proza Banville'a, wyraźnie wyrastająca ze świata Dostojewskiego, przywołująca *Obcego* Alberta Camus, wykracza poza egzystencjalne dylematy stawiane przez obu tych powieściopisarzy – podszyta ironią i autoironią, kieruje swoje sceptyczne spojrzenie na samą siebie. Ironia ta potęguje się, kiedy czytelnik uświadamia sobie, że przecież opowieść zabójcy jest tak naprawdę opowieścią snutą przez samego Banville'a, a zeznania składane przed sądem są księgą, którą właśnie trzyma w ręku.

Jerzy Jarniewicz

John Banville, *Księżdzę zeznań*, przełożył Wojciech Fałarski, Świat Literacki, Izabelin 2001.

Rafał Moczko

Przemyslenie ikony

Czytelnicy ceniący eseje o sztuce pisane z wynikającym z olbrzymiej wiedzy znawstwem, pasją poznawczą i talentem literackim z przyjemnością sięgną po zasługującą na najwyższą ocenę i najlepszą rekomendację książkę Aleksandry Olędzkiej-Frybesowej *Patrząc na ikony. Wędrowniki po Europie*. Jednocześnie jednak osoby, które już wcześniej

zetrknęły się ze szkicami tej autorki, mogą się tą pozycją trochę rozczarować. Powodów takiej reakcji należy upatrywać w nagannym, a jednak coraz częściej praktykowanym sposobie wydania książki. Zanim zatem przejdziemy do superlatyw (których będzie znacznie więcej!), przyjrzyjmy się temu, na czym ten zbiór szkiców traci. Jak wynika z informacji zamieszczonych na stronie redakcyjnej, stanowi on „wydanie I w I.W. Pax”, co w przeświadczeniu niektórych odbiorców może zostać odczytane, jako sygnał, że mamy do czynienia z zupełnie nowym tomem esejów. Nic bardziej mylnego – książka ta została wydana po raz pierwszy w 1989 roku przez krakowskie Wydawnictwo Literackie, a porównanie obu edycji zastanawiająco zaskakuje. Okazuje się bowiem, że wydanie z 2001 roku zostało w stosunku do poprzedniego wzbogacone o pięć esejów, przy jednoczesnym pominięciu szkicu, od którego wziął tytuł cały tom i nieco zmienionym układzie całości. Zmiany dotyczą także ilustracji – obecnie kolorowych, wcześniej liczniejszych, oraz przytoczeń z Biblii – w obu edycjach pochodzących z różnych tłumaczeń. Rejestr zmian zamyka skorygowanie odmiany niektórych nazw miejscowych. Jak zatem widać, wydanie to nie nowe, lecz jedynie uzupełnione. W tym kontekście szkoda jest niedołączenie do drugiej edycji najmniejszej choćby przedmowy, w której autorka poinformowałaby czytelników o przyczynach i zakresie wprowadzonych zmian.

Wśród esejów, które wzbogaciły drugie wydanie książki, najbardziej interesująco przedstawia się – *Aktualność sztuki ikonicznej*. Zgrabnie wieńcząc książkę, stanowi on frapującą próbę odpowiedzi na pytanie dotyczące przyczyn „obserwowanego dziś powszechnie narastającego i niekwestionowanego zainteresowania (...) sztuką ikonyczną”. Autorka analizując to zjawisko stwierdza, że nie chodzi tu o przejściową „modę na ikony”, lecz raczej o odkrywanie w niej wartości i perspektyw, które sztuka zachodnia w swej ewolucji zatraciła. Opisując badany fenomen, stwierdza: „Istotne w tej sztuce (ikonicznej) jest to, że patrzący ma zawsze do czynienia z dominacją przestrzeni sakralnej i że zaproszony do niej – zostaje w nią włączony, staje się już nie widzem wycinka świata, ale uczestnikiem tajemnicy całego świata” (podkr. autorki).

Książka kończy się pytaniem nieomal retorycznym, bowiem po lekturze tomu odpowiedź na nie może być tylko pozytywna: „Może zatem tędy, przez głębokie przemyślenie ikony, wiedzie droga, która pomogłaby zebrać w całość nasz pokawałkowany świat, jego rozprysniętą wizję?” A jednocześnie pytanie to otwiera dalsze perspektywy dotyczące badania i przemyślenia przesłań utrwalonych w „sztuce ikonicznej”. Albowiem Olędzka-Frybesowa dowodzi, że człowiek współczesny zwłaszcza ten wychowany w duchu kultury zachodniej – staje wobec dokonań jej wschodniej siostry w poczuciu bezradności i zdumienia.

Bezradność wynika z braku dostatecznej wiedzy dotyczącej reguł i zasad, jakim została ta kultura podporządkowana. Natomiast zdumienie jest – zdaniem autorki – efektem poczucia stawania w obliczu dzieł, w których – co przy niedostatku wiedzy wy-czuwa się instynktownie – ukrywa się tajemnicze piękno, nawet jeśli w myśl obowiązujących współcześnie kanonów estetycznych niektóre z nich muszą zostać uznane za brzydkie. Poznawanie tych zasad i – w konsekwencji – coraz pełniejsze odkrywanie piękna zakłętego we fresku czy mozaice prowadzi do zachwytu. I to właśnie emanuje z tej książki – zachwyt, którym autorka dzieli się z czytelnikiem, i którym pragnie go zarazić. Chce pokazać, jak należy patrzeć i widzieć, oceniać i doceniać to, co zostało wpisane w ikonę.

Swój wywód eseistka komponuje po mistrzowsku przeplatając w nim uwagi teoretyczne z opisami kolejnych – precyzyjnie dobranych przykładów. Przybliżając odbiorcy odwiedzone przez siebie miejsca i napotykan tam arcydzieła architektury i sztuki wykłada prawidła, jakim podporządkowywali się przez stulecia anonimowi na ogół artyści – „semantyczna” kompozycja, odwrócona lub linearna perspektywa, kolorystyka tła, wygląd i wielkość postaci, ukształtowanie elementów krajobrazu, umieszczanie na jednym obrazie zdarzeń oddalonych od siebie w historycznym czasie to tylko niektóre z nich”. Jednocześnie jednak autorka uświadamia czytelnikowi, że poszczególni twórcy starali się w narzuconych im ramach poszukiwać rozwiązań pozwalających im na ożywianie zastalego wzorca – byli bowiem przekonani, że „przecież to właśnie z napięcia pomiędzy poczuciem wewnętrznej wolności a nieustępliwością kanonu może się rodzić iskra – słowo najbliższe prawdy”.

Autorka w dwudziestu szkicach kreśli imponującą perspektywę bizantyjskiej sztuki sakralnej, swobodnie przemieszczając się po rozległych przestrzeniach Europy w poszukiwaniu zapomnianych, niedocenionych zabytków. Odkrywane nierzadko w najmniej spodziewanych miejscach zachwycają kunsztem i pięknem, wabią tajemniczością, niosąc w sobie obietnicę zbliżenia do sfery *sacrum*, prawdy o świecie i ludziach czy sensu istnienia. Frybesowa umiejętnie i przekonująco, z wręcz detektywistyczną dociekliwością, poszukuje przyczyn i powodów, które wpływały na nadanie ostatecznego kształtu poszczególnym dziełom. Wykazuje się przy tym wielką erudycją, a jednocześnie daleko idącą ostrożnością, gdyż – jak zanotowała w szkicu opisującym ochrydzką bazylikę św. Sofii – „za mało znam obyczaje tego kraju, nie dość wiem, o czym mogą mówić głosy tego miasta: pozostają mi domysły”. Znając ograniczenia, jakie wynikają z oddalenia w czasie, różnic kulturowych, odmienności obyczajów i tradycji, eseistka wkracza jednak odważnie w fascynujący świat tej sztuki pytając o funkcje i znaczenia takiego czy innego „odbicia prawd teologicznych czy wyobrażeń plastycznych”. I tu dochodzimy do kolejnego aspektu, którego nie spo-

sób ominąć przy omawianiu zalet tej książki – uwag i refleksji o sztuce w ogóle. Rozsiane po całym tekście, wplatanie w zasadniczy wywód przydają mu dodatkowe uroku i wartości. Przykłady można by mnożyć – ograniczmy się do jednego cytatu, który wieńcząc esej poświęcony wykorzystywaniu psalmów w ikonografii Wschodu i Zachodu jednocześnie prowokuje do przemyśleń i weryfikowania dotychczasowych ocen i sądów: „Czy ikoniczna poetyka sztuki bizantyjskiej, zainteresowanie się nią i siła przyciągania dzisiejszego odbiorcy nie są przejawem sprzeciwu wobec owych wszechwładnych i uporczywie trwających kanonów renesansowych i postrenesansowych? Czy są może zatem przejawem sprzeciwu wobec sekularyzacji naszej kultury, której jesteśmy świadkami?”

Frybesowa ma doskonale wyczucie proporcji – opisując zabytek czy obraz dochodzi w analizie do poziomu, który pozwala na zobaczenie danego dzieła oczami wyobraźni (jaka szkoda, że książka nie została wyposażona w większą liczbę ilustracji!), a jednocześnie pozostawia w czytelniku niedosyt. Autorka jest także niezwykle taktowna – ukrywa się za swym tematem, zabiegając o to, aby nie eksponować nadmierne własnej osoby, a jedynie umożliwiać czytelnikowi zbliżenie się do utrwalonych w słowie obrazów, które od wieków niezmiennie spoglądają na nas z cerkiewnych ścian. Spoglądają, bowiem – to jeszcze jedna z żelaznych zasad sztuki ikonicznej – „postać ostentacyjnie nawiązują kontakt z widzem. Jeśli nawet z układu ciała wynikałoby co innego, zwracają twarze ku niemu i zdają się patrzeć mu w oczy”. I jeśli ktoś chce się dowiedzieć tego, jak w te oczy należy patrzeć umiejętnie – tak, żeby odnajdywać w nich ukryte sensy i jednocześnie się nimi zachwycać, powinien sięgnąć po tę znakomitą książkę.

Rafał Moczko

Aleksandra Olędzka-Frybesowa, *Patrząc na ikony. Wędrowki po Europie*, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 2001.

Grzegorz Musiał

Come back Gombrowicza

Gombrowicza nigdy za wiele... Z przyjemnością obserwujemy *come back* naszego Ulubionego Autora po latach „czyśćca”, gdy zwłaszcza młodszy krytycy, uwiedzeni bla-

skiem odradzającej się Rzeczpospolitej, zwiastowali kres jego „szkodliwego” oddziaływania na umysłowość Polaka, kształtującą się oto wedle „niepodległego wzoru”.

Jak płytkie były to przewidywania, widać po dekadzie istnienia „najjaśniejszej”, gdy „niepodległego wzoru” umysłowości Polaka nadal ani widu ani slychu, za to coraz bezczelniej panoszą się figuryнки z *panopticum* Polski zaściankowej, półinteligentkiej, zadufanej, „garbatej”. Oto kolejne, mimo politycznej zmiany warty, spełnienie przepowiedni z *Dziennika*: że w Polsce zawałił się gmach zbyt arystokratycznej kultury i odtąd wszystko będzie karłowate. Wszystko, oprócz fabrycznych kominów.

Te i inne refleksje nasuwa lektura najnowszej książki, której bohaterem jest Gombrowicz. Młoda absolwentka polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego, za sylwetkę genialnego samotnika i outsidera, skreśloną na tle jego niezwykłej epoki, zbiera od miesięcy zasłużone pochwały. Podoba się jej przenikliwość, kultura, dowcip, umiejętne wyważenie proporcji w rysunku tak psychologii swego bohatera, jak i jej przenikania się z wpływami otaczającego go środowiska literackiego, społecznego, towarzyskiego. Nie odkrywając nowych źródeł, a posługując się tym, co powszechnie dostępne (nieliczne źródła niepublikowane to garstka starych fotografii, listy, dokumenty rodzinne Gombrowiczów z Archiwum Głównego Akt Dawnych, IBL-u czy Archiwum Miasta Stołecznego Warszawy) stara się wniknąć w istotę fenomenu, jakim było dziewność krótkich lat wolności między Wielkimi Wojnami. Docenia potęgę ich wpływu na ukształtowanie nieomal „od zaraz”, od pierwszych chwil po zakończonej wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 r. nowego pokolenia poetów, pisarzy i publicystów, tworzących fundament czegoś, co do dziś z nieutulonym żalem nazywamy „europejskim myśleniem”. Dostrzega promieniowanie tamtej epoki daleko poza zarówno historyczne, jak i wyznaczone intelektualnymi horyzontami współczesnych, granice swego trwania.

Inną warstwą opowieści jest proces zachodzący w drugą stronę: oddziaływanie potężnej pisarskiej osobowości na swój czas. Jak wiele Międzywojnie zawdzięcza temu „dandyśowi”, chronicznie nierozumianemu nawet przez bliskich przyjaciół, brylujących wewnątrz tego samego, zdawałoby się, środowiska „Ziemiańskiej” czy „Wiadomości Literackich”. Ich samozachwyty prędzej czy później musiał wejść w konflikt z kimś tak niepodległym, a zarazem pełnym sprzeczności; kto wszystkiemu mówił „nie”, ale z trudem ukrywał kompleks wobec nie zawsze kochanej, zwłaszcza wśród lewicowych poetów, arystokracji. Kto z jednej strony manifestacyjnie próbował się od tych „zbuntowanych” Boy’ów, Krzywickich, Galczyńskich odróżnić, a zarazem był irytująco do nich podobny, tak w zakresie oglady, jak i towarzyskiego oznakowania. Tę linię demarkacyjną, coraz wyraźniej rysującą się między nim a środowiskiem, sygnal-

lizował już wydany za pieniądze ojca *Pamiętnik z okresu dojrzewania*, określiła ją jednak dopiero *Ferdydurke*. Wiele mówi kapitalna (choć przywoływana też w innych opracowaniach) scena przedstawienia przez pisarza maszynopisu *Iwony, księżniczki Burgunda* wpływowej gwiazdzie teatralnej Mirze Zimińskiej – o której pisarz miał nieco lepsze niż o innych aktorkach mniemanie. Odrzuciła tekst jako „niezrozumiały”. Młody Jerzy Andrzejewski ostentacyjnie ignorował Gombrowicza, mając „dość tych jego bzdur”, również jego bliski przyjaciel, poeta Stanisław Baliński – być może wyczuwając w Gombrowiczu pisarską przewagę – nie szczędził mu kąśliwości i drwin. *Ferdydurke* – mimo zachwytu, jaki wzbudziła u np. Wittlina, Frydego, Sandauera, Kunczewiczowej – wywołała furię Ignacego Fika. Profesor Sinko oskarżył pisarza o „obsesję pewną czteroliterową częścią ciała”, zaś Stefan Kisielewski (sic!) przyrównał pisarskie chwyt Gombrowicza do zachowania kiepskiego zawodnika sportowego, który, by zwrócić na siebie uwagę, zakłada damskie pantofle na wysokich obcasach.

Z wielkim taktem, choć przenikliwie i bez dymnych zasłon, porusza się autorka po sferze prywatnego życia swego bohatera. Nawet znawca życia Gombrowicza z zaskoczeniem zapoznaje się z wątkiem jego oddanej i pełnej szacunku miłości do starszej siostry Reny. Wątek konfliktu duchowego z matką – zda się, doszczętnie przez badaczy wyeksploatowany – pod piórem młodej polonistki nabiera soczystości, przez wydobywanie plan pierwszy skomplikowanej, pełnej niekonsekwencji i obciążonej znamionami rodzinnej przypadłości psychicznej Antoniny Gombrowiczowej. Homoseksualizm pisarza – odciśkający się wszak w całym jego dziele – zostaje opisany równie głęboko, bez wyczuwalnej u innych badaczy pruderyjności z jednej, a głodu sensacji z drugiej strony. Inna rzecz – i to danie smakuje najwyborniej – to dramat, jaki wyluskuje Stawiarska ze stosunków łączących przez całe dekady Gombrowicza z jego przyjacielem z lat szkolnych, Tadeuszem Kępińskim. Ów autor dobrze przyjętych w swoim czasie wspomnień *Witold Gombrowicz i świat jego młodości* – uwiedziony ich sukcesem, publikuje rojące się od zjadliwości i samochwalstwa dziełko *Witold Gombrowicz. Studium portretowe*, mające dowiedzieć, jakim nieporozumieniem jest rzekoma wielkość „Itka”. Tu Stawiarska liwości nie ma – portret żalosnej walki małości z wyższością artystyczną i intelektualną jest odmalowany w sposób nasuwający skojarzenia z Salierim i Mozartem.

Monografia powstała, jak pisze się we wstępie „z fascynacji, albo i z miłości do autora *Ferdydurke*”. Ani przez chwilę nie wątpi się w szczerość tych słów, czytając tę inteligentną i zajmującą książkę.

Grzegorz Musiał

Agnieszka Stawiarska, *Gombrowicz w przedwojennej Polsce*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2001.

Miroslaw Dzień

W sprawie Poety, plotki i nie tylko

Po co pisze się biografie? Na tak postawione pytanie można udzielić wielu, często wykluczających się odpowiedzi. Pisze się po to – powiadają jedni – aby opisać czyjeś indywidualne życie, a że egzystencja każdego z nas poza niepodważalnym faktem jedyności, niesie ze sobą ciekawy materiał faktograficzny – staje się sama przez się godną utrwalenia. Nic nie ryzykujemy głosząc tezę, iż historia każdego ludzkiego życia jest warta opowieści, a coś dopiero, kiedy przedmiotem naszego namysłu staje się życie jednego z najwybitniejszych poetów naszego kraju. Pisze się też biografie po to, by czyjąś egzystencję uczynić bardziej przystępną, by umieścić ją w kręgu spraw i rzeczy znanych i tym samym zniwelować dystans między podmiotem opowieści a czytelnikiem. Można też postawić sobie inne zadanie: odczarowania wizerunku osoby opisywanej, rozebrania jej z atlasów. Taki projekt pisania biografii zakłada jednak swoistego rodzaju przewagę autora nad jego bohaterem, nie mówiąc już o czytelniku, którego rola sprowadzić się może ledwie do biernego świadka dysputy, jaką autor sam ze sobą toczy o obraz swojego bohatera. Nie odkrywam przecież Ameryki zauważając, iż każda biografia jest przecież interpretacją, i ten, który na nią się porywa, w niełatwej sytuacji stawia samego siebie.

Joanna Siedlecka w książce *Pan od poezji. O Zbigniewie Herbertcie*, chciała – jak mi się wydaje – odczarować wizerunek wielkiego poety. To znaczy chciała pokazać Zbigniewa Herberta takim, jaki wydobył się z j e j ś w i a d o m o ś c i umeblowanej poglądami tych, którzy znali go osobiście. Zamysł, owszem, wcale przekonujący, ale tylko w takim stopniu, w jakim potrafimy we właściwy sposób zinterpretować zgromadzony materiał... A tu już gorzej się rzeczy mają. Książka Siedleckiej mimo pojawiających się w niej dziesiątków, jeśli nie setek nazwisk, faktów i fotografii nie jest dobrze napisaną biografią, ani – jak chciałaby sama autorka – trafnym reportażem. Roi się w niej od gadulstwa i często nie bardzo wiadomo czy rzecz jest o lwowskich gimnazjalistach, meandrach konspiracji, odium sowieckiej okupacji, czy życia towarzyskiego w tuż powojennym Krakowie. Herbert jest bardzo z boku, na marginesie tego wszystkiego... Niby w książce tej znaleźć można wszystko, co na klasyczną biografię się składa: są cytowane listy, odezwy, pisma okólne, ale nie wylania się z tego żaden spójny obraz, to raczej owe „autorskie patchworki, złożone z relacji” osób znających poetę. Siedlecka nie bardzo panuje nad zgromadzonym materiałem faktograficzno-wspomnieniowym. Z jednej strony chce być wierna różnorodnym głosom i opiniom o poecie, zarazem jednak tworzy z nich wizerunek niepełny, jednostronny, jeśli wręcz nie stronniczy. Wybiera kilka kluczy, którymi chciałaby otworzyć – coś za zuchwałość! –

wszystkie zakamarki duszy poety. Jednym z nich jest Lwów i ambiwalentny stosunek jej bohatera do tego miasta. Niby Herbert taki patriota, zdaje się wmawiać nam Siedlecka, a nawet nie wiedział, że od dawna nie chowa się zmarłych na Cmentarzu Orłąt na Łyczakowie; niby AKowiec, ale w archiwum londyńskim nic o nim nie wiadomo... A swoją drogą kwestię przynależności Herberta do zbrojnych struktur Armii Krajowej trzeba koniecznie, ostatecznie wyjaśnić – sprawę tę kładę na serce historykom zajmującym się dziejami polskiej konspiracji. Jednym słowem podarowany nam został p r y w a t n y obraz osoby Zbigniewa Herberta widziany oczyma Joanny Siedleckiej. Cóż w nim odnaleźć możemy? Po pierwsze podejrzenie o mitomanię, która owszem niekiedy ma miejsce w biografii pisarzy, poetów, muzyków i malarzy, trudno jednak przypisywać ją Herbertowi, tak świadomemu przecież samego siebie – pamiętającemu wciąż o „swojej blażeńskiej twarzy”. Po drugie odczytuję z książki Pani Siedleckiej – może się mylę – posądzenie autora *Pana Cogito* o różnego rodzaju próby kompensowania własnych kompleksów spowodowanych między innymi fizyczną kontuzją prowadzącą do nieznacznego upośledzenia (złamana i źle zrośnięta noga po upadku na nartach). Do tego można sobie dopowiedzieć jeszcze poczciwego Zygmunta Freuda, i co, już wszystko wiemy o naszym wielkim poecie... Siedlecka pozbawiła w ten sposób pracy dziesiątki przyszłych biografów, którzy za sto albo dwieście lat będą pragnęli dorzucić swoje trzy grosze w „sprawie Herberta”. Odczarowała go za jednym zamachem, niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki Harego Pottera. Mnie w tym miejscu wypada jedynie powiedzieć: bravo! Ale jeśli rzecz całą potraktujemy poważnie, to swój zabieg odczarowania autorka *Pana od poezji* opiera na cudzych wypowiedziach. I tutaj pojawia się moje wielkie zdziwienie, i pytam się Pani Siedleckiej jak to jest możliwe, aby pisząc biografię, czyjąkolwiek biografię, pozbyć się choćby odrobiny k r y t y c y z m u wobec opinii swoich rozmówców. A co by było, gdyby jeden z nich powiedział, że Herbertowi w – dajmy na to – 1967 roku nagle, bo przecież to Człowiek Niezwykły, wyrosły cztery ręce, aby mógł szybciej zapisywać swoje znakomite utwory... Czy Pani Siedlecka podzieliłaby się z nami tym odkryciem? Przepraszam, zawsze wystrzegalem się uszczypliwości, ale pisarkę obowiązuje przecież zmysł krytyczny i umiejętność d e s t y l a c j i zgromadzonego materiału. Jeśli zawczasu nie użyjemy zawsze skutecznej brzytwy Ockhama, możemy zostać wydani na pastwę czegoś, co w języku polskim określamy mianem plotki.

Pozwolę sobie w tym miejscu zatrzymać się na moment i postawić pytanie: jakie są najważniejsze momenty dialektyki plotki? Plotka zdaje się poruszać ruchem wahadłowym od opinii bliskiej prawdy do przekonania o słuszności własnego rozpoznania w kwestii wydarzeń, jakie miały miejsce. Plotka zaczepiona jest zawsze o jakieś niewątpliwe, bo poświadczane przez rzeczywistość zdarzenie, by potem odbyć długą i męczącą podróż w krainę

sądów pewnych i opinii już na zawsze ugruntowanych. W dialektyce plotki nie jest istotna prawda, w jej klasycznym rozumieniu, jako *adaequatio* – zgodność rozumu ze stanem rzeczy, lecz najważniejszą rolę spełnia mniemanie upodabniające się do prawdy; mniemanie, które jest w stanie poświęcić wszystko w imię wypowiedzanych treści. Innymi słowy plotka nie chce znać prawdy, ona chce przebywać w opinii i tą ostatnią fundować obiektywny stan rzeczy. A zatem zczyn prawdy w dialektyce plotki urasta do zakalca przekonania; to, co miało być prostym stwierdzeniem faktów, ubrane zostaje w nie wymagającą jakiegokolwiek tłumaczenia opinię. W ten sposób – proszę mi wierzyć – można fantastycznie przeinaczyć każdą biografię, czyniąc z niej raptem spis mniemań i opinii większego lub mniejszego grona znajomych... I jeśli miałbym postawić zarzut księżce Joanny Siedleckiej, to nieodparcie narzuca mi się w niej dialektyka plotki, która jak wirus paraliżuje dywagacje i niewątpliwy trud, jaki zadała sobie autorka *Pana od poezji*. Biografia, nawet w reporterskim wydaniu nie może poddać się dialektyce plotki, gdyż tym samym wbija sobie nóż w plecy. Stając się forum opinii przestaje zarazem być teatrem prawdy. A swoją drogą chciałbym się dowiedzieć, czy wszystkie głosy i opinie, na które powołuje się autorka zostały przez jej interlokutorów autoryzowane? Czy autorka bez wahania da głowę za każdy sąd wypowiedziany przez jej rozmówców? Wszędzie tam bowiem, gdzie pisanie wsparte jest ludzką pamięcią, może zawieść wszystkich, zarówno autorkę, jak i czytelników. Stąd moja daleko posunięta ostrożność wobec wielu sformułowanych w tej książce sądów. Przypomnieć należy również o tym, że Herbert był człowiekiem niezwykle dowcipnym, który humor i ironię łączył z powagą, co nie może pozostać bez znaczenia w interpretowaniu różnych jego sądów i wypowiedzi. Oddaję Siedleckiej to, co się jej należy: podziw za pieczołowicie zgromadzony materiał faktograficzny, zarazem jednak nie podzielam jej opcji interpretacyjnej, uważając ją za opartą na niewystarczających przesłankach i zbyt daleko posuniętych konkluzjach.

To, wszystko co napisałem wyżej mieści się w standardowych omówieniach biografii, nic zatem dziwnego, że bez zbytejnej emfazy o tym mówię. Inaczej się sprawy mają z rozdziałem opatrzonym intrygującym tytułem – *Mak*. Mamy tam do czynienia z czymś, co przekracza biografię w stronę historii literatury. Ale po kolei. Siedlecka pisze jakoby w katolickim dzienniku „Słowo”, w jego sobotnio-niedzielnym dodatku w okresie „od kwietnia 1996 do lata 1997” Herbert drukował swoje wiersze pod pseudonimem „Mak”. Powołuje się tutaj na kontakty z ówczesną redaktorką dodatku – Teresą Skupień oraz gronem jej współpracowników. Jeden z nich, Michał Kołodziejczyk, wówczas sekretarz redakcji „Słowa”, na pytanie Siedleckiej dotyczące autora publikowanych wierszy, odpowiada: „Tak, ma pani prawdziwe informacje. – Mak to Herbert. Między mną a panią Skupień była cicha umowa, że nic nie wiem, obrazi się, będzie zła, że ją zламаłem, myślę jednak, że dziś można już o tym powiedzieć, ma to swoje biograficzne znaczenie (...)”. (s.402). Przytoczone teksty poetyckie, niestety, nie

dają odpowiedzi na pytanie o ich autorstwo. Są to teksty oględnie mówiąc słabe, w niczym nie przypominają finezyjnej poezji Herberta. Co najwyżej można byłoby mówić o jakichś wprawkach, szkicach do późniejszych utworów... Ale i tak nie potrafiłbym znaleźć powodu, dla którego tej klasy poeta, co Herbert udostępniłby tak marne teksty mało znanej redakcji. Trudno też przychodzi mi zgodzić się z opinią Siedleckiej jakoby przypominały one „zarówno pod względem treści, jak i formy (...) jego prozę poetycką, tyle że rozbitą na wiersze”. Mocnym argumentem przeciw autorstwu Herberta jest jego ostatni tom *Epilog burzy*, nad którym, mniej więcej w tym okresie czasu poeta pracował. Nawet gdybyśmy przez moment dali wiarę Siedleckiej i Skupień, możliwe są przecież jeszcze inne warianty, jak choćby ten, iż Herbert w „sekrete” przekazuje niekoniecznie swoje własne wiersze, ale ja k i e g o ś z n a j o m e g o redakcji „Słowa” (*notabene* będąc przykutym do łóżka), i funduje nam – z wrodzonym przekąsem – jeszcze jedną zagadkę literacką do rozwiązania... Bo nawet bawiąc się we współczesnego Holmesa prędko dojdziemy do przekonania, iż fakt przekazania wierszy nie musi przecież świadczyć o tożsamości przekazującego z ich autorem. A co dopiero stałoby się, gdyby naszła nas w istocie szaleńcza myśl poznania ewentualnych pobudek skłaniających poetę do takiego zachowania. Tak czy inaczej pelny kliniec...

Kończąc te w gruncie rzeczy jałowe dywagacje trzeba sformułować podstawowe pytanie pod adresem autorki książki. Brzmi ono: czy wolno nie podając żadnych dowodów, poza słownym zapewnieniem Teresy Skupień, twierdzić, iż autorem wierszy w „Słowie” jest Zbigniew Herbert? Śmiem twierdzić, że dopóki takie dowody w postaci autografów wierszy poety nie zostaną udostępnione przez obie Panie rzecz należy traktować, jako wysokiego lotu m a n i p u l a c j ę . Chodzi przecież tutaj o sprawę dalece wykraczającą poza reporterski zamysł autorki, a w całej swojej rozciągłości dotyczącą spuścizny jednego z najwybitniejszych polskich poetów, której moim obowiązkiem jako poety i badacza twórczości Zbigniewa Herberta – bez względu na czyjekolwiek interesy – jest strzec. W tym wypadku nie możemy zgodzić się na żadną połowiczność i niedopowiedzenia. Albo – albo. Albo Zbigniew Herbert jest autorem pomieszczonych w „Słowie” wierszy, albo nie. Tę sprawę trzeba bezzwłocznie wyjaśnić! Oczekuję zatem od Pań Siedleckiej i Skupień p i s e m n y c h dowodów potwierdzających autentyczność autorstwa Zbigniewa Herberta utworów opublikowanych na łamach „Słowa” w latach 1996-1997.

Słowo wstępne autorka *Pana od poezji* kończy zdaniem: „Chciałam się po prostu dowiedzieć o nim czegoś więcej”. Owszem, Joanna Siedlecka dowiedziała się czegoś więcej o Herbercie. Ale cóż nam po tej wiedzy o nim?

Miroslaw Dzieci

NOTY O KSIĄŻKACH

Dwa tomy *Polskich pieśni wielkanocnych* są kontynuacją pomnikowej edycji Instytutu Wydawniczego PAX, w której ukazują się zabytki staropolskiej pieśni religijnej – wcześniej ukazały się *Kolędy polskie* i *Polskie pieśni pasyjne*. Pieśni wielkanocne stanowią najstarsze pomniki polskiej twórczości religijnej. We wstępie Mirosław Korolko przedstawia rodowód i rozwój średniowiecznych pieśni wielkanocnych w Polsce. Dotyczą one świąt, uroczystości i obrzędów związanych ze Zmartwychwstaniem, Wniebowstąpieniem Pańskim i Zesłaniem Ducha Świętego; pieśń *Przez twe święte Zmartwychwstanie* stanowi symboliczne połączenie tych trzech świąt. Pieśni wielkanocne dotyczą liturgicznego okresu trwającego od Środy Popielcowej do Święta Zesłania Ducha Świętego. Znajdują się wśród nich: akلامacje i wersety, antyfony, sekwencje, hymny, tropy i pieśni misteryjne obejmujące okres średniowiecza i XVI wieku. Tematycznie ściśle łączą się z pieśniami pasyjnymi.

Tom pierwszy – literacki – zawiera teksty i komentarze językowe; w tomie drugim – muzycznym – znajdujemy partytury, a także podobizny fototypiczne tekstów i warianty językowe. Całość uzupełnia ikonografia cyklu wielkanocnego, reprodukcje dzieł sztuki polskiej – układ ilustracji oparty jest na chronologii wydarzeń przekazanych przez Nowy Testament: Zstąpienie do otchłani, Zmartwychwstanie, Niewiadzy u grobu, Spotkania Chrystusa po Zmartwychwstaniu, Wniebowstąpienie, Zesłanie Ducha Świętego. Piękne wydanie, w którym literatura, teologia, malarstwo i muzyka splatają się w jedność. A do tego doświadczamy rzadko we współczesnej polszczyźnie spotykanej mocy, jaką ma język staropolski.

K. M.

Polskie pieśni wielkanocne. Średniowiecze i wiek XVI pod redakcją Juliusza Nowaka-Dłużewskiego, tom pierwszy i drugi, opracowanie: Mirosław Korolko, Jadwiga Puzynina, Teresa Dobrzyńska, Henryk Kowalewicz, Witold Rączkowski, Tadeusz Maciejewski, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 2001.

Tom szósty *Pism zebranych* jest ostatnim tomem obejmującym literackie dzieła Jana Kasprowicza z lat 1919-1926. Mamy tu: czteroaktowe „misterium tragicomiczne” pt. *Marcholt gruby a sprośny*, ostatni tom poetycki Kasprowicza pisany w czasie ciężkiej choroby, głównie we Lwowie, częściowo na Harendzie –

Mój świat (pierwotny tytuł: *Z Podbala*), zbiór wierszy powstałych w latach 1924-1925, wydany w grudniu 1925 roku, czyli na około pół roku przed śmiercią poety, a także utwory rozproszone z lat 1919-1926 i uzupełnienia do tomów 1-5. Ciekawe i godne uwagi są te franciszkańskie wiersze z *Mojego świata*. W przygotowaniu tomy, które obejmą publicystykę, krytykę literacką, teatralia, listy oraz zamykający edycję – *Kronika życia i twórczości Jana Kasprowicza*.

K. M.

Jan Kasprowicz, *Pisma zebrane*, tom 6, *Utwory literackie*, opracował Roman Loth, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2002.

W serii „Biblioteki Poezji Młodej Polski” pod redakcją Marii Podrazy-Kwiatkowskiej ukazał się przygotowany przez Martę Wykę tom niezwykle: *Komentarze poetyckie* – wybór z pism Stanisława Brzozowskiego, w których zgodnie z młodopolskim zwyczajem przechodzi z prozy na wiersz, łącząc „element liryczny” z dyskursem krytyczno-filozoficznym. Tom rozpoczynają fragmenty dotyczące pisarstwa ostro i niesprawiedliwie krytykowanego Henryka Sienkiewicza: osiemnaście ekspresywnych wersów, w których autor *Plomieni* zarzuca autorowi *Trylogii* kłamstwo i niemoc akordów (daj Boże Brzozowskiemu w prozie taką „niemoc akordów”!). Dalej następują fragmenty o pisarstwie Żeromskiego, którego Brzozowski stawiał ponad Sienkiewiczem (a ponad nimi stawiał podziwianego bezkrytycznie Stanisława Przybyszewskiego!) oraz fragment o pisarstwie Elizy Orzeszkowej, którą nazywa „poetką sumienia”. Uwagę zwraca przejmująca próba o „runiczności” i milczeniu Norwida, a także wyimki z *Końca legendy*, zapisy o Ibsenie, fragmenty z *Plomieni*. Tom kończy, publikowany po raz pierwszy od pierwodruku w 1906 roku, poemat czy rapsod pt. *Teodor Dostojewski*, który Miłosz nazywa „jednym z największych dziwów literatury polskiej” i wyznaje, że kiedy wiele lat temu czytał go po raz pierwszy, to mrówki przebiegały mu po krzyżu. Jest to utwór o „mrokach duszy rosyjskiej”: rzecz o rosyjskim Chrystusie przeciwstawionym Chrystusowi dobremu. Poemat zamyka część zatytułowana *Towiański u stóp krzyża w jakiejś przedzgonnej godzinie*, w której w słowach Towiańskiego znajdujemy bardzo osobiste wyznania samego Brzozowskiego. Dostojewski i Towiański jawią się w tym poemacie przede wszystkim jako głosiciele religijnego Słowa. Modlitwa jednego i drugiego jest modlitwą „człowiecka na rozdrożu” i jest w tym artystyczna siła i duchowa moc.

We *Wstępie* Marty Wyki znalazłem wypowiedź Brzozowskiego o krytyce: „...dusz innych ciekawa musi być taka krytyka, wszelka krytyka, która na tę nazwę zasługuje.

Poznawać dusze twórcze w nich samych i w ich przyczynach, poznawać je więc lepiej, niż one same się znają (...) oto są dumne zadania krytyki; zapominając o nich – krytyka istnieć przestaje”.

K. M.

Stanisław Brzozowski, *Komentarze poetyckie*, „Biblioteka Młodej Polski” pod redakcją Marii Podrazy-Kwiatkowskiej i [Jerzego Kwiatkowskiego], wybór i wstęp Marta Wyka, opracowanie tekstu Maciej Urbanowski, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2001.

Pięć wierszy – „paszport lubelski” Julii Hartwig. Dominuje w nim tonacja elegijna, w której przeszłe krzyżuje się z teraźniejszym. „Wszystko jest jak było. Nic nie jest jak było”, mówi podmiot otwierającego wiersza pt. *Powrót do domu dzieciństwa*. W *Elegii lubelskiej* pojawia się Czechowicz, który trwa w chwale swoich wierszy, w swojej „sennej piękności”. Dzieciństwo i groby, i chwile jak iskry pamięci. Mówienie i milczenie. I westchnienia w ciszy. Wspomnienie dobrych braci. Echo tamtych pięknych dni, komu dziś zdadne na co? Pustka i zapełnianie pustki. Obroty pór roku. Siła natury. I miasta. „... i człowiek śledzący zmienny kształt obłoku/nie spieszący się do niczego”.

Pięć pięknych wierszy związanych w jedno.

K. M.

Julia Hartwig, *Pięć wierszy*, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2002.

Jerzy Gizella – jedno z najznakomitszych piór tzw. pokolenia Nowej Fali – to poeta, jak sam pisze w wierszu *Odrywanie Ameryki*, rozdwojony na „tucialo i tamduszę”. Więcej w jego najnowszym tomie takich „zabaw” słownych, które wcale zabawne nie są, bo odzwierciedlają wewnętrzny dramat twórcy, który emigrować nie chciał. Któremu, tak naprawdę, emigracja z ukochanego Krakowa – zwłaszcza do Ameryki, do której swej niechęci nie ukrywa – nie była do niczego potrzebna. Starczyło wytrzymać z komunistami jeszcze rok, dwa – wyjechał przecież w 1987 roku – i obudziłby się w wolnej Polsce. Czy jednak rzeczywiście jest to takie proste? Czy Gizella „przed komunistami” uciekał?

Może raczej poczuł potrzebę „ostatniej męskiej przygody”, dla której Ameryka – jeśli wierzyć jej filmom – jest wymarzonem poligonem? Albo po prostu, idąc śladem refleksji Tadeusza Konwickiego z *Małej apokalipsy* – uznał, że ONI nie zabiją nas, nie ws-

dzą do żadnych więzień, ONI nas po prostu zanudzą? A może jeszcze inaczej? Może „przypadek Gizelli” raz jeszcze ilustruje znaną od zarania literatury przypadłość artysty, by uciec – ale przed sobą? Przed starzejącym się ciałem, rzednącymi włosami – co w pewnym, zwrotnym momencie życia, staje przed poetą jak wyrok. Ale taki, który dzięki swoim Muzom, swej sile żywotnej i, wreszcie, puszcze konserw, plecakowi i namiotowi z karimatą (nieodłącznemu rynsztunkowi tych, którzy, jak pisał Cervantes, są najszczęśliwsi na świecie, bo nie pragną odmiany swego stanu) można odwrócić?

W najnowszym tomie Gizelli rozterki te znajdują dramatyczne odzwierciedlenie. Już same tytuły wierszy opowiadają o tym, jak w Ameryce poeta spokoju nie znalazł. Rozdrażnienie, dysgust wszędzie zawiezie z sobą – jak tę Norwidowską „nie czarną”. *Odrywanie Ameryki, Odwrót powrotu, Żegnaj smutku, choćby na chwilę, Latarnik, Europa porwana – na kawalki, Kraj Utracony, Za wcześniej, czy za późno na ten sen...* gorzka wiedza, która bez Ameryki wszakże, może nie byłaby mu dana?

Wiersze, jak to u Gizelli, są wyraźnie, a nawet dobitnie czy dosłownie zobrazowane. Jest w nich i amerykańska ulica, i amerykański „chleb kapitalistów”, i amerykańska telewizja, a nawet prozac – ale jest też, a może przede wszystkim, ulica Stolarska w Krakowie, Wolnica, karmienie labędzi nad Wisłą. I – co niezwykle ważne – ani grama sentymentalizmu! Ostro to podane, z sosem tabasco, ale i z drugim smakiem rasowej, gorzkiej tęsknoty. Trochę jest typowej dla tego krakowskiego – nawet w Ameryce – poety, maniery stylizowanej *à la* Gałczyński, ale też mnóstwo wszechobecnej i wzbogacającej o „drugie dno” autoironii.

Smuci, że książka tak ważna i potrzebna – zwłaszcza młodym, wciąż nie wiadomo po co szukającym wzorów „za Oceanem” – przechodzi w kraju właściwie niezauważona. Oślawiona opinia o Polsce, jako „kraju poetów” wyjątkowo dla nich nieprzyjaznym, znajduje w przypadku Gizelli kolejne uzasadnienie.

G. M.

Jerzy Gizella, *Odrywanie Ameryki*, Wydawnictwo Baran i Suszczyński, Kraków 2001.

W XIII tomie Wydania Rocznicowego *Dzieł* Adama Mickiewicza – *Pisma towianistyczne. Przemówienia. Szkice filozoficzne*. W części pierwszej – *Pismach i przemówieniach towianistycznych z lat 1842-1847*, podanych w porządku chronologicznym, spotykamy się z Mickiewiczem natchnionym: znajdujemy wiele wypowiedzi egzaltowanych, które trudno traktować poważnie, ale jest także ogromny ładunek duchowy i intelektualny, wyraz pracy ducha poety o skali jednej z największych w literaturze polskiej. Tematem są odpowiedzi i próby odpowiedzi na pytania: „po co tu na świecie

żyjemy? Co jest naszym celem? Gdzie jedyne światło nasze, gdzie Bóg, co świat i nas do czegoś powołać musiał, kiedy wszystko stworzył? Wszakże Chrystus zstąpił na ziemię – czyż Jego nauka ma się rozchwiać, zaćmić, zniknąć?” Geniusz i jedyna w swoim nieprześcignionym rodzaju polszczyzna Mickiewicza wnoszą nas na niebotyczne wyżyny. Mało co dorównuje w literaturze polskiej mocy tych wersetów; pamiętamy, że w tym czasie Mickiewicz pisał *Zdania i uwagi*. Dla smaku tylko takie zapisy: „Ważność poranku; kto wydrze szatanowi poranek, cały dzień mu wydziera”; „Zło nie boi się ducha, ale boi się ducha przez ciało przepuszczonego”; „Rzecz ducha wraca tylko w tym stanie ducha, w jakim po raz pierwszy przyszła”; „Strzeżcie się braci wciągających w ton lekki”; „Mówić im mało a mocno”; „Największym grzechem, za który też szatan chwyta się najprędzej, jest miłość własna”; „W domu być wielkim”; „Jeden dzień, np. sobotę, poświęcić zupełnie milczeniu; żadnej dyskusji”; „Bo co to jest skusić człowieka? Jest to znaleźć w nim otwór, przez który by znowu wszedł za męt”. Tu także – „Porządek służby w synagodze”.

W części drugiej – w *Przemówieniach przygodnych*, które są relacjami słuchaczy z usłyszanych wystąpień poety w latach 1842-1855, znajdujemy między innymi: *Przemówienie na posiedzeniu Towarzystwa Literackiego Polskiego z 1842 roku*, należące do najgłośniejszych przemówień Mickiewicza, szeroko relacjonowane i komentowane przez współczesnych, w którym mówi, że przyjmuje imię wieszczka, dane mu przez naród, „bo zbrodnią byłoby, gdybym je odrzucił”; przemówienie na audiencji u papieża Piusa IX (cztery relacje) oraz *Przemówienie pożegnalne z 11 września 1855 roku*.

Część trzecia, najmocniejsza, zawiera szkice religijno-filozoficzne, a wśród nich parafrazy francuskie tekstów Ralpa Waldo Emersona, czołowego ideologa romantycznego nurtu filozoficzno-moralnego nazywanego transcendentalizmem, z jednym z najgłośniejszych, jakże aktualnym, p.t. *Poleganie na sobie* i także bardzo ważnym p.t. *Człowiek religijny – reformator* oraz jeden z najważniejszych tekstów Mickiewicza – *Jacob Boehme*, bez którego trudno jest zrozumieć największego polskiego poetę; fragmenty tego szkicu pojawiają się w pamiętnym *Czeladniku Miłosza*.

W *Aneksie* znajdujemy *Urywki z Emersona* oraz bardzo ciekawy, głośny, a rzadko przedrukowywany list Aleksandra Chodźki do cara Mikołaja I z 1844 roku, w którego powstaniu brał udział Mickiewicz. Jakąż mielizną wydają się ogromne obszary współczesnej literatury polskiej, licząc od 1945 roku, po lekturze tego niezwykłego, niezbędnego tomu.

K. M.

Adam Mickiewicz, *Pisma towianistyczne. Przemówienia. Szkice filozoficzne*, opracowała Zofia Trojanowiczowa, *Dziela*, tom XIII, Czytelnik, Warszawa 2001.

Czworo historyków literatury z Instytutu Badań Literackich napisało próbę encyklopedii życia i twórczości największego polskiego poety. Mickiewicz w jakichkolwiek ramach jest nie do objęcia. Tutaj mamy ogromny ładunek informacji o nim i o jego dziele: około 400 haseł obejmujących utwory i grupy utworów Mickiewicza, dotyczących osób z jego bliskiego otoczenia, opisujących miejsca Mickiewiczowskie oraz hasła-niespodzianki mówiące o tym, co poeta jadł, co mu się śniło, jak wyglądał, na co chorował etc. Jest to, jak mówią autorzy, próba encyklopedii, a właściwie opowieść, mało spójna opowieść o Mickiewiczu: różnorodna stylistycznie i metodologicznie, nie wiadomo według jakiego planu ważności czyniona. Ale ładunek w niej ogromny: oprócz wyżej wymienionych materiałów – indeksy utworów Mickiewicza, nazw geograficznych i osób, ilustracje i mapy. Wiele jest w tej książce faktów, ale także wiele przypuszczeń, hipotez, dociekań, a nawet sprzeczności i niedopowiedzeń. I nie chodzi o to, czy Mickiewicz postrzegany jest przez badaczy-autorów pomnikowo, czy zwyczajnie – chodzi o prawdę, a prawdą są potwierdzone materiałami źródłowymi fakty. Jaki sens mają dociekania, czy miał dziecko z Ksawerą Deybel i czy miał dziecko z Marylą Puttkamerową? – nie wiem. Poziom plotek to poziom czytelniczek pism dla kobiet i poważni badacze powinni być ponad nim. Ale wiele pysznych informacji sobie przypomniałem, czytając tę książkę, która poprzez swoje najlepsze fragmenty wskrzesza blask Mickiewicza – blask, w którym zawsze warto istnieć. Kto ciekawy dalej, niech zajrzy do siedmiu tomów *Kroniki życia i twórczości Adama Mickiewicza* i do jego listów oraz dzieł, które są kopalnią niezgłębioną wiadomości o nim. Książka Rymkiewicza, Siwickiej, Witkowskiej i Zielińskiej jest dobrą do tej wielkiej przygody zachętą i ciekawym wprowadzeniem.

K. M.

Jarosław Marek Rymkiewicz, Dorota Siwicka, Alina Witkowska, Marta Zielińska, *Mickiewicz. Encyklopedia*, Grupa wydawnicza Bertelsmann Media, Warszawa 2001.

Z wyróżniającej się serii „Poznańskiej Biblioteki Niemieckiej” ukazał się tom szesnasty – *Moje czasy*, wybór esejów Thomasa Manna: piętnaście esejów, z których wcześniej w przekładach polskich ukazały się cztery. Życie Thomasa Manna to precyzyjna konstrukcja („Moje czasy były pełne odmian, ale moje życie w nich stanowi jedność”), w której najważniejsza była twórczość – rzeczywiście imponująca, wzniesiona wysoko. Autor *Doktora Faustusa* pracował z regularnością szwajcarskiego zegarka: pisał około 5. stron dziennie, a więc około 1.800 stron rocznie, co w czasie oko-

ło sześćdziesięciu lat pracy pisarskiej złożyło się na dorobek liczący ponad 100.000 stron. Eseistyka i publicystyka stanowią około 1/3 całej twórczości. W prezentowanym wyborze Huberta Orłowskiego dominuje eseistyka i publicystyka o charakterze politycznym i światopoglądowym: eseje, przemówienia i listy odnoszące się do wydarzeń I i II wojny światowej oraz osobistych perypetii pisarza z nimi związanych (np. odebranie doktoratu honorowego, obrona swych praw do niemieckiej ojczyzny). Dla mnie najciekawsze są eseje dotyczące sztuki i filozofii: piękny *Lubeka jako duchowa forma życia*, *Schopenhauer*, *Filozofia Nietzschego w świetle naszych doświadczeń*, w holdzie Lessingowi i Wagnerowi oraz tytułowy – *Moje czasy*. Widoczne są związki tych esejów z najwybitniejszymi powieściami Manna, w których stronę kierują. Manieryczny styl Manna lepiej sprawdza się w powieściach, w esejach wydaje się niekiedy pretensjonalny i irytujący, ale jest to bardzo treściwa książka prowadząca do centrum europejskiej problematyki, warta uważnej lektury i żywych odniesień do wielu jej wątków.

K. M.

Thomas Mann, *Moje czasy. Eseje*, wybór i wstęp Hubert Orłowski, tłumaczenie Wojciech Kunicki, „Poznańska Biblioteka Niemiecka”, tom 16, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2002.

Ta książka – ogłoszona w 1959 roku przez Instytut Literacki w Bibliotece „Kultury”, obecnie wznowiona przez Wydawnictwo Literackie – jest bardzo aktualna. *Kultura masowa*, antologia tekstów socjologicznych w wyborze, przekładzie i opracowaniu Czesława Miłosza, z nową, popartą dystansem czasowym siłą ukazuje rozmiar spustoszeń, jakie w kulturze już nastąpiły i dalej następują. Kultura wysoka to hierarchia, wyraźna skala wartości, podział na dobro i zło. Natomiast kultura masowa (*mass culture*) tworzona jest i sprzedawana dla zysku i mało różni się od kultury popularno-rozrywkowej, w której nie ma kryteriów, nie ma wyższości i niższości, *sacrum* i *profanum*, a jest wielkie zmieszanie i zakłamanie, homogenizacja, populizm, koniunkturalizm i pogoń za zyskiem za każdą cenę. Kultura wysoka w tym zalewie postmodernistycznego chłamu staje się „tajemniczą wyspą”, enklawą dla wybranych. „Byle kto mówi byle co do byle kogo” i im bardziej jest byle kim i im bardziej mówi byle co i byle jak, tym bardziej jest znany i popularny i sławny. I nie jest to jakaś oznakowana i zakazana strefa różnych Wielkich Braci, Gladiatorów, Kiepskich i Rozmów-w-toku, bo ta zaraza przeniknęła do jeszcze nie tak dawno dbających o styl i smak programów, gazet, tygodników i przenika dalej i wyżej: do literatury. „Nie T.S.Eliot, W.H.Auden czy Camus, ale przeboje sezonu, modne filmy, Françoise Sagan itd.” –

mówi w *Pytaniach do dyskusji* Miłosz, a my – czterdzieści parę lat później – jesteśmy w o ileż gorszej pod względem jakości i zabagnionej sytuacji (dość powiedzieć, że niesmak Adorna budziła na przykład popularność kina i jazzu).

Diagnozy postawione przez: McDonalda, Greenberga, McLuhana, van den Haaga, Fiedlera i Tumina okazały się spostrzeżeniami o nieprzemijającej wartości, a wiele z nich zyskało z upływem czasu na ostrości i sile wyrazu.

K. M.

Kultura masowa, wybór, przekład, przedmowa Czesław Miłosz, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2002.

„Miasto obłoków – Królewskie miasto Wilno” założone w 1323 roku przez księcia Giedymina, serce Litwy, która „jest jak zdrowie”. Piękny album Adama Bujaka, który podążając śladami wędrującego po Wilnie Miłosza, w mistrzowski sposób tworzy obraz miasta. Od Ostrej Bramy do malowniczych okolic nad Wilią koło Werek. Mozaika ułożona z ośmiu części-tematów: Mickiewicz, Miasto, Katedra, Góra Zamkowa, Uniwersytet, Świątynie, Cmentarz, Okolice. Wilno położone pośród rzek, jezior, wzgórz, dolin i lasów jest jak cud. I wielkim szczęściem jest wędrowka z Miłoszem po tym mieście: fotografie przeplatają cytaty z wierszy i poematów oraz komentarze Miłosza, którego raz po raz widzimy wśród widoków miasta. Wędrujemy: Ostra Brama, Zaułek Literacki, ulice: Ostrobramska, Giedymina (d. Mickiewicza), Zamkowa Góra Trzykrzyska i Góra Zamkowa, ruiny Zamku, Wilia i jej dopływ Wilenka (Wilejka lub Wilna), kościoły: św. Anny, św. Katarzyny, św. Teresy, Świętego Ducha, Wszystkich Świętych, św. Krzyża, św. Janów, św. Piotra i Pawła, św. Michała, św. Kazimierza, św. Jakuba i Filipa, ojców Bernardynów i ojców Franciszkanów, Katedra. Średniowieczna zabudowa i sieć ulic. Barok i rzadziej gotyk. Cmentarz na Rossie i inne cmentarze. I piękne okolice. Jest to jeden z najpiękniejszych albumów, jakie widziałem.

K. M.

Adam Bujak, Czesław Miłosz, *Serce Litwy*, Biały Kruk, Kraków 2002.

Dziennik kwarantanny to zbiór 108. felietonów jednego z najwybitniejszych współczesnych krytyków literackich – Tomasza Burka, ogłaszanych w „Gazecie Polskiej” od X 1996 do VIII 2000; cykl uzupełniają: szkic o bibliotece domowej, tekst o Herbercie i rzecz o Januszu Krasińskim. Większość zapisów dotyczy literatury: książek i pisarzy. Burek widzi ostro i wyraźnie mówi to, co myśli. Jest po stronie wartości, trady-

cji, metafizyki, *sacrum*, którym przeciwstawia postmodernistyczny chaos i mial. Pyta o gusty, smak, hierarchię wartości, modele kultury literackiej, funkcje książki. Wylicza czternaście arcydzieł i mówi, że są to „takie książki, za którymi stoi autorytet i powaga tradycji, takie przeto, które zachowały zdolność promieniowania wszędzie, we wszystkich epokach i pokoleniach. Nazywamy książki tego gatunku dziełami klasycznymi. Zakreślony przez nie horyzont problemowy i estetyczny, horyzont wzniosłości, głębi, złożoności i doskonałości, tragizmu, autoironii i prawdy, jest w istocie równoznaczny z duchowymi granicami naszej cywilizacji. (...) (To) literackie pomniki narodów i powienniczki wszystkich tajemnic człowieka”. Taki jest pułap literatury i kultury i według tych najwyższych kryteriów należy mierzyć i oceniać wszystko, co chce stać się literaturą, co do miana literatury pretenduje. I Burek zajmuje się wielką literaturą, czyta i komentuje Amieła, Baudelaire’a, Cendrarsa, Claudela, Brocha, a z pisarzy polskich Szymborską i Miłosza, którym przygląda się z różnych stron, Herberta, którego ceni, czy Herlinga-Grudzińskiego, którego ceni i na ich tle postrzega i ocenia wybrane książki z literatury współczesnej, bezkompromisowo oceniając ten nurt, który reprezentuje postmodernistyczno-libertariańską kulturę rozpuszczania klasycznych i nowoczesnych wartości w lekkostrawne papki, humbugi i kicz: „Zanik zdolności do trwałej uwagi i skupienia, zanik logiki wyboru, czyli chęci i umiejętności odróżnienia tego, co rzeczywiste od tego, co nierzeczywiste, prawdy od fałszu, dobra od zła, dręczące poczucie odrealnienia, jakby wszystko to razem, życie i kultura, było jednym urojeniem, jedną wielką *fantasy* zrodzoną, w czymś czarnym mózgu – takie są konsekwencje zniweczenia porządku ugruntowanego na pewnikach metafizyki”.

Trudno nie przyznać racji argumentom i wywodom Tomasza Burka odnoszącym się do większości wymienionych przez niego reprezentantów tego negatywnego, czarnego (czy szarego) nurtu mocno obecnego w różnego rodzaju mediach, a więc wbijanego masowo w rozproszkowane głowy (ciekawa byłaby poważna praca porównująca kulturę socrealistyczną z kulturą postmodernistyczną). Burek często mierzy bardzo celnie. Wie, że będzie atakowany bez pardonu albo wykpiwany lub przemilczany, dlatego w motcie wybija gorzkie *memento* Norwida: „Gorzka taką pracę dłaczegożeś przedsięwziął?...”

K. M.

Tomasz Burek, *Dziennik kwarantanny*, Wydawnictwo ARCANA, Kraków 2001.

Troska i czas to zbiór analiz i rozważań historycznoliterackich Kazimierza Nowosielskiego skupionych na wyrazistych światach poetyckich Iwaskiewicza, Jastruna, Wata,

Białoszewskiego, Grochowiaka, Wierzyńskiego, Miłosza, Różewicza, ks. Twardowskiego i Wojaczka. Są to bardzo subtelne, podkreślające migotliwość i niejednoznaczność znaczeń analizy i rozważania czynione na przenikaniu i krzyżowaniu się poezji, filologii, religii i filozofii. Sygnuje je *motto* z Kamila Cypriana Norwida głoszące, że prawdą najpoważniejszą, a której w żadnym kursie literatury nikt nie uczy, jest: „poza słowami naszymi jest jeszcze żywot S ł o w a”. W tę prawdę wprowadza książka Nowosielskiego – rzecz o czasie, przemijaniu, śmierci i sensie życia człowieka, w której centrum jest troska o prawdę oraz jakość nasycenia sensem tego co rzeczywiste i nad-rzeczywiste.

K. M.

Kazimierz Nowosielski, *Troska i czas. Szkice o poezji i przemijaniu*, Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, Gdańsk 2001.

Znużenie Andrzeja Turczyńskiego jest opowieścią, a raczej przypowieścią, o kondycji człowieczej. Zmęczenie – synonim znużenia – pojawia się często w tej „relacji o życiu i cierpieniu”. Najpierw w sentencji umieszczonej jako motto: „To, co w życiu najlepsze, jest tylko zmęczeniem i pracą” – Immanuel Kant, potem wielokrotnie w opisach bólu. Bohaterem utworu jest, podobnie jak w moralitecie, *Quidam* – Ktoś, wybitny uczony, poszukiwacz prawdy i mądrości, który żył w osiemnastym wieku we Wschodnich Prusach, w jednym z miast nadbałtyckich. Choć poznajemy dość dokładnie jego zajęcia i obyczaje, dociekania naukowe, poglądy, a także portrety i świadectwa współczesnych mu i potomnych, nawet plotki o nim, nie dowiemy się, jak się naprawdę nazywał. Narrator opowieści, analizując w wielu przekrojach (bardziej wyobrażone niż realne) fakty z biografii filozofa, określa go nazwami zastępczymi – pełnionej funkcji, roli społecznej, wykonywanej czynności, sposobu życia i zachowania. Bohater jest więc Profesorem, Magnificencją, Badaczem, Filozofem, Kartografem Królestwa, Obserwatorem, Tajnym Radcą Dworu. Nazywany bywa także Podróżnikiem, Projektodawcą, Metafizykiem, Anonimem, luminarzem miejscowego uniwersytetu, skrupulantem, a nawet – z odcieniem irytacji – śledziennikiem, mrukiem, chimerykiem.

Uprzedzając domysł czytelnika, wydawca zaznaczył w nocie na okładce, „że nie jest to opowieść biograficzna”, gdyż autor *Krytyki czystego rozumu* stanowił „jedynie odległy prawzór bohatera”. Interesująco pomyślana okładka tworzy graficzny komentarz do treści utworu. Na stronie tytułowej przedstawiono na tle mapy północnego nieba ząbcające się koła (kółka) – jakby fragment mechanizmu zegara (mapy i zegary na-

leżą do znaczących elementów świata przedstawionego); na stronie czwartej zaś fragment takiej mapy przesłania kartka, jakby wyrwana z sekretnego notesu filozofa. Na tej właśnie kartce wydawca przedstawiając temat i literackie zalety opowieści Turczyńskiego, zachęcił do towarzyszenia pisarzowi „w jego namyśle nad charakterem i strukturą rzeczywistości, a także nad granicami i zasięgiem ludzkiego poznania”.

W utworze odnajdujemy wiele stwierdzeń bliskich poglądom Kanta, neokantystów, ale także i filozofów odmiennych orientacji. Przywołane są także liczne i różnorodne realia z epoki oświecenia; wydarzenia, charakterystyczne dla tego czasu postacie i poglądy. Tkanka narracyjna aż gęsta jest od szczegółów: nazwisk, wydarzeń, opisów – budowli, pomieszczeń, strojów, potraw. Wzbogacają ją dodatkowo liczne cytaty – z Biblii, dzieł naukowych, dokumentów historycznych.

Znużenie to niezwykła opowieść o podjętej próbie rozświetlenia mrocznego okresu w życiu badacza i filozofa, jego starości oraz ukazania stopniowego „odchodzenia w tło”.

Poddany wieloaspektowej analizie stan znużenia, jest właściwym nie tylko dla schorowanego, udręzonego bólem bohatera przypowieści, filozofa, który próbował myślą dotrzeć do istoty rzeczy, ale także dla odautorskiego narratora, który, interpretując jego egzystencję i poglądy, „nie jego, ale siebie pytał” o granice poznania oraz „o możliwość innej jawy, niż jawa istnienia” (Bolesław Leśmian).

J. T.

Andrzej Turczyński, *Znużenie*, Czytelnik, Warszawa 2000.

Jest to moim zdaniem jak dotychczas – obok esejów Jerzego Kwiatkowskiego – najciekawsza książka o poezji Wisławy Szymborskiej. Największe rozpiętości, jakie mogą być: świat i nicność, byt i nie-byt, ziemia i kosmos. I zdumienie, wielkie zdumienie sobą w obliczu takich ogromów. Ligęza pokazuje drogę Szymborskiej: od jej powojennych początków, uwikłania w socrealistyczną nowomowę, które staje się zacyzmem do odnowy, do korekty języka i światopoglądu – drogą do poetyckiego mistrzostwa. Ligęza opisuje kręgi, po których wędruje autorka *Końca i początku*: jej stosunek do historii, a właściwie dziejów (tu: jednostka a historia/dzieje), jej dialog z poszczególnymi dziedzinami sztuki, nurt osobisty (miłość, wspomnienia), a także tropy metafizyczne (metafizyka Szymborskiej żywi się pojęciami niebytu i nicności). Ligęza swoje opisy wspiera analizą języka, bardzo wiarygodnymi rozważaniami filologicznymi dotyczącymi kolejnych tomików autorki *Widoku z ziarnkiem piasku*, które obrazują korektę jej języka, w którym zaczynają dominować figury zastrzeżenia, negacje i podwójne negacje, sprzeczności i tautologie, powtórzenia i wycięcia, gry frazeologicz-

ne. Wspaniałą przygodą jest poezja Szymborskiej: przy pierwszym kontakcie wydaje się łagodna, larwa, dostępna, ale w rzeczywistości są to szczyty, na których jeszcze nie stanęła stopa żadnego krytyka, bo i Ligęza, który wykonał wielką pracę, wszedł wcale nie tak wysoko, chociaż najwyżej z wszystkich innych. Ligęza jest za bardzo uwikłany w polonistykę, a do poezji Szymborskiej potrzeba skrzydeł, na których można wlecieć wyżej, o wiele wyżej. Ani razu w tej książce nie padają imiona i nazwiska świętego Franciszka, Samuela Becketta, czy ks. Jana Twardowskiego, a to są moim zdaniem bardzo wysokie i ważne w tej poezji tropy. Czekaając na nową książkę o poezji Szymborskiej z uwagą pochylamy się nad książką Ligęzy.

K. M.

Wojciech Ligęza, *O poezji Wisławy Szymborskiej. Świat w stanie korekty*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2001.

Po *Miłoszu* i *Herbercie* z serii „A to Polska właśnie” – *Różewicz*. Książka zaczyna się od bardzo pochwalnej wypowiedzi Przybosia o młodym poecie. Fotografie przedstawiają koleje jego losu. Od Radomska (rodzice, rodzina, dzieciństwo), przez idylliczny Gabrielów, dalej w las: „Moje życie przebiegało tak, jak życie wszystkich ludzi urodzonych w '21 roku. Szkoła powszechna, harcerstwo, sodalicyja... itd.” – mówi Różewicz. A jednak ten „mieszkaniec małego miasteczka” jest od początku kimś wyjątkowym i prowadzonym przez dobre duchy (starszy brat Janusz i jego rola). Co ciekawe, pierwsze młodzieńcze wiersze Tadeusza Różewicza ukazały się drukiem w miesięczniku Sodalicyj Mariańskich uczniów szkół średnich w Polsce „Pod znakiem Marii”. Potem wybuch wojny i koniec prowincjonalnej idylli: okupacja, konspiracja, partyzantka. I pisanie wierszy. Potem cały czas tak będzie: życie i pisanie, i pisanie wierszy. Ciekawa jest dedykacja starszego brata na *Wierszach wybranych* Staffa z października 1941 roku: „Dając Ci dziś Staffa chcę Ci powiedzieć, że wcale nie życzę być takim jak on poetą – dlaczego? Nie lubię «dojrzałości»! Staffowi brakło młodzieńczej «nierozwagi» Słowackiego, Schillera, Rimbauda – dlatego jest wielki, ale nie nieśmiertelny – a nieśmiertelność jest dopiero poezją”. Po wojnie młody Tadeusz Różewicz rozpoczyna budowanie siebie i wznoszenie swojej poezji. Idąc przez powojenny krakowski Rynek ma wizję całej swojej poezji: „... przechodnie myślą, że kościół Mariacki stoi nienaruszony, nie widzą, że jest to wielka przyzma cegieł i kamieni. Kościół leży w gruzach. Kościół jest zniszczony w moim wnętrzu. Ten budynek, na który patrzę, nie jest kościołem, nie jest zabytkiem architektury, nie jest dziełem sztuki, jest spustoszoną, rozwaloną budą, jest kupą gruzu...” (*Do źródeł*). I dalej, w tymże

– *Do źródeł* – mówi: „Zapisałem się na historię sztuki, żeby odbudować gotycką świątynię. Żeby, cegła po cegle, wznieść w sobie ten kościół. Żeby, element po elemencie zrekonstruować człowieka. To się łączyło nierozdzielnie”. Do tych zapisów Zbigniew Majchrowski dodaje fragment reportażu Różewicza, w którym opisuje ruiny gotyckiego kościoła i wiersz z *Trzeciej twarzy* pt. *Kamieniolom* („Kamieniolom katedry/milczał”), ale tym tropem można iść znacznie dalej. Poeta wznosi ten kościół w sobie i w swojej poezji. Czy jest w nim Bóg? A czy Różewicz jest wielki czy nieśmiertelny? Te pytania pozostawmy w zawieszeniu pamiętając, że jest to poezja w toku, że nie znamy jej *cofy*, jej akordów końcowych, jej ostatecznego wydzwięku.

Ciekawa książka – daje świadectwo pięknego życia i świadectwo poezji blisko z tym życiem związanej. Obok fotografii, z których szczególnie zapamiętałem te z Przybosiem, Miłoszem, Filipowiczem, Nowosielskim, Grassem i Kolakowskim – rękopisy, rysunki, miedzioryty, reprodukcje, dedykacje, listy i oczywiście wiersze. Na końcu mała antologia tekstów – wypowiedzi pisarzy, reżyserów i krytyków o twórczości Różewicza, kalendarium twórczości i bibliografia.

K. M.

Zbigniew Majchrowski, *Różewicz, „A to Polska właśnie”*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2002.

Piotr Szewc – autor *Zagłady* i *Zmierzchów i poranków*, zaprawiony w długich rozmowach z Julianem Strykowskiem, rozmawia z innymi pisarzami. Nie wiem, według jakiego klucza dobierał swoich rozmówców tak różniących się od siebie, ale jest to ciekawa plejada i z tych rozmów dowiadujemy się wielu ciekawych rzeczy. Szewc pyta o sprawy rodzinne i osobiste, o pisanie, o literaturę, o wartości, o odpowiedzialność pisarza. Dowiadujemy się między innymi, jakich przyjaciół ma Stanisław Barańczak, którą część swojego dorobku uważa Michał Głowiński za najwartościowszą, jaki był dom rodzinny Julii Hartwig, co sądził o Trzeciej Rzeczypospolitej Paweł Herz, o aktach strzelistych Urszuli Kozioł, których pisarzy polskich ceni najbardziej Jacek Łukasiewicz, czego żałuje Ryszard Matuszewski, jak rozumie realizm w literaturze Wiesław Myśliwski, czy zdaniem Marka Nowakowskiego istnieje sprawiedliwość w literaturze, jak powstają książki Kazimierza Orłosa, co sądzi o życiu publicznym Jarosław Marek Rymkiewicz, czym jest przyjaźń dla Adriany Szymańskiej.

K. M.

Piotr Szewc, *Wolność i współzucie. Rozmowy z pisarzami*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2002.

Luksus Polski – w każdym pokoleniu posiadającej wystarczającą ilość poetów, by czasem posłać paru na emigrację, pod pluton egzekucyjny lub na barykady walczących „w słusznieszej od literatury sprawie” – uświadamiamy sobie czytając bodaj pierwszy wydany w Polsce zbiorek współczesnych wierszy o Czeczenii. To nawet nie tomik, a broszura wydana z okazji spotkania „Obcy – zagrożenie czy szansa” zorganizowanego w Poznaniu przez Teatr Ósmego Dnia 22-24 października 2001 r.

Wiersze napisał współczesny poeta rosyjski, co tylko pogłębia przytłaczające wrażenie, iż wszystko, co wiemy o małej Czeczenii – o jej straszliwej tragedii – dociera do nas „z drugiej ręki”. Poeta świetny, przekłady – w wykonaniu znawcy tematu, Piotra Mitznera – też. Nie można wszak oprzeć się myśli zasygnalizowanej w pierwszym zdaniu: że są kraje jakby bardziej, i jakby mniej uprzywilejowane w daniu poetyckiego ekwiwalentu swej historii. O naszej hekatombie zaborów, powstań, obozów, zsyłek – pisały setki piór polskich i zagranicznych. O ludobójstwie na niewyobrażalną skalę, dokonywanym rękoma najeźdźcy chlubiącego się świetnymi nazwiskami swych myślicieli, kompozytorów, poetów, którzy na trwale weszli do dorobku kultury światowej – nic.

Wiersze Siergieja Stratanowskiego wypełniają te lukę. Nie tylko w literackim sensie – ale może przede wszystkim moralnym. Jest w nich żal, ból, wściekłość przedstawiciela narodu, który wydał Bierdiajewa, Tolstoja, Musorgskiego – że po raz kolejny w historii odrzuca swe wspaniałe dziedzictwo i – jak gdyby go w ogóle nie było – bierze się do mokrej roboty. Przypominają się słowa naszych rodziców czy dziadków, gdy wspominali 1939 rok i agresję Niemców na Polskę. Taki sam żal, wściekłość i zdumienie: jak ONI mogli to zrobić? Z kraju Goethego, Lessinga, Beethovena...

Część wierszy pozostawiono w oryginale – być może tłumacz, przynaglany jakimiś okolicznościami pozwalającymi wydać tomik, śpieszył się z przekładami. Warto jednak było – choćby po to, by ten rzadki polski czytelnik, który dotrze do tego zeszytu, mógł przeczytać np. taką frazę:

W rozpadliny
w świeże doły na śmieci
w piekło głodu i chłodu
wrzucamy zakładników-górali.
Żądamy okupu. Ustalamy cenę życia.

Tak to, kurwa, walczymy
i tak sobie żyjemy
Za żarcie sprzedając złapanych
i forszę zgarniamy

Takie to, kurwa, życie
innego nam nie trzeba

A dzikusów nie żal...
Przecież w waszej Ameryce
kurwa
Też się z nimi nie cackaliście

G. M.

Siergiej Stratanowski, *Niedaleko od Czechenii*, przełożył Piotr Mitzner, Spółka Poetów, Podkowa Leśna 2001.

W serii „Źródła Myśli Teologicznej” ukazał się tom szczególny, zawierający teksty pierwszych siedmiu soborów ekumenicznych okresu patrystycznego w oryginalnych greckich i łacińskich brzmieniach wraz z ich polskim przekładem – wspólne dziedzictwo Kościoła Wschodu i Zachodu, a dla Prawosławia jedyny wyznacznik ortodoksyjności. W dokumentach Soboru Nicejskiego I (325) uznanego za Pierwszy Sobór Powszechny, znajdujemy „Wyznanie wiary 318 Ojców” (318 – liczba interpretowana jako znak imienia Jezusa), tzw. *Credo nicejskie*. Następny sobór – Konstantynopoliński I (381), prezentuje „Wyznanie wiary 150 Ojców”, tzw. *Credo nicejsko-konstantynopolińskie*. Obserwujemy proces kształtowania się *Credo*, wielkie spory i dyskusje dotyczące na przykład wielkich problemów teologicznych jak: *homoousios* i *Theotokos* (Bogarodzica). Po Soborze Efejskim (431) następują sobory: Chalcedoński (451) i dwa Konstantynopolińskie (535 i 680/681) oraz Nicejski II (787), ostatni w pełni uznawany zarówno przez Kościół katolicki, jak i Kościół prawosławny, na którym rozstrzygano spór o prawomocność oddawania czci obrazom. Obserwujemy podziały, dyskusje, spory i kłótnie, czytamy definicje, wyznania, wykłady i dekrety wiary, kanony, listy, uchwały, formuły, orzeczenia, wyroki, anatematyzm. Wspaniała, pasjonująca lektura ukazująca słupy milowe naszej wiary.

K. M.

Dokumenty Soborów Powszechnych, tekst grecki, łaciński i polski, tom I (325-787), układ i opracowanie ks. Arkadiusz Baron, ks. Henryk Pietras SJ, „Źródła Myśli Teologicznej”, Wydawnictwo WAM, Kraków 2001.

„Dla współczesnego człowieka nic nie jest bardziej oczywiste i równie wyświechtane jak słowa (...) Wszyscy żyjemy w słowach, czujemy słowami, myślimy słowami, ale ponieważ nie potrafimy równocześnie bronić i zachować przypisanej im godności ani uszanować ich mocy i wagi, stają się bezdomne i wydziedziczone, i wymykają się nam, a w ustach pozostaje tyl-

ko miałość”. Do czego dąży świat, w którym Bóg, modlitwa, a więc i człowiek znaczą coraz mniej? Ta książka dotyczy spraw najważniejszych. „Pan zstąpił na górę Synaj» (Wj 19, 20). Żadne zdanie na świecie nie zawiera w sobie więcej treści” – mówi rabbi Abraham Joshua Heschel – teolog, mistyk, poeta, reformator społeczny i historyk – urodzony w Wilnie potomek słynnego rodu chasydzkich cadyków, cudem ocalały z pożogi wojennej, od 1939 roku mieszkawiec Ameryki. Pisał tak, jak powinno się pisać: ważne dla niego było każde zdanie, każda fraza, każde słowo. Pisał o Biblii, Talmudzie, myśli średniowiecznej, filozofii, teologii, chasydyzmie i współczesnych problemach moralnych. Powtarzał słowa, które rabbi Aki-ba powtarzał swoim uczniom: „Każdego dnia pieśń./ Każdego dnia pieśń.” Mówił: „Jesteśmy harfą, na której gra Dawid”. Stawiał pytania dotyczące Boga i tożsamości. „Dwóch rzeczy potrzeba do modlitwy: osoby i słowa”. – mówił i wiedział, że świat bez modlitwy nie może istnieć. Według niego niereligijność nie jest opium, ale jest trucizną. Mówił: „Możemy być jedynie sługami *sacrum* lub niewolnikami zła”. Nie można być neutralnym.

W 9. częściach: *Bóg, Modlitwa, Szabat, Religia, Człowiek, Biblia, Święte uczynki, Lud, Ziemia Święta* zgromadzone zostały myśli warte zastanowienia i kontynuacji.

K. M.

Abraham Joshua Heschel, *Prosiłem o cud*, przełożył Aleksander Gomola, „Antologia duchowej mądrości”, W drodze, Poznań 2001.

Biblioteka Uniwersytetu Mikołaja Kopernika

ul. Gagarina 13, 87-100 Toruń, Poland

tel. (48-56) 6114-391, fax (48-56) 652-04-19

e-mail Archiwum@bu.uni.torun.pl

<http://www.bu.uni.torun.pl/ArchiwumEmigracji>

Komunikat

Jury Nagrody „Archiwum Emigracji”, ufundowanej przez Tadeusza Walczaka, przyznawanej za pracę magisterską i doktorską na temat emigracji polskiej po 1939 roku w składzie: Janusz Kryszak, Jarosław Koźmiński, Waclaw Lewandowski, Wojciech Ligęza, Krzysztof Pomian, Dobrochna Ratajczakowa, Anna Supruniuk, Mirosław A. Supruniuk na zebraniu w dniu 29 kwietnia 2002 roku nagrodziło trzy prace: dra Piotra Millatiego z Uniwersytetu Gdańskiego – Witold Gombrowicz wobec sztuki (nagroda), mgr Magdaleny Kozioł z Uniwersytetu Śląskiego – Muzyczność poezji Stanisława Balińskiego (nagroda) oraz dra Artura Pruszyńskiego z Uniwersytetu Gdańskiego – Gry intersemiotyczne w dziele Stefana Themersona (wyróżnienie).

Przewodniczący jury

Prof. dr hab. Janusz Kryszak

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

TYLKO

PRENUMERATA

ZAPEWNIAM

STAŁE

OTRZYMYWANIE

„KWARTALNIKA

ARTYSTYCZNEGO”

Warunki prenumeraty:

Prenumerata roczna
krajowa 35 zł
zagraniczna 30 USD

Cena za egzemplarz archiwalny
(wraz z wysyłką)
krajowa 9 zł
zagraniczna 8 USD

Prenumeratę prosimy wpłacać
na konto:

Wojewódzki Ośrodek Kultury
PBKS II O/Bydgoszcz
11001034-902 779-2101-111-0
„Kwartalnik Artystyczny”

© Copyright by „KWARTALNIK ARTYSTYCZNY. KUJAWY I POMORZE”,
Bydgoszcz 2002

Utworów nie zamówionych redakcja nie odsyła.

Skład i łamanie:

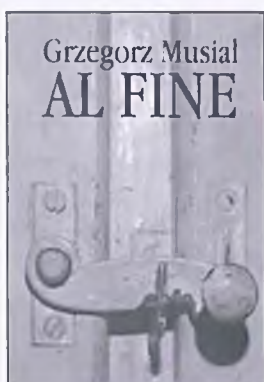
Studio „Elpis”, 85-090 Bydgoszcz, ul. Powstańców Wielkopolskich 32/13
tel./fax: (052) 341 70 08, e-mail: wiechk@box43.pl

Druk:

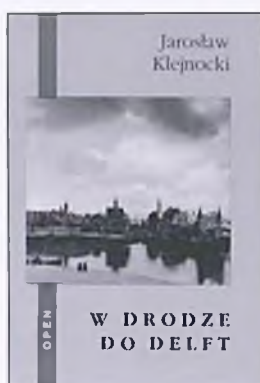
Zakład Poligraficzny „FORM-DRUK”, 85-654 Bydgoszcz, ul. Microsławskiego 11-13
tel./fax: (052) 341 32 38

BIBLIOTEKA KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO

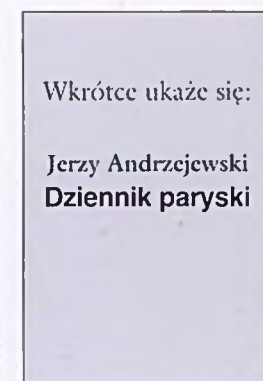
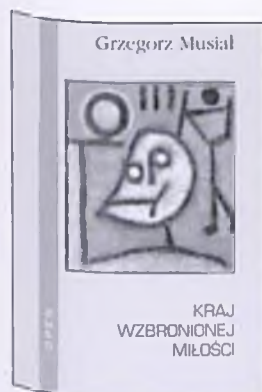
PROZA




POEZJA



Seria: EMIGRACJA





ISSN 1232-2105
nr indeksu 36294

cena 9 zł (vat 0%)